ODDZIAŁY ZAMKNIĘTE
Najgorszy czas dla chorych bez covidu

ETYKA I PRAKTYKA
Gdy religia będzie obowiązkowa

KENIA PRAGNIE
Tam już płacą za kryzys klimatyczny

SERCE PROWINCJI
Zapomniane światy według Radka Raka

MILI ZABÓJCY
Jak oszukują nas koty

Kraków 16 maja 2021 nr 20 (3749) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Mieszkanie na głowie

Prawie połowa z nas nie ma gdzie mieszkać

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

w głowie się nie mieści!

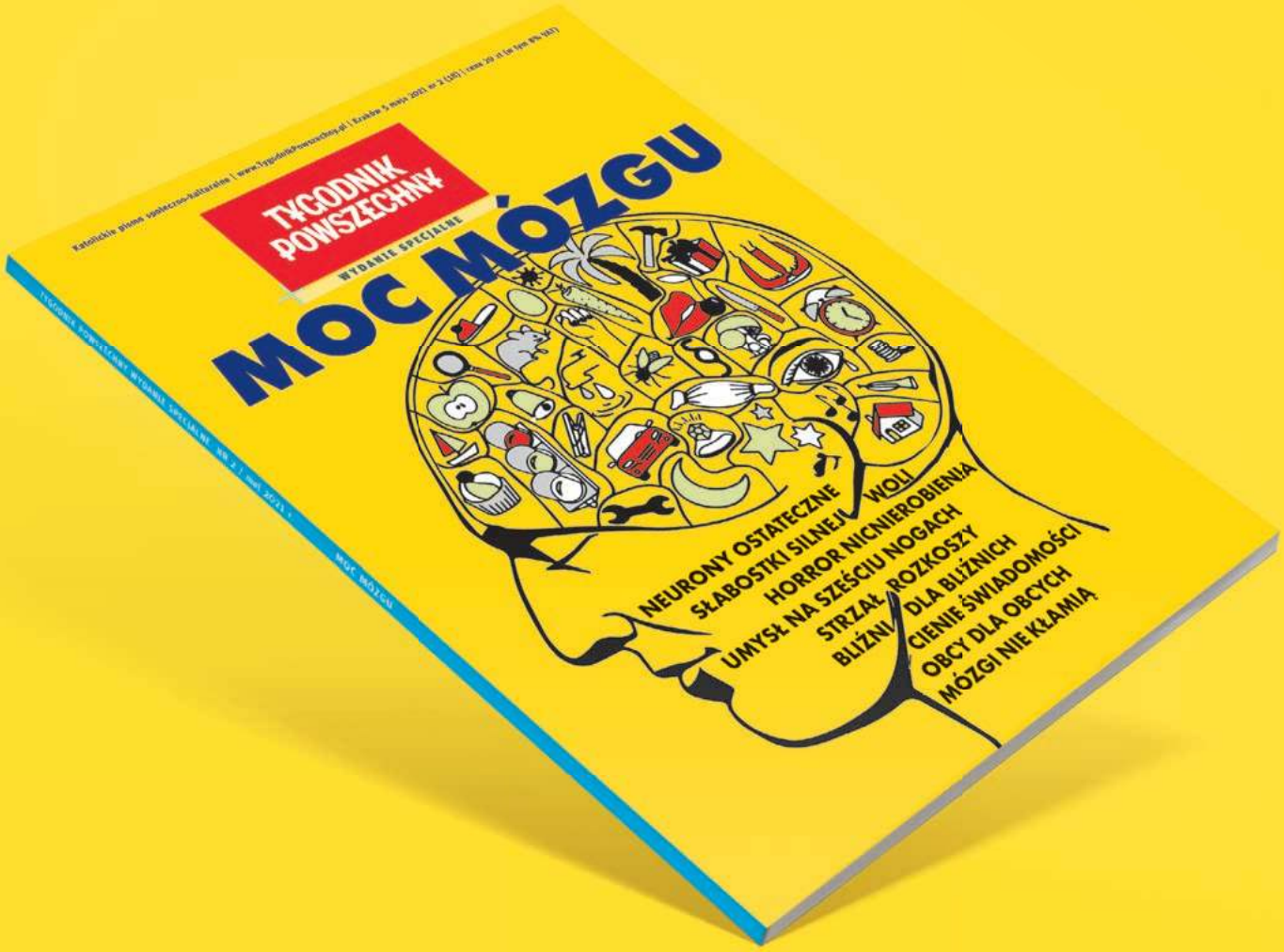

TYGODNIK POWSZECHNY

Wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" MOC MÓZGU
już w sprzedaży – szukaj w kioskach i salonach prasowych

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: DOLASU

KS. ADAM

Boniecki: *Religia obowiązkowa*

Ta debata się ciągnie od 1990 r., kiedy przywrócono nauczanie religii w szkole. Wprowadzono ją na mocy instrukcji Ministra Edukacji Narodowej z 30 sierpnia 1990 r. Przeciwnicy nauczania religii w szkole mówią, że wprowadzono ją tam „tylnymi drzwiami". Ustawa z 15 lipca 1961 r. o świeckim charakterze szkoły wyprowadziła z niej religię „głównym wyjściem", ale czy ustawa o systemie oświaty z 7 września 1991 r. oraz instrukcje ministra to rzeczywiście „tylne drzwi" – nie wiem. Mniejsza o określenia, choć one tworzą klimat. Nie w nich tkwi problem.

Gdy toczyła się debata o wprowadzaniu religii do szkół: „za czy przeciw i dlaczego?", sporządziliśmy w „Tygodniku" zestawienie argumentów obu stron, co zostało zinterpretowane jako redakcyjny sprzeciw. Wprowadzenie lekcji etyki jako alternatywy zwykle bywa traktowane jako zagrożenie dla religii. Już widzę, jak po (ważnym i rozsądnym) artykule Karola Kleczki w dziale Wiara tego numeru znów zostaniemy odsądzeni od czci i wiary.

Dziś stoimy wobec zjawiska rosnącej liczby uczniów rezygnujących z fakultatywnych lekcji religii, także zresztą i z lekcji etyki. Czasem jest to więcej niż połowa uczniów.

Minister Czarnek, zapowiadając odebranie lekcjom religii i etyki statusu fakultatywności, uzasadnił to brakiem formacji etycznej młodzieży, biorącej udział w „zbiegowiskach, które kompletnie bezrefleksyjnie podchodzą do życia" (wielu sądzi, że chodzi tu o Strajk Kobiet). Obowiązkowe lekcje religii lub etyki miałyby to, zdaniem ministra, zmienić. Zobaczymy...

Nie mam wielkiego doświadczenia katechetycznego, mam za to wspomnienia moich znakomitych (i mniej znakomitych) katechetów z czasów szkolnych. Dlatego bliskie mi jest stwierdzenie biskupa Grzegorza Rysia, który w 2015 r. do uczestników Przystanku Jezus mówił: „Najważniejszym fragmentem katechezy jest ten, który przygotowuje człowieka do sakramentów: czyli do Eucharystii i do bierzmowania. Jestem przekonany, że ta katecheza nie powinna odbywać się w szkole. Ona się musi odbywać w środowisku, które jest środowiskiem wiary. Szkoła nie musi być środowiskiem wiary".

Zaledwie przez jeden rok, zaraz po święceniach, uczyłem młodzież gimnazjalną i licealną w salkach przy kościele. Każda klasa szkolna miała swoją katechezę. Z niektórych klas przychodziło zaledwie kilka osób, z innych – niemal wszyscy. Miałem ambicję przekazania konkretnej wiedzy. Jeśli religia w szkole ma być wprowadzeniem w chrześcijaństwo (w stylu książki Ratzingera pod tym tytułem), takim, żeby wierzący wiedzieli, w co i dlaczego wierzą, a niewierzący w co i dlaczego nie wierzą, musi przekazywać wiedzę. Program, który przeznaczał osobny rok na wykład wiary, osobny na historię Kościoła, osobny na etykę, dobrze się sprawdzał. Choć udział w lekcjach przy kościele był absolutnie fakultatywny, starałem się od uczniów wymagać przyswajania wiedzy. Jest to tym bardziej oczywiste w szkole. Wtedy, w tych salkach, nie oceniałem np. chodzenia do kościoła, uczęszczania do sakramentów, nie pytałem o wysłuchane w niedzielę kazanie itp. Stopień „bardzo dobry" z religii mógł mieć więc uczeń deklarujący się jako niewierzący.

Wróćmy do wypisywania się uczniów z lekcji religii (i etyki). Nawet jeśli nadanie tym lekcjom charakteru obowiązkowego może poprawić frekwencję, to nie zmieni sytuacji. Założenie, że każdy ksiądz może uczyć religii, jest błędne. Nie każdy ma talent pedagogiczny i nie każdy jest w stanie sprostać zadaniu merytorycznie. W końcu matematyk nie uczy historii, a filozof-etyk – języka polskiego. Uczenie religii, zwłaszcza w szkołach ponadpodstawowych, wymaga i talentu, i przygotowania. Poza pedagogicznym – specjalistycznego.

Papież Franciszek 11 maja zapowiedział ustanowienie „posługi katechisty", jakby „niższych święceń" dla uczących religii. To pięknie, ale jednak *gratia supponit naturam* (łaska zakłada istnienie natury). ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

W następnym wydaniu „Tygodnika" katalog Copernicus Festival 2021: Wyobraźnia

a w nim:

- Eksperymenty na kanapie i teorie spiskowe – dla każdego
- Nie wszyscy liczą owieczki
- Czy fizycy zagubili się w matematyce
- Dlaczego nie ma niewinnych hobbitów
- Wyścig po Nobla: życie jako społeczność robotów
- Co może dostrzec oko umysłu
- Treningi wyobraźni – to nie takie proste

oraz program wszystkich festiwalowych wydarzeń.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

26 nieslysze.edu.pl
ANNA GOC
Michaliszynowie chcą złożyć „pozew o audyzm", czyli o naruszenie dóbr osobistych ich głuchych dzieci. Dotąd nikt w Polsce tego nie zrobił.

36 Budzenie Notre Dame
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA
Ocalona z płomieni dwa lata temu, królowa francuskich katedr z trudem goi rany. Odbudowa się opóźnia, ale jest szansa, że za trzy lata zabrzmi tam radosne Te Deum.

42 Ptaszek w kopalni
OLIVIA KORTAS I KASPER GOETHALS Z KENII
Prowincja Turkan w Kenii to przykład, co się dzieje, gdy klimat się ociepla, a deszcz długo nie pada. – Stąd nie ma dokąd uciec – mówi Akitela.

58 Słodki zabójca
ZUZA LAMŻA
Nie łapią złodziei, nie wykrywają narkotyków, a ich pozytywny wpływ na nasze zdrowie jest wątpliwy. Po co nam koty?

64 Miejsce na serce
ROZMOWA Z RADKIEM RAKIEM, PISARZEM:
Dopiero kilka lat temu odkryłem swoją podmiotowość – że coś istotnego w moim życiu może zależeć wyłącznie ode mnie. Wcześniej głównie próbowałem przeżyć.

78 Coś do przytulania
ROZMOWA Z JANEM RĄCZKĄ, PIEKARZEM:
Należę do generacji podnoszącej i całującej kawałek chleba, który spadł na podłogę.

MAREK ZAKRZEWSKI DLA „TP" // BENOIT TESSIER / AP / EAST NEWS // MOLTENI MOTTA / GETTY IMAGES // JACEK TARAN // MIKOŁAJ STARZYŃSKI / POWERGRAPH / MATERIAŁY PRASOWE // KRISTOF VADINO

6 Rozmowa o korzyściach
MAREK RABIJ

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Oddział zamknięty
MACIEJ MÜLLER: *Przestawienie systemu opieki zdrowotnej na walkę z koronawirusem sprawiło, że pacjenci z innymi chorobami znaleźli się na dalekim marginesie*

26 nieslysze.edu.pl
ANNA GOC

30 My to państwu wygramy
MAREK RABIJ: *Co robią prawnicy frankowiczów*

WIARA

32 Wartości przyuczane
KAROL KLECZKA: *Religia i etyka obowiązkowe – dobry pomysł?*

36 Budzenie Notre Dame
SZYMON ŁUCYK

38 Krzyż zamiast czołgu
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ CHROSTOWSKĄ I ANDRZEJEM RANKEM *o pomocy dla Lednicy*

ŚWIAT

42 Ptaszek w kopalni
OLIVIA KORTAS I KASPER GOETHALS

48 Huragan Ayuso
PAULINA MAŚLONA *o gwieździe hiszpańskich konserwatystów*

PIEING.CAFE

TEMAT TYGODNIKA

MAGDALENA MILERT, ARCHITEKTKA:

Mieszkań budujemy najwięcej w historii, a kryzys stale się pogłębia.

12 Mieszkanie na głowie
KRZYSZTOF STORY
Wkład własny do kredytu to pierwsze wymaganie banków. A dla wielu młodych największe wyzwanie pierwszych lat dorosłego życia.

16 Problem na literę M
MAREK RABIJ

17 Jak ci się mieszka
ROZMOWA Z MAGDALENĄ MILERT

FELIETONY

41 WOJCIECH BONOWICZ **53** JACEK PODSIADŁO
62 HANNA KRALL **76** JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: MAREK ZALEJSKI
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

50 Stodoła pod wspólną kontrolą
PAWEŁ PIENIĄŻEK: *Armenia i Azerbejdżan nigdy nie uzgodniły przebiegu granicy. Dziś posiłkują się mapami Google'a i sowieckimi starociami*

HISTORIA

54 Nadwiślańska apokalipsa
BARTŁOMIEJ NOSZCZAK: *Powojenna gehenna kilkuset wsi*

NAUKA

58 Słodki zabójca
ZUZA LAMŻA

KULTURA

64 Miejsce na serce
ROZMOWA Z RADKIEM RAKIEM

68 Jutro bez powrotu
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Potrzebna nam dziś sztuka bezproduktywna, nienastawiona na tworzenie dzieł*

71 Wąż w ogrodzie dzieci-kwiatów
JAKUB MAJMUREK: *Poszukiwacze duchowości, łatwego seksu, tanich narkotyków i alkoholu – oto ofiary Charlesa Sobhraja*

74 Sukces po indyjsku
ANITA PIOTROWSKA *Film „Uczeń" (reż. Chaitanya Tamhane) ma niewiele wspólnego z kolorowym Bollywoodem*

76 Wyjście z milczenia
LEKTOR *o książce Joanny Ostrowskiej „Oni. Homoseksualiści w czasie II wojny światowej"*

ZMYSŁY

78 Coś do przytulania
ROZMOWA Z JANEM RĄCZKĄ, PIEKARZEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Dziwią was ataki środowisk liberalnych na lewicę po tym, jak ośmieliła się poprzeć PiS w sprawie unijnego Funduszu Odbudowy? W historii III RP to przecież nic nowego – pisze **RAFAŁ WOŚ** tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Własny pokój [Podkast Powszechny]
Wmawianie mi, że jestem dziewczynką i jestem słaba, i że powinnam być grzeczna i dygać, musiało się skończyć. I to skończyć tak, jak ja chcę: czyli że pójdę na boks – opowiada pisarka **GRAŻYNA PLEBANEK** tygodnikpowszechny.pl/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

ROZMOWA O KORZYŚCIACH

Ograniczenie ochrony patentowej szczepionek przeciw COVID-19 niewiele pomoże pogrążonym w pandemii Indiom. Ale to bitwa, dzięki której świat może łatwiej wygrywać kolejne wojny z chorobami zakaźnymi.

MAREK RABIJ

USA wspierają inicjatywę Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) na rzecz ograniczenia patentu na szczepionkę przeciwko SARS-CoV-2 – poinformował 5 maja Biały Dom. Decyzji natychmiast sprzeciwiły się amerykańskie firmy farmaceutyczne, ale już dwa dni później rzeczniczka niemieckiego BioNTech zapewniła, że do czasu zakończenia pandemii spółka nie podejmie działań prawnych przeciwko firmom łamiącym jej prawa patentowe do szczepionki Comirnaty (opracowanej razem z amerykańskim Pfizerem). Podobną obietnicę złożyła wcześniej amerykańska Moderna.

Czy jesteśmy więc świadkami przełamania impasu, w jakim znalazł się ogólnoświatowy program szczepień? Blisko 75 proc. wyprodukowanych dotąd szczepionek trafiło do 10 najbogatszych krajów. Ponad 50 państw nadal nie otrzymało oficjalną drogą ani jednej dawki, co pozostawia wirusowi SARS-CoV-2 przestrzeń pod kolejne, być może znacznie groźniejsze mutacje – bez względu na tempo szczepień w bogatym świecie. Inicjatywa COVAX, która pod

Produkcja szczepionek BioNTech/Pfizer w Reinbek, Niemcy, 30 kwietnia 2021 r.

auspicjami WHO miała zagwarantować najbiedniejszym państwom dostęp do preparatów, na razie może pochwalić się pojedynczymi sukcesikami; w krajach globalnego Południa szczepienia potykają się co rusz o słabość (a nawet niechęć) lokalnych administracji, wyzwania logistyczne związane z przechowywaniem szczepionek w tropikalnych temperaturach, ale przede wszystkim z brakiem samych preparatów. Około 1,3 mld dawek, które COVAX ma rozdysponować do końca roku, to kropla w morzu potrzeb.

– Wiele firm produkujących szczepionki na zlecenie koncernów farmaceutycznych ma fabryki w biednych krajach. Należy wykorzystać wszystkie moce produkcyjne – podkreśliła w rozmowie z Deutsche Welle Ellen 't Hoen, dyrektorka organizacji Medicines Law&Policy działającej na rzecz równego dostępu do leków. – To wymaga jednak dzielenia się *know-how* i technologiami przez tych, którzy je teraz kontrolują.

Przeciwnicy zdjęcia ochrony patentowej podkreślają, że inicjatywa USA i WHO niewiele zmieni w bieżącej sytuacji epidemiologicznej np. Indii (ponad 400 tys. przypadków dziennie). Han Steutel, szef VFA – niemieckiego związku firm farmaceutycznych – przypomina, że firma BioNTech, która we wrześniu ub. roku kupiła zakład farmaceutyczny w Marburgu, potrzebowała aż ośmiu miesięcy na przestawienie produkcji pod szczepionkę Comirnaty. „Personel musi zostać przeszkolony, potrzebne są dodatkowe bioreaktory i tak dalej. Przymusowe licencje szybko nie zmienią sytuacji" – podkreślał w wywiadzie dla telewizji ZDF. Nie wiadomo wreszcie, czy właściciele firm, które na co dzień robią interesy z Big Pharmą, zechcą psuć sobie dobre relacje z zamożnymi kontrahentami jedynie dla zrealizowania rządowych zleceń.

Zdjęcie ochrony patentowej ze szczepionek może jednak stać się milowym krokiem w globalnej polityce zdrowotnej. Pandemia pokazuje, że stan zdrowia mieszkańców Jemenu, Burundi czy indyjskich slumsów nie może być dłużej wyłącznie ich problemem oraz polityczną odpowiedzialnością miejscowych rządów: to *status quo*, które niemal gwarantuje nadejście kolejnych, może groźniejszych plag. ©℗

CHRISTIAN CHARISIUS / DDP IMAGES / FORUM

PO: więcej posłów niż poparcia

KAROLINA LEWICKA

Nic nie wyszło z próby wysadzenia rządzących z siodła. Zamiast unicestwiającego obóz władzy konfliktu między koalicjantami mamy wojnę wewnętrzną w Platformie Obywatelskiej. Porażka politycznej akcji wokół Funduszu Odbudowy wyostrzyła problemy, które największa partia opozycyjna ma od dawna. Wciąż największa, jeśli chodzi o reprezentację parlamentarną, ale już nie w sondażach. Na początku roku zrównała się w badaniach z Polską 2050, a od kilkunastu tygodni w sposób trwały plasuje się za ugrupowaniem Szymona Hołowni. W roku 20-lecia istnienia partia ma dokładnie takie poparcie, jak na początku swej drogi.

„Bez daleko idących zmian nie mamy szans utrzymania pozycji lidera opozycji, a w przyszłości wygrania wyborów" – napisało w liście do kolegów partyjnych i klubowych kilkudziesięciu parlamentarzystów, głównie sympatyzujących z Grzegorzem Schetyną, który marzy o powrocie na stanowisko szefa PO. Domagają się „wieloaspektowej przemiany wewnętrznej", z całą mocą wróciła też dyskusja o kryzysie przywództwa.

Borys Budka zawiódł jako lider, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" wprost przyznawał się do politycznej niemocy, co w partii nie przeszło bez echa. Niektórzy z nadzieją, inni z obawą spoglądają w kierunku Rafała Trzaskowskiego. Ten jednak nie garnie się, by przejmować słabujące ugrupowanie. Za to powrócił do aktywności w ramach uśpionego do tej pory ruchu Wspólna Polska. Na sierpień zwołał w Olsztynie obóz politycznie zaangażowanej młodzieży. To próba odbicia młodych wyborców lewicy i Konfederacji, ale może też początek tworzenia struktur własnej partii. Historia lubi się powtarzać, więc ludzie Budki drżą, by prezydent Warszawy nie zastosował manewru Donalda Tuska wobec Unii Wolności, czyli nie wyprowadził do siebie części PO, resztę zostawiając na lodzie, skazaną na klęskę wyborczą.

Jest jeszcze kwestia tożsamości ideologicznej. Nieliczni już w PO konserwatyści wciąż nie pogodzili się ze zliberalizowaniem stanowiska wobec aborcji. Bronisław Komorowski właśnie ogłosił, że pomoże w budowie formacji centrowej... ludowcom, bo „trudno powiedzieć, by PO była nadal partią konserwatywno-liberalną". Były prezydent wpisał się zatem w to, co od miesięcy opowiada prezes Kaczyński – że PO to „lewacki ekstremizm". ©

Autorka jest dziennikarką radia TOK FM.

Ławą do szczepień

RZĄD PO RAZ KOLEJNY zapowiada przyspieszenie akcji szczepień. Od 10 maja rejestrować się mogą wszyscy pełnoletni, a lada chwila zapadnie decyzja o obniżeniu wieku uprawniającego do szczepienia do 16 lat. W pierwszym tygodniu maja po raz pierwszy przekroczyliśmy 400 tys. szczepień wykonanych w ciągu doby. Jesteśmy unijnym średniakiem – w Polsce do 8 maja minimum jedną dawkę przyjęło niecałe 27 proc. populacji, w całej UE – blisko 1 pkt proc. więcej. Przewagę nad resztą największych krajów Wspólnoty powiększają Niemcy – niedawni maruderzy zaszczepili już prawie co trzeciego mieszkańca i nie zwalniają (w Polsce średnia siedmiodniowa liczby dawek w przeliczeniu na stu mieszkańców wynosi 0,68, nasi zachodni sąsiedzi szczepią w tempie 0,81).

Na ile całkowite uwolnienie dostępu do szczepień zmieni sytuację? Gotowość do szczepienia w społeczeństwie jest duża, ale ciągle nie przyjęli dawki ci, którzy szczepić się od początku bardzo chcieli (grupa najstarszych seniorów), a rząd dopiero przygotowuje rozwiązanie, chcąc mocniej zaangażować lekarzy POZ. Wśród młodszych deklaracje o gotowości nie pokrywają się prawdopodobnie z podejmowanymi decyzjami, bo punkty szczepień alarmują o ogromnej liczbie wolnych miejsc, a rejestrujący się obecnie mogą do woli przebierać nie tylko w terminach (zdarzają się nawet dostępne w kilka godzin od rejestracji!), ale i preparatach. Szczepionki mRNA, niedawno dostępne tylko dla wybranych, mocno spowszedniały.

Eksperci nie mają wątpliwości: jeśli społeczeństwo nie ruszy jeszcze szerszą ławą do punktów szczepień, czwarta fala jest kwestią czasu. I nawet jeśli nie będzie tak wysoka jak trzecia, pochłonie kolejne tysiące ofiar.

© MAŁGORZATA SOLECKA

MONIKA SAJKOWSKA,
PREZESKA FUNDACJI DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ:

Zieleń na złe wspomnienia

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Rusza budowa Zielonego Centrum Pomocy Dzieciom.

WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS

MONIKA SAJKOWSKA: Powstanie w miejscu istniejącego już od kilku lat w Warszawie naszego Centrum Pomocy, w którym – podobnie jak w bliźniaczych centrach zlokalizowanych w innych miastach – wspieramy będące ofiarami przemocy dzieci oraz ich (niekrzywdzących) opiekunów: interwencyjnie, terapeutycznie, psychiatrycznie, pediatrycznie, prawnie.
Od lat przykładamy wagę także do przestrzeni, w jakiej przebywają dzieci. Często przechodzące dodatkowy stres, np. związany z koniecznością składania zeznań przed organami ścigania. Architektura, kolorystyka, estetyka są bardzo ważne. Stąd pomysł na Zielone Centrum.

O co w nim chodzi?
O połączenie dwóch idei: wpisanie się w trend budownictwa ekologicznego – także po to, by chronić najmłodsze pokolenia przed pogłębieniem kryzysu klimatycznego w przyszłości – oraz wspieranie dzieci. Dzięki partnerstwu firm projektowych i architektonicznych zmodernizujemy budynek, instalując w nim elementy fotowoltaiczne. Zbudujemy też ogród i pawilon terapeutyczny, nie tylko poszerzając w ten sposób naszą przestrzeń terapeutyczną, ale też stwarzając tę do edukacji ekologicznej. Zakończenie modernizacji planujemy na wczesną jesień tego roku.

Rozmawiamy w 14. miesiącu pandemii, której jednym z refrenów były diagnozy plagi przemocy wobec dzieci.
Za ważną soczewkę pokazującą to, co się przez ten czas działo, uważamy nasz telefon zaufania dla dzieci i młodzieży 116 111. Wiemy dzięki niemu, że zwiększyła się skala zarówno przemocy, jak i kryzysów psychicznych młodych ludzi. Ponad dwukrotnie wzrosła też liczba naszych interwencji w związku z zagrożeniem życia lub zdrowia dzwoniących – chodzi głównie o zgłaszane nam przez nich próby samobójcze, na które natychmiast reagujemy we współpracy z policją.

Te problemy zostaną z nami na lata.
I wymagają strategii reagowania. Do pandemii nie można się było przygotować, za to do zwiększonego zapotrzebowania na wsparcie w związku z nią – już tak. Apelujemy do władz o opracowanie takiej strategii. Jesteśmy gotowi do współpracy. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

RAPORT OŚMIESZONY
Trzej członkowie podkomisji smoleńskiej zażądali wycofania swoich nazwisk z jej raportu końcowego i zakwestionowali metodologię prac narzuconą przez Antoniego Macierewicza. „Oznacza to, że *de facto* przestaje istnieć zespół lotniczo-nawigacyjny" w podkomisji – pisze wPolityce.pl, dość eufemistycznie, skoro przedmiotem zainteresowania tego ciała był wypadek lotniczy.

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

WYROK PODWAŻONY
Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał, że Polska naruszyła prawo do rzetelnego procesu, delegując do jednej z rozpraw w Trybunale Konstytucyjnym tzw. sędziego dublera wybranego na stanowisko już wcześniej obsadzone. W Strasburgu rozpatrywano skargę polskiej firmy, która domagała się odszkodowania od państwa, a jej roszczenia oddalił TK z sędzią dublerem w składzie.

FIKCYJNE PRAWO
Tylko 5 proc. Polaków wierzy, że zakaz przerywania ciąży doprowadził do zmniejszenia liczby aborcji – wynika z sondażu Ipsos dla OKO.Press. Większość badanych uważa, że takie decyzje nie prowadzą do większej „ochrony życia".

POWAŻNA DEBATA
A tymczasem polscy komentatorzy i politycy dyskutują o zdjęciu jednego z liderów Lewicy Adriana Zandberga, pozującego na tle stacji Orlen z wegańskim hot dogiem.

Aby młodym było lżej

NIEMIECKI RZĄD przedstawił nowe cele klimatyczne. Do 2030 r. kraj ma zredukować emisję dwutlenku węgla o 65 proc. w stosunku do poziomu z 1990 r. (to o 10 punktów procentowych więcej, niż dotychczas zakładano), a także osiągnąć tzw. neutralność klimatyczną pięć lat przed terminem obowiązującym dla całej Unii – czyli w 2045 r.

Takie decyzje wymusiło orzeczenie Federalnego Trybunału Konstytucyjnego z końca kwietnia, który stwierdził, że obowiązujące obecnie przepisy określające tempo osiągania zielonego ładu naruszają prawa przyszłych pokoleń do bezpiecznego życia i przerzucają na nie brzemię ponoszenia konsekwencji zmian klimatycznych. Szybkość reakcji na ten wyrok obecnie rządzącej koalicji CDU/SPD wynika głównie z sytuacji na ostatniej prostej przed wrześniowymi wyborami – obie partie czują mocno na plecach oddech Zielonych, którzy mają po raz pierwszy szansę wygrać, a w każdym razie na pewno wejść do gry jako równorzędny partner ewentualnych koalicji. I którzy już ocenili przedstawione propozycje zmian jako nie dość ambitne.

Sęk w tym, że Niemcy już są w czołówce europejskiej, jeśli chodzi o transformację energetyczną. Radykalne zwiększenie udziału odnawialnych źródeł energii albo dodatkowe zwiększenie cen emisji dwutlenku węgla może okazać się łatwe do zadekretowania na papierze, ale trudne do zniesienia dla wyborców, którzy i tak już płacą za prąd dwa razy tyle, co 20 lat temu. ©℗ PB

LICZBA TYGODNIA

1,4

– tyle milionów pracowników nadal pobiera całą pensję „pod stołem". Praktyka, którą zbadał Polski Instytut Ekonomiczny, dotyczy ok. 6 proc. zatrudnionych, głównie w gastronomii oraz w drobnych usługach. Budżet traci na tym ok. 17 mld zł rocznie.

JANE BARLOW / AFP / EAST NEWS

Nicola Sturgeon (w centrum kadru) rozmawia z mieszkanką Edynburga, 30 kwietnia 2021 r.

Drugie podejście

SZKOCKA PARTIA NARODOWA (SNP) kolejny raz wygrała wybory do krajowego parlamentu w Edynburgu. W głosowaniu przeprowadzonym 6 maja zdobyła 64 ze 129 mandatów.

Zdaniem szefowej szkockiego rządu Nicoli Sturgeon, popierając SNP wyborcy jasno opowiedzieli się za rozpisaniem drugiego referendum niepodległościowego. „To jest wola kraju" – stwierdziła. Tę wolę będą kwestionować władze w Londynie, podkreślając, że SNP nie ma w parlamencie samodzielnej większości (brakuje jej jednego mandatu) oraz że referendum już było – w 2014 r. 55 proc. Szkotów opowiedziało się za pozostaniem w Zjednoczonym Królestwie.

To już jednak nie wystarczy, by dalej ignorować szkockie ambicje, tym bardziej że nacjonaliści mogą liczyć w parlamencie na osiem głosów proniepodległościowych Zielonych i sprawy referendum nie odpuszczą. Nie wiadomo natomiast, kiedy miałoby się ono odbyć (Sturgeon mówi, że po kryzysie wywołanym pandemią). Bez odpowiedzi pozostają też stare pytania o to, jaka miałaby być przyszła niepodległa Szkocja – choćby o kwestię członkostwa w Unii Europejskiej (Szkocja głosowała przeciw brexitowi), walutę czy granicę z Anglią.

Co do poparcia dla niepodległości, z pewnymi wahaniami Szkoci nadal są podzieleni pół na pół. Pytani zaś o priorytety nowego rządu wskazują na ochronę zdrowia i gospodarkę. Niepodległość na tej liście też się jednak znajduje, nawet jeśli nie na pierwszym miejscu. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Izrael: wyjątkowo niespokojny tydzień

TO DZIWNA KOALICJA: od lewicy, przez arabską partię islamistyczną, po prawicę, połączona jedną ideą – pozbycia się premiera Beniamina Netanjahu. W ubiegłym tygodniu Netanjahu stracił mandat do utworzenia nowego rządu, a prezydent Reuven Rivlin przekazał go Ja'irowi Lapidowi – liderowi centrystów z partii Jesz Atid. Mówi się o utworzeniu tzw. rządu rotacyjnego z Naftalim Bennettem, przewodniczącym prawicowego sojuszu Jamina, jako premierem.

Politycy muszą się spieszyć, bo Netanjahu nie poddaje się bez walki i wykorzystywał już eskalacje konfliktów w kraju do ratowania własnej skóry. Ba, bywa nawet oskarżany o ich prowokowanie. Nie inaczej jest teraz: w Jerozolimie trwają zamieszki między Palestyńczykami, izraelskimi Arabami i policją, jakich miasto nie widziało od lat. Zaczęły się, gdy izraelska policja zamknęła plac przed Bramą Damasceńską. Muzułmańscy jerozolimczycy, świętujący Ramadan, uznali to za prowokację. Protesty wybuchły też w dzielnicy Szejk Dżarrah – powodem była planowana decyzja Sądu Najwyższego ws. wysiedlenia sześciu palestyńskich rodzin.

Atmosferę podgrzewa dodatkowo izraelskie święto, Dzień Jerozolimy, ustanowione na pamiątkę przejęcia kontroli nad starym miastem w 1967 r., trwające w chwili, gdy oddajemy ten numer do druku. Kilka tysięcy Palestyńczyków ściera się z policją, broniąc dostępu do Wzgórza Świątynnego, a z Gazy lecą w stronę południowego Izraela rakiety. To będzie niespokojny tydzień.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET z Izraela

Azja Środkowa: woda, nowe źródło wojen

WOJCIECH JAGIELSKI

Ponad 50 zabitych, prawie 300 rannych, 60 tys. uchodźców, kilkanaście spalonych wsi po obu stronach granicy – to bilans trzydniowej wojny, do której w ostatnich dniach kwietnia doszło między Kirgizją i Tadżykistanem. Był to konflikt o wodę – coraz częstsza przyczyna sporów, jakie wybuchają w Azji Środkowej.

Pogranicze między kirgiskim regionem Batken i tadżycką Sogdianą to Kotlina Fergańska, jeden z najgęściej zaludnionych zakątków Azji Środkowej, zamieszkany przez Uzbeków, Tadżyków i Kirgizów. Niegdyś leżał tu chanat Kokandy, jeden z wielu, jakie istniały w Azji Środkowej, zanim w XVIII w. podbiła je Rosja i wchłonęła do swojego imperium.

W Związku Sowieckim Azja Środkowa została podzielona na narodowościowe republiki (Kotlina Fergańska – między Uzbekistan, Kirgizję i Tadżykistan). Po rozpadzie Związku Sowieckiego w 1991 r. nowe, niepodległe państwa odziedziczyły stare spory.

Spory te do dzisiaj nie zostały rozwiązane, bo w obawie, że przerodzą się w narodowościowe pogromy i graniczne wojny, władze Uzbekistanu, Tadżykistanu i Kirgizji wolały nie wytyczać i nie znaczyć spornych granic. Uchroniło je to przed regularnymi wojnami, ale nie konfliktami sąsiedzkimi, do których dochodzi zwłaszcza w kirgiskiej części Kotliny Fergańskiej między Uzbekami i Kirgizami.

Iskrą, która wywołała wojnę między Kirgizami i Tadżykami, stało się zakładanie przez Tadżyków systemów bezpieczeństwa przy stacji poboru wody na rzece Isfara. Środkowoazjatyckie rzeki mają źródła w górach Tadżykistanu, a Kirgizi i Uzbecy obawiają się, że Tadżycy sięgną po wodny szantaż, by na swoją korzyść rozstrzygać sąsiedzkie spory. ©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

MĘCZENNIK MAFII
W katedrze w Agrigento na Sycylii odbyła się beatyfikacja 37-letniego sędziego Rosarioa Livatina, zastrzelonego przez mafię w 1990 r. Na uroczystość wybrano 28. rocznicę historycznego przemówienia Jana Pawła II wygłoszonego w Agrigento przeciwko przestępczości zorganizowanej. W całym mieście obowiązywały nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. Papież po modlitwie „Regina Coeli" w Watykanie powiedział: „Niech jego przykład będzie dla wszystkich, a zwłaszcza dla sędziów, zachętą do bycia oddanymi obrońcami praworządności i wolności".

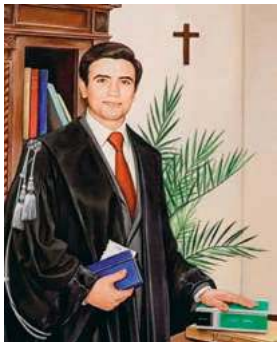

ARCHIDIECEZJA AGRIGENTO

SPOTKANIA Z PAPIEŻEM
Od środy 12 maja audiencje ogólne odbywać się będą z udziałem wiernych na Dziedzińcu św. Damazego. Od 4 listopada papieskie audiencje były transmitowane z biblioteki Pałacu Apostolskiego.

NIE JEST W PORZĄDKU
„Jedni, bardziej krytyczni, są wyraźniej otwarci na zmiany. Inni z kolei chcieliby zachować status quo, więc pytają: a co ci świeccy chcą zmieniać, przecież wszystko idzie w porządku. No, ale nie idzie w porządku" – mówił w rozmowie z KAI bp Piotr Jarecki o reakcjach biskupów na Kongres Katoliczek i Katolików – zainicjowane przez świeckich forum dyskusji o kryzysie w polskim Kościele.

Impuls Ducha i kościelne urzędy

PIOTR SIKORA

Gdy czytają Państwo te słowa, znany jest już nowy dokument Franciszka ustanawiający w Kościele posługę katechety – analogiczną do istniejących posług lektora i akolity. Zostawaliby nimi świeccy wprowadzający innych chrześcijan w głębsze rozumienie wiary. Inicjatywa papieża, z którą nosił się od kilku lat, ma na celu wyraźne uznanie, że bycie katechetą jest jednym ze szczególnych powołań w Kościele.

Ta decyzja jest z pewnością inspirowana sytuacją w wielu kościelnych wspólnotach, w których świeccy faktycznie pełnią funkcję nauczycieli wiary – przygotowują innych do przyjęcia sakramentów, prowadzą rozmaite grupy, uczą religii w szkołach, a nawet wyjaśniają Pismo Święte w czasie nabożeństw. Oficjalne uznanie posługi katechety ma dać tym osobom bardziej stabilną pozycję w strukturach kościelnych instytucji.

Inicjatywa Franciszka nie jest jednak pozbawiona pewnej ambiwalencji. Jej konsekwencją jest bowiem instytucjonalizacja rzeczywistości o duchowym charakterze. Trzeba w tym miejscu zapytać: czy chrześcijanki i chrześcijanie, które i którzy nie zostaną oficjalnie katechetami, będą traktowani tak samo podmiotowo w procesie kształtowania wiary swoich wspólnot – co przecież ma źródło w sakramentach chrztu i bierzmowania? Czy nie nastąpi podział na nauczających (katechetów) i słuchającą resztę?

Instytucjonalne umocowanie pozycji katechetów oznacza również ich większą zależność od kościelnych władz. Sprzyjać to będzie kontroli nad ortodoksyjnością przekazu, ale może także prowadzić do ograniczenia wolności w twórczej interpretacji wiary. Ta zawsze jest ryzykowna, ale jest świadectwem, że wiara jest żywa. Co więcej, jest konieczna do skutecznego przekazu Ewangelii – która zawsze wciela się w niepowtarzalne okoliczności życia.

Pojawia się też podstawowe pytanie: na ile instytucjonalizacja dynamicznej i różnorodnej rzeczywistości Kościoła jest w ogóle właściwym sposobem odpowiedzi na działanie Ducha? ©℗

Idzie rewizor

WATYKAN MA ZNÓW pełnoprawnego audytora. Został nim Alessandro Righini, od czterech lat pełniący tę funkcję tymczasowo.

To jeden z trzech najważniejszych (obok rady i sekretariatu ekonomicznego) organów inspekcji stworzonych przez Franciszka. Ale pomysł, by świecka osoba kontrolowała kardynałów, nie wszystkim się podobał. Pierwszy audytor, Libero Milone, przetrwał dwa lata. W 2017 r. kard. Angelo Becciu oskarżył go o szpiegowanie hierarchów i ich rodzin. Zdawało się, że dymisja rewizora (i zawieszenie szefa sekretariatu ekonomicznego, kard. George'a Pella) to koniec reform. Stało się inaczej. Sprawcy wielomilionowych przekrętów, którzy skorzystali na osłabieniu kontroli, stanęli przed sądem. Kard. Becciu został zdymisjonowany (pod zarzutem korupcji i nepotyzmu). A nowe przepisy antykorupcyjne pozwolą nowemu audytorowi robić to, za co jego poprzednik stracił posadę: kontrolować wszystkich podejrzanych – także kardynałów i ich rodziny. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Biskupi chcą dyscyplinować księży także na Facebooku

AKTUALIZACJĘ NORM Konferencji Episkopatu Polski z 2004 r. dotyczących występowania duchownych w audycjach radiowych i telewizyjnych zapowiedziała Rada Stała KEP (3 maja). Jak wyjaśniał rzecznik KEP ks. Leszek Gęsiak SJ, „co jakiś czas Księża Biskupi otrzymywali sygnały o wypowiedziach duchownych, które budziły pewne wątpliwości od strony ich zgodności z nauką Kościoła". Chodzi zwłaszcza o aktywność w mediach społecznościowych, której normy nie obejmowały. Biskupi jednak nie omawiali konkretnych przypadków.

Za szkodliwe wypowiedzi duchownych – np. że pandemia jest karą Bożą – odpowiada ich przełożony. I zdarzało się, że biskupi publicznie reagowali. Czy potrzebują teraz dodatkowych norm?

Kodeks prawa kanonicznego zleca episkopatom opracowanie szczegółowych przepisów, ale dotyczących głównie współpracy duchownych z mediami. Normy z 2004 r. idą dalej: mają aspekt dyscyplinujący, a księża i zakonnicy w mediach powinni respektować także „zdanie Konferencji Episkopatu". Chodzi zatem o to, by duchownych, wypowiadających się także na Facebooku, dyscyplinowała już sama świadomość zapisanych norm.

©℗ ARTUR SPORNIAK

Szczepionki i mutacje: co wiemy

PO PIĘCIU MIESIĄCACH od podania pierwszej dawki szczepionki przeciwko COVID-19 i zaszczepieniu ponad 600 mln osób wiele wskazuje na to, że preparaty są skuteczne również poza badaniami klinicznymi. W ostatnim czasie o wysokiej skuteczności szczepionek firm Pfizer, AstraZeneca czy Moderna informowały m.in władze Korei Południowej oraz amerykańskie Centra Kontroli i Prewencji Chorób (CDC). To ważne doniesienia, bo oparte na tzw. *real world data*, czyli danych zebranych na podstawie efektów powszechnych szczepień. Dodatkowo obserwujemy wyraźną poprawę sytuacji w Wielkiej Brytanii i Izraelu, które szczepią najszybciej.

W różnych regionach świata czają się jednak nowe odmiany koronawirusa, z których część jest groźniejsza i bardziej zakaźna. Obawa, że te warianty mogą wymknąć się poszczepiennej odporności, wciąż jest aktualna, ale nowe doniesienia dają nadzieję, że nie będziemy skazani na łaskę genetycznej loterii wirusa.

Badanie naukowców z Kataru opublikowane w periodyku „NEJM" dowodzi, że skuteczność preparatu Pfizer wobec wariantu brytyjskiego i południowoafrykańskiego u osób zaszczepionych dwiema dawkami wynosi odpowiednio 90 i 75 proc. W czasie gdy prowadzone było badanie, oba warianty były przyczyną 95 proc. zachorowań w katarskiej populacji. W tym samym okresie skuteczność szczepień w przeciwdziałaniu ciężkim przypadkom COVID-19 wynosiła 97 proc. W obliczu wariantu brytyjskiego szczepionka wciąż zatem jest potężnym narzędziem w walce z pandemią.

Z kolei firma Moderna pracuje nad protokołem trzeciej dawki szczepionki, co miałoby zwiększyć odporność wobec wariantu brazylijskiego i południowoafrykańskiego, które z większą łatwością niż brytyjski omijają zasieki układu odpornościowego. Nadal nie wiadomo, jak wobec odporności naturalnej i poszczepiennej zachowuje się indyjski „podwójny mutant".

© BARTOSZ KABAŁA

KULTURA W SKRÓCIE

OSCAROWA „SUKIENKA"
Film Tadeusza Łysiaka zdobył nagrodę na Festiwalu Filmowym w Atlancie prezentującym niezależne, krótkometrażowe produkcje. To wyróżnienie pozwoli produkcji Warszawskiej Szkoły Filmowej ubiegać się o oscarową nominację w 2022 r.

NOWA PRZESTRZEŃ
Na dachu Liebling Haus w Tel Awiwie architekt Jakub Szczęsny wraz z izraelską artystką Hadas Tuval stworzyli instalację „The Fifth Space". To lekko zadaszona przestrzeń – hybryda żagla i namiotu. Zaprasza odwiedzających do określenia cienkiej linii oddzielającej poczucie przynależności od miejsca odosobnienia.

„DOM" KOMEDY
Dzięki staraniom Centrum Technologii Audiowizualnych CeTA we Wrocławiu oraz wydawnictwu GAD Records ukazały się niepublikowane kompozycje Krzysztofa Komedy do filmów „Mam tu swój dom" Juliana Dziedziny i „Ubranie prawie nowe" Włodzimierza Haupego.

NOWY „TOMEK"
Wkrótce ukaże się nowa część przygód słynnej serii Alfreda Szklarskiego. Odtworzony przez Macieja J. Dudziaka z zapisków Szklarskiego „Tomek na Alasce" opowiada o wyprawie naukowej grupy geologów i kartografów, która ginie w niewyjaśnionych okolicznościach. Tomek rusza im na ratunek.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

Dziennikarze i autorzy „Tygodnika" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

BARCROFT MEDIA

Chińska rakieta: najpierw triumf, potem wpadka

PEKIN ZACZĄŁ BUDOWĘ stałej stacji kosmicznej. Rakieta Długi Marsz 5B (jej start na zdjęciu) wyniosła moduł podobnej do radzieckiego Mira stacji Tiangong. Dotąd samodzielnie stacje stworzyły tylko ZSRR i Amerykanie. Nad (pięciokrotnie większą) ISS współpracują USA, Rosja, Japonia, Kanada i 17 krajów Europy.

Ale o sukcesie szybko zapomniano, bo 20-tonowy, wysoki jak kopiec Kościuszki człon rakiety wymknął się spod kontroli. Mógł spaść gdziekolwiek od Pekinu przez Madryt po Wellington. Ostatecznie wpadł do oceanu w pobliżu Malediwów.

Wiele dużych kosmicznych śmieci jest celowo wysyłanych na cmentarzysko na Pacyfiku między Pitcairn a Antarktydą. Ale jeśli ziemia traci kontrolę, przewidzenie, gdzie dokładnie spadnie żelastwo, staje się niemożliwe. Chiny mają tu złą passę. Rok temu Długi Marsz spadł na Wybrzeże Kości Słoniowej. Uszkodził kilka budynków, nie robiąc nikomu krzywdy.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

To nie nuda, to ciepło

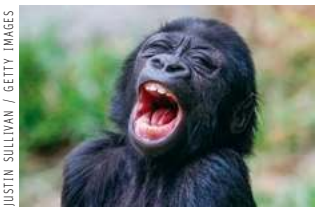

JUSTIN SULLIVAN / GETTY IMAGES

W CZASIE PASJONUJĄCEGO WYKŁADU albo przedłużającej się rozmowy – zdarza się najlepszym: ziewamy. Najbardziej prawdopodobną funkcją tego zachowania wydaje się chłodzenie mózgu – podczas ziewnięcia dochodzi do szybkiego odpłynięcia z czaszki rozgrzanej krwi i jednoczesnego schłodzenia tej do niej napływającej.

Jorg Massen z zespołem zauważyli, że skoro większe organy trudniej schłodzić, to proces nie powinien zachodzić równie efektywnie u wszystkich zwierząt. Z analiz 1291 ziewnięć 101 gatunków ptaków i ssaków opublikowanych w „Communications Biology" wynika, że im większy mózg i liczba neuronów, tym dłuższe ziewnięcia. Dodatkowo ptaki (o wyższej temperaturze krwi niż ssaki) ziewały krócej – jakby potrzebowały tylko chwili ochłody.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

TEMAT TYGODNIKA

MIESZKANIE NA GŁOWIE

Wkład własny do kredytu to pierwsze wymaganie banków. A dla wielu młodych największe wyzwanie pierwszych lat dorosłego życia.

KRZYSZTOF STORY

45,1 procent Polaków w wieku od 25 do 34 lat mieszka z rodzicami, podczas gdy średnia unijna to 28,6. To dwa miliony osób, których nie stać na wyprowadzkę.

Na tysiąc mieszkańców przypada u nas 386 mieszkań. W Niemczech 509, na Węgrzech 456, w sąsiednich Czechach 455. Więcej jest w prawie całej Unii Europejskiej, mniej – jedynie na Słowacji.

Pierwsza opowiada Jagoda. Ma 27 lat i choć mentalnie przeszła wszystkie fazy kredytu hipotecznego, nadal mieszka z ojcem: – To się zaczyna, gdy kończysz studia i idziesz do pracy, ale nadal spotykasz się ze znajomymi ze swojej bańki. Nagle orientujesz się, że wszyscy traktują posiadanie własnego mieszkania jako oczywistość. Niektórzy kupią, by mieszkać, inni chcą wynajmować, ktoś mówi o inwestycji albo zabezpieczeniu na starość, choć ma 25 lat. Ciężko ci się z tego wyrwać, bo wydaje ci się, że to jest tak naturalne jak pójście do szkoły albo posiadanie w domu toalety. W końcu kupno mieszkania staje się celem samym w sobie.

Ola już od kilku lat zbiera na wkład własny, uzbierać nie może. Weronika rok temu kupiła na kredyt, choć nigdy tego nie chciała. Mają wyższe wykształcenie i pracę o wiele za dobrą, by starać się o mieszkanie komunalne.

Mają do wyboru: życie kątem u rodziców, wieczny wynajem albo zadłużenie na 30 lat, co z perspektywy młodej dziewczyny niepokojąco przypomina wieczność.

14 lipca 2006 r. świeżo zaprzysiężony premier Jarosław Kaczyński zapowiadał budowę trzech milionów mieszkań w „najbliższym latach". Jagoda miała wtedy 12 lat, Ola 14, Weronika – 16.

„Można to zrobić, a jedyną realną przeszkodą, taką nie do przełamania, byłaby tylko niechęć obywateli do zakupu tych

mieszkań – przekonywał premier. – Nic nie wskazuje na to, żeby Polacy, kiedy się dowiedzą, że rzeczywiście można mieć mieszkanie stosunkowo tanio, na dogodny kredyt, tych mieszkań nie będą chcieli".

Przez 13 lat od tamtej zapowiedzi trzy dziewczyny zdały matury, skończyły studia, przeprowadzały się, podróżowały i pracowały. W tym czasie w kraju powstały dwa miliony mieszkań. Zbudowali je głównie deweloperzy, udział państwa był marginalny.

Historia Oli

– W 2003 roku zaczyna się historia polskiego kredytu hipotecznego – mówi Mikołaj Lewicki, socjolog, autor książki „Społeczne życie hipoteki". – Przed wejściem do Unii musieliśmy spełnić normy dotyczące zadłużenia państwa, trzeba było ciąć koszty. To były ostatnie tchnienia polityki mieszkaniowej. Państwo i samorządy pozbywały się i nieruchomości, i odpowiedzialności za bezpieczeństwo mieszkaniowe obywateli. To był błąd. Biednych skazaliśmy na mieszkanie w wielopokoleniowych rodzinach, a młodych na próżnię pomiędzy okazjonalnym najmem a drogim kredytem.

Od 10 lat Ola wynajmuje mieszkanie w Krakowie. Od sześciu pracuje w banku. Zarabia powyżej średniej krajowej (5125 zł). Choć studia skończyła, mieszka „po studencku", czyli ze współlokatorami. Na mieszkanie samej szkoda pieniędzy, to kosztuje ok. 1700–2000 zł miesięcznie.

– Od kilku lat próbuję uzbierać na wkład własny. Żyjąc normalnie, jestem w stanie odłożyć ok. 15 tysięcy rocznie. Tylko że te pieniądze co miesiąc tracą na wartości. Żadna lokata nie da gwarancji, że moje pieniądze zarobią chociaż na inflację.

Wkład własny, czyli najczęściej 20 proc. wartości kredytu. Pierwsze wymaganie banków, a dla wielu młodych – największe wyzwanie pierwszych lat dorosłego życia.

– Mieszkanie, które trzy lata temu mogłabym kupić za 250 tys., dzisiaj kosztuje 350 tys. – mówi Ola. – Przeliczając na wkład własny, z 50 tys. zrobiło się 70. Syzyfowa praca.

Dzisiaj w Polsce czynnych jest prawie 2,5 mln kredytów mieszkaniowych. Od 2006 r. ta liczba wzrosła ponad dwukrotnie. W sumie jesteśmy zadłużeni (tylko kredytami mieszkaniowymi, stan na trzeci kwartał 2019 r.) na ponad 439 mld zł. W 2006 r. było to tylko 77 mld.

Historia Weroniki

Jej wypłata w branży IT ma pięć cyfr. To oznacza, że jest wśród jednego procenta najlepiej zarabiających Polek i Polaków. Wynajmuje kawalerkę we Wrocławiu, ale rok temu kupiła na kredyt mieszkanie w Gdańsku. Na razie je wynajmuje, ale docelowo będzie miała stamtąd bliżej do siostry i do domu rodzinnego.

– Mogę sobie na to pozwolić, wiem, jaki to przywilej. Wyszło mi, że to rozsądna inwestycja. I mówi ci to osoba, która rękami i nogami zapierała się przed kredytem. Nie cierpiałam samej idei takiego zobowiązania. Istotna była też presja ze strony mamy. Żeby mieć coś własnego.

Ciasne, ale własne. To powiedzenie wciąż wisi nad polskim rynkiem mieszkaniowym. Jesteśmy i bardzo chcemy być społeczeństwem właścicieli. Tylko 16 proc. Polek i Polaków wynajmuje mieszkania (dla porównania w Niemczech 48,5 proc.).

– Uwierzyliśmy w sens indywidualnego dorabiania się. Potraktowaliśmy je jako dogmat – mówi Dorota Leśniak-Rychlak, redaktorka naczelna kwartalnika „Autoportret", autorka książki ↦

↦ „Jesteśmy wreszcie we własnym domu". – Polska wchodziła w globalny kapitalizm w tym specyficznym momencie, kiedy doktryna neoliberalna w ogóle nie została jeszcze podważona. Patrzyliśmy na Zachód z zachwytem, bo reprezentował wolność i poziom konsumpcji dla nas niedostępny. Widzieliśmy dobrą stronę obrazka, ale nie dostrzegaliśmy nierówności, które są w ten system wpisane. Społeczeństwo właścicieli i absolutyzacja prywatnej własności przyniosła grodzone osiedla, dziką reprywatyzację, chaotyczny rozwój przedmieść, gentryfikację centrów. Szybko straciliśmy z oczu tych, którzy zostali za burtą, także młodych.

Cytat z raportu Ministerstwa Rozwoju z 2020 r.: „Wzrost liczby oddawanych do użytku mieszkań nie poprawia w znaczący sposób dostępności mieszkań dla osób o dochodach zbyt niskich, by nabyć lub wynająć mieszkanie na zasadach rynkowych, a jednocześnie zbyt wysokich, aby móc ubiegać się o najem mieszkania komunalnego".

– To jest bardzo dziwna burta, bo czasem można mieć wrażenie, że więcej osób jest poza nią niż na pokładzie – mówi Leśniak-Rychlak: – Prawie połowa młodych ludzi nie może sobie pozwolić na kredyt. Miliony mieszkają z rodzicami, bo nie stać ich, o ironio, na dług.

Historia Jagody

Jest aktywną osobą. Uwielbia podróżować, jeździ na nartach, uczy kitesurfingu. Mieszkała już na Nowej Zelandii, Islandii i we Włoszech. Wyjeżdżała na rok, parę miesięcy. Za granicą podróże łączyła z pracą. Dwa lata temu wróciła do Polski na dłużej, zaczęła pracę w firmie z branży medycznej.

– Gdy wróciłam, myślałam, że kredyt to moja życiowa misja. Po co płacić za wynajem? Przy kredycie poniosę podobne koszta, a za 30 lat będę właścicielką. Jeśli wyjadę w podróż, mogę zawsze wynająć. Dlaczego nie?

Do sprawy podeszła metodycznie. Robiła wywiady z ludźmi, pytała o ich podejście, realia rynku. Zaczęła oglądać oferty mieszkań. 14 metrów to jednak trochę za mało, bo co, jak pojawi się rodzina? Przydałoby się chociaż 30. Jedno nawet poszła z ojcem oglądać, żeby przyzwyczaić go do pomysłu. Ustaliła, że zbiera na wkład własny. Chciała to zrobić jak najszybciej, postanowiła, że będzie odkładać połowę z 4000 zł pensji. Cały proces miał zająć dwa lata.

Zauważyła, że z miesiąca na miesiąc musi odmawiać sobie kolejnych rzeczy – wyjazdów czy kupna jakiegoś sprzętu. Rozważała wyjazd na Islandię, żeby zarobić szybciej. Przeliczała miesiące polskie na miesiące islandzkie. Kredyt wracał do niej z każdą wydaną złotówką.

– Szłam do sklepu, wiedziałam, co chcę zjeść na obiad, ale w myślach miałam wkład własny. Kredyt nie opuszczał mnie ani na krok, w żadnym momencie życia. Są może ludzie, którzy umieją tym zarządzać bez takich myśli, dla mnie przy mojej pensji to niemożliwe. Po kilku miesiącach uświadomiłam sobie, że nie chcę tak stracić najlepszych lat mojego życia. Dla mnie czas jest wartością większą niż mieszkanie. Nie dam sobie go zabrać.

Do niedawna mieszkała z ojcem, żeby ograniczyć koszty. W styczniu nie wytrzymała, wyniosła się do Zakopanego, dzisiaj myśli o wynajęciu czegoś w okolicach Krakowa.

– Naprawdę dobrze się z tatą mieszkało. Weszliśmy w tryb współlokatorski, nie było wspólnych obiadków i ojcowania. Mimo to dla mnie powrót z każdej podróży to kolejne adaptowanie się do tego mieszkania w Nowej Hucie. Do tego, że jednak jestem jakoś zależna, że nie jestem do końca u siebie. Czas pandemii i pracy zdalnej był punktem przełomowym. To się w ogóle nie opłaca, ale naprawdę poczułam potrzebę wyprowadzenia się.

11 pokoi

Państwo po transformacji ustrojowej na ponad 15 lat wycofało się z aktywnej polityki mieszkaniowej nawet na poziomie deklaracji. Mieliśmy być u siebie, być właścicielami, a zapewnić miał nam to wolny rynek.

– Gdzieś po drodze zgodziliśmy się, że mieszkanie jest towarem, choć nikt nas chyba o zdanie nie pytał – mówi Dorota Leśniak-Rychlak. – Dziś lokale, zwłaszcza w centrach miast, nie służą temu, by mieszkał w nich przeciętny Kowalski. One istnieją dla nieprzeciętnych Kowalskich, którzy zamierzaja nimi spekulować.

– Nie demonizuję kredytu hipotecznego – dodaje Mikołaj Lewicki. – Tylko że on stał się bezalternatywny. To, cytując Pierre'a Bourdieu, wybór konieczności. Alternatywą jest tylko czekanie na uwolnienie mieszkania gdzieś w rodzinie albo wynajem, który sprowadziliśmy do roli stanu tymczasowego, niestabilności, aberracji. Do dzisiaj posiadanie mieszkania jest dla nas opowieścią o tym, że mamy warunki do stabilnego życia, bycia klasą średnią. Wynajem cały czas kojarzymy z młodymi albo ubogimi. Z tymi, którym w życiu jeszcze albo już nie wyszło.

Sam rynek wynajmu to odzwierciedla. Z 16 proc. wynajmujących dwie trzecie to najem społeczny (lokale komunalne i należące do Towarzystw Budownictwa Społecznego). Tylko 5 proc. Polaków wynajmuje na zasadach rynkowych. Większość, jak czytamy w raporcie Ministerstwa Rozwoju, to „najem okazjonalny, gdzie stronami umowy są osoby fizyczne: wynajmujący i najemca. Najem instytucjonalny, w przypadku którego wynajmującym jest osoba prawna, która posiada więcej niż jedno mieszkanie (np. cały budynek), jest śladowy".

Przeglądam oferty wynajmu w Krakowie. Ostatnio robiłem to parę lat temu, ale niektóre rzeczy się nie zmieniły. Nadal widzę umowy bez okresu wypowiedzenia, ukryte opłaty, przechodnie pokoje i mieszkania, które są magazynami rzeczy po babci właściciela. Ale są też zmiany. Najbardziej oczywista: ceny zauważalnie spadły podczas pandemii, choć i tak, żeby mieszkać samemu w komfortowych warunkach, trzeba wydać pół pensji. Druga: pojawiło się dużo profili, które wystawiają po kilka, kilkanaście ogłoszeń. Posiadanie mieszkań pod wynajem stało się modną formą inwestycji. Wszystkie mieszkania urządzone według klucza, żeby dobrze wyglądały na zdjęciach. W każdym pokoju jedna, nieśmiertelna i najtańsza szafka z Ikei.

Najgorzej jest w centrum. Idę oglądać dwa mieszkania w krakowskich kamienicach. Przypadek pierwszy: kawalerka na Starowiślnej. Całkiem przytulne 15 metrów kwadratowych za niewielkie pieniądze. Problem w tym, że mieszkanie ewidentnie jeszcze kilka miesięcy temu funkcjonowało na Airbnb jako najem krótkoterminowy. Jest przygotowane dla weekendowych turystów, a nie lokatorów. Szafa mieści tylko walizkę i wieszak na kurtki, kuchnia składa się ze zlewu, kosza na śmieci i jednego elektrycznego palnika. Właściciel na tym piętrze ma jeszcze trzy takie mieszkania. Router wi-fi jest wspólny, stoi w środkowym.

Czasem rwie zasięg. Na jedynej półce stoi drewniany napis „Love". Z Ikei.

Przypadek drugi: kamienica przy Mickiewicza. W ogłoszeniu ładne zdjęcia pokoju, kuchni, łazienki. Na miejscu okazuje się, że pokoi w mieszkaniu jest jedenaście. Każdy jednoosobowy. Właściciel połączył dwa lokale, dawne duże pokoje podzielił karton-gipsem na klitki po 10 metrów kwadratowych.

Dorota Leśniak-Rychlak: – Ciągle budujemy i wynajmujemy tak, żeby osiągnąć jak największy zysk z działki i inwestycji. Do tego dorabia się opowieść o minimalistycznym stylu życia młodych, którzy chcą mieszkać w klitkach, bo całe życie spędzają w knajpach nad laptopami. Nie chcą, tylko muszą. Mieszkanie służy dziś temu, żeby na nim zarobić, a nie temu, żeby było dobrze skomunikowane, doświetlone i przewietrzone. Czy da się w nim dobrze żyć, to drugorzędna kwestia.

Szampan i pętla

97,8 proc. mieszkań oddanych do użytku w 2019 r. to budownictwo deweloperskie (znaczna większość) i indywidualne inwestycje. Lokale dla osób o niższych dochodach (komunalne, zakładowe, TBS) to zaledwie 2,2 proc. Taki stan rzeczy utrzymuje się od lat. Od 2006 r. może i powstały dwa miliony mieszkań, ale wkład państwa pozostał marginalny.

Władze podejmowały próby bardziej aktywnej polityki mieszkaniowej. Tylko że choć od lat wiadomo, że potrzebne są tańsze mieszkania na wynajem, programy z czasów Platformy Obywatelskiej (Rodzina na Swoim i Mieszkanie dla Młodych) polegały na dopłatach do kredytów. Młodzi ludzie stali się jedynie pośrednikiem w przekazywaniu pieniędzy bankom i deweloperom.

– Oferta państwa zamiast ograniczać spekulacyjne cechy rynku, podtrzymała „naturalną skłonność" Polaków do zaciągania kredytu – komentuje Mikołaj Lewicki. – W dodatku MdM zawdzięczamy suburbanizację. Program miał takie limity stawek, że trzeba było budować na peryferiach dużych miast, by dostać wsparcie państwa. To samo państwo zapłaciło później za dodatkowe kilometry dróg i infrastrukturę.

Gdy do władzy doszło PiS, rozpoczął się program Mieszkanie Plus. W ciągu kilku lat miało powstać nawet sto tysięcy mieszkań na wynajem po cenach niższych niż rynkowe. Do stycznia 2021 r. oddano zaledwie 11 852 lokali. Sam program też zakłada możliwość wykupu mieszkań na własność.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego wszyscy politycy w momencie tworzenia programów mieszkaniowych nagle słowo „wynajem" zmieniają na „własność" – mówi Mikołaj Lewicki. – Państwo wyzbywa się całego zasobu, który niemałym kosztem stworzyło. A mieszkania zamiast odpowiadać na zmieniające się potrzeby społeczne, za dwa pokolenia wrócą na rynek jako element spekulacji.

> Czasem młodzi ludzie biorą ślub, **bo weselne koperty stają się zbiórką na wkład własny.** Okazuje się, że najbardziej zależni od rodziny jesteśmy w momencie „wyjścia na swoje".

Podobnie uważa Joanna Erbel, socjolożka i aktywistka miejska: – Dobrym przykładem jest Wiedeń. Tam system mieszkań na wynajem funkcjonuje podobnie do naszych TBS-ów, tylko na większą skalę. Kiedy ludzie mają możliwość wyboru taniego najmu publicznego o dobrej jakości, to też jest presja na deweloperów, żeby lepiej budować. Polityka mieszkaniowa jest w tym samym pakiecie co edukacja, transport, dostęp do przestrzeni publicznej. My też tego coraz bardziej potrzebujemy. Kryteria zdolności kredytowej poszybowały w górę. Pokolenie wchodzące teraz na rynek pracy nie będzie miało nawet opcji założenia sobie pętli kredytowej na szyję. Nie stać go na to.

Według Erbel dwa najpilniejsze rozwiązania to dopłaty do czynszu i właśnie budowa tańszych niż rynkowe mieszkań na wynajem. Dlatego z dużą nadzieją podchodziła do pakietu ustaw mieszkaniowych przygotowanych przez byłą ministrę rozwoju Jadwigę Emilewicz. – Nareszcie ktoś zauważył, że jeden program nie odpowie na wszystkie potrzeby. Że nie ma jednego klucza do wszystkich polskich mieszkań. I że nie ma prawdziwej polityki mieszkaniowej bez współpracy z samorządami.

Tylko że budżet nowego rządowego programu to ledwie pół miliarda rocznie. Oczywiście samorządy będą mogły korzystać jeszcze z innych źródeł finansowania, ale to i tak kropla w morzu potrzeb.

Historia Oli

Rządowe programy powstają powoli i szybko rozpływają się w powietrzu. Na rynku mieszkań trwa dominacja deweloperów i banków. Ola się poddała. Nie a rady sama uzbierać na wkład własny, a mieszkanie chciałaby kupić jeszcze w tym roku. Pieniądze pożyczy od mamy. Gdyby miała jakikolwiek wybór, nie zdecydowałaby się na żaden kredyt.

– Kredyt hipoteczny stał się niesamowitym mechanizmem konserwowania porządku społecznego – zauważa Mikołaj Lewicki. – Oczywiście nie ma nic złego w tworzeniu wielopokoleniowych więzi i relacji, ale czy kredyt jest dobrą ku temu przyczyną? Dzisiaj często młodzi ludzie są zupełnie zależni od rodziców. Czasem biorą ślub, bo weselne koperty stają się zbiórką na wkład własny. To paradoks, ale okazuje się, że najbardziej zależni od rodziny jesteśmy w momencie „wyjścia na swoje".

Uwiązani kredytem młodzi ludzie staną się pragmatykami. Nie będą mieli komfortu podejmowania ryzyka.

– Zaczyna liczyć się praca. Może nie mieć sensu, byle była stabilna – mówi Dorota Leśniak-Rychlak. – Kredyt jest projektem optymistycznym: zakładam, że będę miała pracę, będę zdrowa, sprawna. Lecz wszystko jest podszyte lękiem, że te klocki wcale się tak ładnie nie ułożą. Ale ludzie robią to, bo nie mają wyboru. Parafrazując Václava Klausa: „Mieszkanie to nie szynka. Nie można z niego zrezygnować".

Ola ma 28 lat. Mówi, że gdyby miała mieszkanie, żyłaby spokojniej. Nie bałaby się. Mogłaby inwestować w siebie, a nie w bank. Teraz jest singielką, ale z mieszkaniem mogłaby pomyśleć o rodzinie. Bez mieszkania nie pomyśli. Podobnie ponad 45 proc. młodych ludzi (25–34 lat), którzy mieszkają z rodzicami, i kolejni, którzy wynajmują mieszkania ze współlokatorami, bo samemu ich nie stać. Nikt świadomie nie zdecyduje się na dziecko, nie mając gdzie wstawić kołyski. ↦

Normalne

↦ Średnia pensja netto w 2021 r. (na umowie o pracę) według prognoz wyniesie 3759 zł miesięcznie. Statystyczny Polak za wynajem małej kawalerki w dużym mieście zapłaciłby połowę takiej pensji. Na mieszkanie za 350 tys. zł odłożyłby za prawie osiem lat – gdyby nie wydawał na nic innego.

Jagoda: – Nie wezmę kredytu, więc nie kupię mieszkania. Pandemia pokazała, jak szybko świat potrafi się zmienić. Wcale nie jestem przekonana, czy mieszkanie w centrum miasta za 30 lat będzie coś warte. Mam w pamięci wizje tych pustych miast-duchów w Chinach czy Hiszpanii. Gdybym miała coś posiadać, to chyba ziemię.

Weronika: – Jest dużo prostszy powód, dla którego wzięłam kredyt. Powód tak wpojony w naszą rzeczywistość, że nawet o nim nie pomyślałam. Wzięłam, bo inaczej w tym kraju nie da się posiadać swojego miejsca. Nieważne już, czy miałam taką potrzebę, czy nie – miejsce równa się kredyt. To równanie stało się normalne. I to jest przerażające.

Ola: – Wiesz, jak trudny jest moment wejścia na ten rynek? Może parom jest łatwiej. Ale ja nawet z pomocą mamy patrzę już tylko w okolicach Krakowa, bo na samo miasto mnie nie stać. Jakie ja mogę mieć wymagania? 30 metrów w Wieliczce i żeby się tynk na głowę nie sypał. Dostanę mieszkanko, w którym będę się czuła jak kura w chowie klatkowym. I będę je spłacać przez 30 lat.

Jagoda: – Nie ma pytania: kredyt czy coś innego? Jest: kredyt teraz czy później? To nie jest prawdziwy wybór, ale ja wybieram „później". Nie wiem, czy dobrze robię. Może będę żałowała. Ale wiem, że gdybym teraz zmarnowała najfajniejsze lata życia i się rozczarowała, pękłoby mi serce.

W przerwie od pisania artykułu zaglądam na Twittera. Ktoś wrzucił tekst: „Władze publiczne prowadzą politykę sprzyjającą zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych obywateli, w szczególności przeciwdziałają bezdomności, wspierają rozwój budownictwa socjalnego oraz popierają działania obywateli zmierzające do uzyskania własnego mieszkania". W komentarzach ktoś wyzywa autora od komunistów, ktoś od lewaków, ktoś pyta, czy myśl zaczerpnięta jest z Marksa, czy może Lenina?

Tekst jest cytatem z Konstytucji RP.

© KRZYSZTOF STORY

STANISŁAW DĄBROWIECKI / PAP

Na budowie osiedla mieszkaniowego w Nowej Hucie, lipiec 1953 r.

Problem na literę M

WSPÓŁCZESNE KŁOPOTY MIESZKANIOWE są pokłosiem sytuacji lokalowej, w jakiej Polska znalazła się po II wojnie światowej. W 1947 r. Biuro Odszkodowań Wojennych przy Prezydium Rady Ministrów oszacowało straty substancji mieszkaniowej na 162,2 tys. budynków mieszkalnych i 353,8 tys. zagród wiejskich. Nawet z uwzględnieniem strat ludzkich, które sięgnęły 6 mln osób, brakowało dachu nad głową dla 968,2 tys. rodzin.

W PIERWSZYCH POWOJENNYCH LATACH odbudowa szła oczywiście powoli; w latach 1945-46 udało się jedynie wyremontować 70 tys. izb. Problem zaogniły dodatkowo wielkie migracje wywołane powojennymi przesunięciami granic (a na tzw. ziemiach odzyskanych do użytku nadawało się zaledwie 1,5 z 3,5 mln izb mieszkalnych istniejących tam jeszcze w 1939 r.) oraz błyskawiczna industrializacja kraju, za sprawą której do 1989 r. miało przenieść się ze wsi do miast około 5,1 mln Polaków. Poza propagandowymi projektami typu Nowa Huta, zajęci uprzemysłowieniem i ściganiem ideologicznych wrogów komuniści nie byli w stanie zdobyć się na spójną politykę mieszkaniową.

W LATACH 1950-55 do użytku oddano 400 tys. nowych lokali. Cóż z tego, skoro w tym samym czasie zawarto blisko 900 tys. małżeństw. PRL weszła w stan chronicznego nadpopytu na mieszkania, którego centralnie sterowana gospodarka nie zdołała nigdy zaspokoić – choć z dzisiejszej perspektywy tempo budowy mieszkań, zwłaszcza w latach 70. XX w., nie wydaje się aż tak ślimacze, za jakie uchodzi. W latach 1971-80 zbudowano 2,6 mln nowych mieszkań, co zapewniło własny dach nad głową aż 10 mln osób. Rekordowym rokiem był 1978, kiedy oddano do użytku 284 tys. lokali – wynik niepobity po dziś dzień. Kryzys gospodarczy kolejnej dekady przyniósł już jednak głęboką zapaść w budownictwie mieszkaniowym, świetnie sportretowaną przez Stanisława Bareję w serialu „Alternatywy 4".

PO 1989 ROKU budownictwo mieszkaniowe powierzono prywatnym inwestorom. Od tego czasu liczba mieszkań w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców wzrosła z 274 do niemal 350, a przeciętny metraż na lokatora skoczył z 19 do ponad 24 m kw. Do mieszkaniowego komfortu Europy Zachodniej, wyrażonego choćby unijną średnią liczby mieszkań na głowę, wciąż brakuje nam jednak ok. 3 mln lokali. Blisko 60 proc. Polaków mieszka w budynkach wzniesionych za PRL ©℗ MAREK RABIJ

Jak ci się mieszka

MAGDALENA MILERT, ARCHITEKTKA:

Mieszkanie ma zaspokajać nasze potrzeby. Małe metraże musi rekompensować otoczenie. Dzielnica powinna być przedłużeniem naszego salonu.

EWELINA BURDA: Dobrze nam się mieszka?

MAGDALENA MILERT: Gdybyśmy zapytali o to Polaków, pewnie powiedzieliby, że są zadowoleni z tego, jak mieszkają. Bo bardzo chcieliby być. I często wstyd nam się przyznać, że mieszkamy źle. Trochę chodzi też o to, że nie wiemy, iż mieszkamy w substandardzie. Kiedy mówi się o tym, że nasze mieszkania to półprodukty, jak ograniczona jest do nich dostępność, jak duże jest przeludnienie – to pojawiają się głosy w stylu: „A my mieszkaliśmy w pięć osób w kawalerce i wszyscy się wychowaliśmy". I zarzuty, że młodzi ludzie dziś są tylko roszczeniowi. A prawda jest taka, że mieszkamy niezbyt dobrze i to widać w statystykach.

40 procent Polaków jest w luce czynszowej – są zbyt bogaci, żeby mieszkać w lokalach socjalnych lub komunalnych, ale też zbyt biedni, żeby dostać kredyt na własne mieszkanie.

To pokazuje skalę – prawie połowa społeczeństwa tak naprawdę nie ma gdzie mieszkać. Przeludnienie jest problemem, który oddziałuje nie tylko na nasze zdrowie – psychiczne i fizyczne. Nie bez powodu istnieją wytyczne określające warunki techniczne mieszkań: minimalna wielkość 25 metrów kwadratowych, dostęp do słońca. Bo wiemy, że to jest niezbędne.

Problem z mieszkalnictwem w Polsce od wielu lat jawi się jako nierozwiązywalny.

Na pewno wyjściem z mieszkaniowego klinczu nie jest wybudowanie większej liczby mieszkań – bo teraz budujemy ich najwięcej w historii, a kryzys stale się pogłębia.

Dlaczego tak jest?

Na naszym rynku mieszkaniowym rządzi już od lat patodeweloperka – i jest to duży problem. Ale trzeba to też mocno osadzić w kontekście. Połowa mieszkań budowana jest przez deweloperów tylko pod inwestycje – Polakom nie opłaca się trzymać pieniędzy na lokatach, lepiej je zainwestować w nieruchomość. Ludzie albo nie potrafią, albo nie mają możliwości inwestować inaczej. I lokują ten kapitał właśnie w mieszkania. Częste są też przypadki, że powstaje cały blok kawalerek, czyli „mikroapartamentów", i wszystkie kupuje jedna agencja, która przeznacza je na wynajem krótkoterminowy, turystyczny. I to, że buduje się dużo, w żaden sposób nie zaspokaja faktycznej potrzeby mieszkaniowej ludzi, zwłaszcza młodych. Gdy się porówna oferty sprzed siedmiu-ośmiu lat i dzisiejsze, widać bardzo dużą różnicę. Tamte brzmiały w stylu „Zamieszkaj ze swoją rodziną", a dziś mamy raczej „Ulokuj swój kapitał".

Ale na koniec dnia i tak wszystko się sprzeda.

Nawet komórka na miotły w przyziemiu pójdzie jako mieszkanie. Bo nie mamy przeciwwagi dla patodeweloperki jako źródła mieszkań i nie mamy instytucji, które mogłyby zrównoważyć problem lokaty kapitału. Z kolei rynek najmu znajduje się dziś głównie w rękach prywatnych i jest też owiany złą sławą – bo nie jesteś na swoim.

Deweloperowi wciąż wszystko wolno?

Przez lata bardzo wzrosła świadomość, że dewelopera trzeba sprawdzić, powstały regulacje prawne zabezpieczające kupujących, ale wciąż jest problem z tym, że ludzie często nie są zadowoleni z tego, co powstaje.

Ale nie jest też tak, że deweloper wchodzi cały na biało i oświadcza, że oto zrobi najgorsze osiedle mieszkaniowe. Wszystko dzieje się w ramach przepisów prawa. I tak będzie, dopóki nie zaczniemy mówić o zaostrzeniu tego prawa albo o powrocie do projektowania urbanistycznego. Bo od 2013 r. nie mamy w kraju Izby Urbanistów, nie przykładamy do tego wagi. Przepisy wymagają nowelizacji, musimy się domagać innego sposobu gospodarowania przestrzenią, myślenia trochę dalej niż deweloper – „moja działka". W przeciwnym razie niewiele się zmieni.

A może jednak chcemy mieszkać w takich mieszkaniach?

Pojawiają się argumenty, że dzisiejsze budownictwo deweloperskie to odpowiedź na potrzeby millenialsów, bo oni chcą żyć w małych mieszkaniach i to im odpowiada. Pewnie jakiejś części tak, ale nie można wrzucać wszystkich do jednego worka i mówić, że to standard, do którego chcemy dążyć.

Patodeweloperka szpeci nam miasta?

Mamy duży problem z planowaniem przestrzennym i racjonalnym gospodarowaniem tą przestrzenią. Inwestycje deweloperskie często przedstawiane są jako luksusowe apartamenty, którymi wcale nie są. Zazwyczaj nie pasują do otaczającej zabudowy, są zaprojektowane tak, żeby się wyróżniać, zamiast wpasowywać w miasto. Buduje się na potęgę i wszędzie, ale byle jak.

W Polsce nowe mieszkania stawiane są na „wuzetkach", czyli warunkach zabudowy, nie na planie miejscowym. Zabudowa jest gęsta, żeby wycisnąć jak najwięcej PUM-u, czyli powierzchni użytkowej mieszkania. Nie ma tam żadnej infrastruktury społecznej, placów zabaw, odpowiedniej liczby miejsc parkingowych, nie ma usług w parterze. To sprawia, że zamiast jednoczyć się wokół wspólnoty sąsiedzkiej, będziemy sobie tę znikomą infrastrukturę społeczną podbierać.

Nowe osiedla często są grodzone – sprzedaje się to jako synonim bezpieczeństwa.

I to bezpieczeństwa złudnego. Im bardziej się grodzimy, tym większy jest lęk o naszą własność. Budując w taki sposób, tworząc minigetta, antagonizujemy ↦

↦ społeczeństwo. Ci z „luksusowych" osiedli raczej niechętnie wpuszczą kogoś innego, obcego, na swój teren. Ale sami będą korzystać z infrastruktury społecznej osiedli po sąsiedzku, najczęściej starszych, bo u nich będzie jej brakować. I to też pogłębi podział my–oni. A w mieście chodzi o to, żeby łączyć, równać. Są liczne badania pokazujące, że jakość życia bardzo się poprawia, kiedy mieszamy ludzi, a nie separujemy.

To jak powinno zabudowywać się miasto?

Miasto ma być zrobione porządnie i dostępne dla wszystkich. Powinno być gęsto zabudowane, ale gęsto to nie znaczy „podaj mi, sąsiedzie, mąkę przez okno". Chodzi raczej o to, by zabudowa była zwarta, nie tak luźna i rozproszona jak domki pod miastem. Masowe tworzenie takich nieludzkich osiedli, które są nazywane „polskimi obozami mieszkaniowymi" albo „polskim chowem klatkowym", niestety powoduje, że mamy coraz większy problem ze zdrowiem psychicznym, bo nie mamy terenów zieleni, wszystko jest zabetonowane, brakuje infrastruktury społecznej, jak chociażby usług, placów zabaw, ławek, przedszkoli. Źle nam się tam żyje.

A w jakich mieszkaniach chcielibyśmy mieszkać?

Mieszkanie ma zaspokajać nasze potrzeby – jeżeli mamy małe mieszkanie, to jego metraż powinno rekompensować otoczenie. Dzielnica powinna być przedłużeniem salonu. Kiedy umawiamy się, że budujemy mieszkania, które są substandardem, czyli mniejsze, kompaktowe, to trzeba oddać przestrzeń w inny sposób: dostępem do terenów zieleni, dobrej infrastruktury społecznej, szkół, sklepów, szpitali. A to wszystko połączyć sprawną komunikacją zbiorową. I generalnie dzielnica powinna spełniać wszystkie nasze potrzeby. Potrzebujemy jej też do tego, żeby posiedzieć jak w naszym salonie – gdzieś musimy napatrzeć się na zieleń, na otoczenie, na innych ludzi. Niestety, zwykle tego nie mamy. Te tereny zieleni są ogromnym brakiem – dziś mówi się o zieleni jako infrastrukturze właśnie, czyli czymś, co jest nam niezbędne do funkcjonowania, jak droga czy dostęp do sklepu.

W ostatnim roku spędziliśmy w mieszkaniach rekordowo dużo czasu.

Połowa mieszkań budowana jest przez deweloperów tylko pod inwestycje. To, że buduje się dużo, nie zaspokaja potrzeb mieszkaniowych ludzi, zwłaszcza młodych.

Jeżeli czegoś mamy się nauczyć z tej pandemii w kontekście mieszkalnictwa, to właśnie tego, jak bardzo mamy ciasno, i tego, że nie jesteśmy zadowoleni z naszych mieszkań. Mamy teraz dużą potrzebę zmiany otoczenia – człowiek potrzebuje przestrzeni. Czy w sytuacji, kiedy czujemy się zmęczeni naszym mieszkaniem, jesteśmy w stanie wyjść z niego i w ciągu 10 minut znaleźć sobie ławkę, na której możemy usiąść z kawą wyniesioną z domu, żeby wypić ją na słońcu?

W pandemii zapragnęliśmy wyprowadzić się poza miasto, do domu z ogrodem.

Tak. I to pokazują też statystyki – gdy zaczęła się pandemia, portale z ofertami nieruchomości rejestrowały ogromne wzrosty wyszukiwań typu „działka pod miastem", „dom pod miastem", „dom z ogródkiem".

Dlaczego dom stał się teraz naszym marzeniem?

Bardzo często chcemy się wyprowadzić do takiego miejsca, żeby w końcu żyć z rodziną w lepszym standardzie, na normalnym metrażu. Rok temu wychodziliśmy rano do pracy, potem odbieraliśmy dzieci, widywaliśmy się ze znajomymi. I dopiero wieczorem wracaliśmy do mieszkań. Ale trzeba pamiętać, że pandemia nie będzie trwała w nieskończoność, zaczniemy wracać do dawnego stylu życia, nawet jeśli nie będzie on identyczny jak rok temu.

Idylliczna wizja domu i wsi trzyma się mocno.

Mamy Kochanowskiego i „Pana Tadeusza", mamy hasła o tym, że „mężczyzna musi zbudować dom i zasadzić drzewo". To jest wszystko wizja sielskości. Nasze marzenia, że będziemy na tarasie jeść śniadanie albo niedzielny obiad z dużą rodziną, mogą się okazać tylko wycinkiem rzeczywistości.

Czyli lepiej się nie wyprowadzać?

Jeśli ktoś mi opowiada, że planuje „dom pod miastem", to pytam, czy kiedyś tam mieszkał, i zawsze proponuję: wynajmijcie dom na miesiąc i sprawdźcie, jak tam wam się żyje. Bo może się okazać, że to nie jest życie dla was. Bywa i tak, że ktoś wyprowadza się do domu, który jest pośrodku wsi, i dziwi się, że ktoś tam uprawia rolę i rozrzuca obok obornik.

Ale domy pod miastem rosną po horyzont.

Silnym trendem w mieszkalnictwie w ostatnich latach stała się tzw. urbanistyka łanowa, czyli budowanie domów, które są szeregówkami czy bliźniakami albo nawet domkami wolnostojącymi, ale z minimalnym odstępem, czyli cztery metry do granicy działki. Często taka zabudowa dzielona jest jeszcze na mieszkania – dolne z ogródkiem, kolejne na piętrze. Taki rząd domów powstaje w szczerym polu, na odrolnionych działkach, których się nie scala, by budować sensowniej. To są zwykle domy pośrodku niczego. Dużym problemem może być w takim miejscu życie codzienne, a szczególnie standard życia dla kobiety – bo statystycznie rzadziej ma ona prawo jazdy, a zdecydowanie częściej jest na urlopie rodzicielskim. I gdy mieszka tak pośrodku niczego, to głównie ją dotyka wykluczenie komunikacyjne i przestrzenne. To samo z dziećmi i młodzieżą, które są uzależnione od rodzica taksówki.

Takie budownictwo to w Polsce duża skala?

Problem suburbanizacji, czyli rozlewania się miast, jest ogromny. Bo suburbanizują się nie tylko duże miasta, jak Warszawa, Wrocław czy Trójmiasto, ale też mniejsze miejscowości, jak np. podkrakowska Wieliczka. Na mapach widać, jaki mamy duży odpływ ludności z centrum. I podejrzewam, że za kilka lat duży będzie wobec tego sprzeciw społeczny – bo nie możemy rozlewać miast w nieskończoność.

Ale same miasta też mają ograniczoną pojemność.

Jasne, będziemy musieli zabudowywać przestrzeń pod miastem, ale to go-

spodarowanie musi być racjonalne, jak np. w Amsterdamie, gdzie stawia się kwartał zabudowy, który stopniowo wypełnia się mieszkańcami. Jeżeli powstaje nowa dzielnica, to musi ona być dobrze zagospodarowana, pomyślana pod względem dostępu, komunikacji – kolej podmiejska, tramwaj. Ludzie pod miastem się pojawią, ale oprócz miejsca *stricte* do mieszkania kluczowa jest infrastruktura społeczna.

Chcemy uciekać na wieś także z powodu klimatu.

W miastach pojawiają się coraz większe problemy z wyspą ciepła, nadmiernym ogrzewaniem przestrzeni, stałym problemem jest smog. Gdy zabudowa jest tak gęsta i nieprzemyślana, nie mamy możliwości odpowiedniego przewietrzenia miasta. I znowu: brakuje nam terenów zieleni, a to one łagodzą zjawisko nadmiernego nagrzewania się przestrzeni. To duży problem, bo mamy starzejące się społeczeństwo, a to starsi gorzej znoszą upały. Kolejnym problemem jest retencja – wszystko jest zabetonowane, woda nie ma gdzie się wchłaniać i mamy np. lokalne podtopienia, ale też pogłębiające się susze.

W trendach dotyczących mieszkalnictwa kryzys klimatyczny mocno wybrzmiewa – Nowa Agenda Miejska ONZ z 2020 r. podkreśla, że musimy racjonalnie gospodarować przestrzenią i tworzyć miejsca, które są inkluzywne. Które sprawiają, że myślimy właśnie o klimacie, a z drugiej strony o ludziach i o tym, że domyślnym użytkownikiem miejsca do mieszkania nie jest już zdrowa biała osoba w średnim wieku, która sobie zawsze poradzi.

PIEING.CAFE

MAGDALENA MILERT jest architektką, absolwentką Politechniki Śląskiej. Prowadzi bloga pieing.cafe oraz social media jako @pieing, gdzie pisze o architekturze, gospodarce przestrzennej, urbanistyce oraz psychologii architektury i przestrzeni. Związana z Klubem Jagiellońskim oraz Fundacją Ambasada Społeczności.

A jak będziemy mieszkać w przyszłości?

Z jednej strony dużo mówi się o gęstości miast i o tym, żeby tworzyć osiedla w azjatyckim stylu – *de facto* kapsuły do mieszkania. Ale to właśnie one muszą być uzupełnione o infrastrukturę będącą wspomnianym przedłużeniem salonu.

Drugim kierunkiem jest powracająca idea miasta dwudziestominutowego. Czyli jednostki sąsiedzkiej i tego, żeby właściwie wszystko mieć w swojej małej dzielnicy w zasięgu dwudziestominutowego spaceru – a jeśli nie, to przy połączeniu dobrą komunikacją zbiorową.

Czy kiedyś będzie nas w końcu stać na mieszkania?

Wszyscy mówią, że bańka mieszkaniowa musi pęknąć, a jakoś wciąż się to nie dzieje. Na krzywej cen podczas pandemii pojawiło się tylko minimalne wahnięcie. Dopóki nie stworzymy mechanizmu, który coś zmieni, nie ma powodu, by bańka pękła – bo ludzie chcą mieszkać i chcą też gdzieś trzymać swój kapitał. Więc kupują takie mieszkania, jakie są, i w takich cenach, po jakich są dostępne.

Trudno się przyznać do tego, że z czymś sobie nie radzimy, i ciężko sobie wyobrazić funkcjonowanie w inny sposób. Można się adaptować do danej sytuacji, ale zawsze tylko do pewnego czasu. Życzę sobie i nam, żebyśmy w końcu wystarczająco głośno powiedzieli: dosyć, już nie pozwalamy traktować się w taki sposób, substandard nam nie wystarcza. Że choćbyśmy nie wiem jak się starali, to się nie udaje. I państwo musi coś z tym zrobić, bo my już nie dajemy rady.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Drodzy Czytelnicy! 30 kwietnia opuściliśmy ulicę Wiślną. Już jesteśmy na ulicy Dworskiej 1C, 30-314 Kraków

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:

Pożyczka na procent

Dlaczego Żydzi byli w średniowieczu monopolistami w dziedzinie udzielania pożyczek i kredytów? W 1179 r. Kościół podjął decyzję o ekskomunice dla wszystkich chrześcijańskich lichwiarzy, argumentując, iż taka działalność jest zakazana przez Biblię i prawo naturalne. W owym czasie istniały też – nałożone przez chrześcijan – bardzo ostre ograniczenia dotyczące podejmowania pracy przez Żydów: nie mogli wykonywać większości zawodów.

Szczęśliwie prawo żydowskie nie zabrania pożyczać na procent nie-Żydom. Talmud stawia jednak granice zawodowym pożyczkodawcom: mogą parać się taką działalnością tylko wówczas, gdy nie ma dla nich innego źródła utrzymania. Oto, co mówi na ten temat Pismo: niegodziwy jest m.in. ten, kto „pomnaża swoje mienie poprzez lichwę i nieuczciwy dochód" (Prz 28, 8), natomiast sprawiedliwy „swoich pieniędzy nie daje na lichwę" (Ps 15, 5).

Pożyczając zawodowo, świadczymy usługę, za którą pobieramy opłatę w postaci odsetek. Z punktu widzenia ekonomii procenty od pożyczonej sumy są jak najbardziej uprawnione. Powiedziane jest jednak: „Nie bierz od niego odsetek (...) by mógł żyć twój brat z tobą" (Kpł 25, 36) – co ma więc zrobić żydowski bank, by udzielić pożyczki Żydowi? Aby to w ogóle było możliwe, strony muszą podpisać umowę, że wchodzą w spółkę. Jeden partner – bank – finansuje przedsięwzięcie, drugi zaś – kredytobiorca – zajmuje się resztą. I jak to bywa w przypadku spółki, konsekwencje plajty ponoszą obie strony.

Warto może wspomnieć, że „plajta", która ma źródłosłów hebrajski, przywędrowała do polszczyzny z języka jidysz. Po hebrajsku *plita* i *plejta* to m.in. ktoś lub coś pozostałego po katastrofie, osoba ocalona, współcześnie: uchodźczyni (uchodźca to *palit*). W jidysz *plejte* oznacza – nieco z przymrużeniem oka – ucieczkę. Najczęściej występuje ona w wyrażeniu *machn a plejte*, co znaczy „uciec", „dać dyla", ale i „zbankrutować". Zapewne bankrut nieraz zmuszony był salwować się ucieczką przed wierzycielami...

Wracając do pożyczania na procent – oto anegdota o sławnym bratysławskim rabinie. Pożyczył on kiedyś dużą kwotę znajomemu. Ów mądrze zainwestował i był w stanie szybko spłacić dług. Razem z pieniędzmi przyniósł pożyczkodawcy diament. Rabin wziął kamień do ręki, dokładnie go obejrzał i zwrócił ofiarodawcy. Ten – zmartwiony – zapytał, czy diament ma skazę. Rabin odpowiedział, że nie znalazł żadnej skazy, ale on sam nie byłby jej pozbawiony, biorąc odsetki. Wówczas znajomy wyraził zdziwienie: skoro rabin od początku nie zamierzał brać kamienia, dlaczego przyglądał mu się z taką uwagą? Ów wyjaśnił, że podziwiał piękno i wielkość diamentu, po czym dodał: „Jednak przykazanie niebrania odsetek jest jeszcze większe i piękniejsze!". ©

O. WACŁAW

Oszajca:

Zróbmy to teraz

„Idźcie na cały świat i głoście Ewangelię wszelkiemu stworzeniu! Kto uwierzy i przyjmie chrzest, będzie zbawiony; a kto nie uwierzy, ten się potępi. Po czym został wzięty do nieba i zasiadł po prawej stronie Boga. Oni zaś rozeszli się i przepowiadali Ewangelię wszędzie, a Pan współdziałał z nimi i potwierdzał naukę znakami, które jej towarzyszyły". Jezus to samo mówi dzisiaj do Kościoła.

Paweł Apostoł: „Miłość nigdy się nie kończy. Inaczej niż dar prorokowania, który ustanie, języki, które zanikną, czy wiedza, której zabraknie. (...) Teraz więc trwają wiara, nadzieja i miłość – te trzy. Z nich zaś największa jest miłość". A zatem ponad wszelkie znaki należy stawiać miłość, bez niej nawet wydarzenia uważane za cud cudami nie są. „Królestwo Boże nie przychodzi w sposób dostrzegalny – mówi Jezus – jest bowiem pośród was". Do uczniów mówił: „Przyjdą czasy, kiedy będziecie pragnęli zobaczyć choć jeden dzień Syna Człowieczego, ale nie zobaczycie. I będą wam mówili: »Jest tam«, albo: »Jest tutaj«. Nie idźcie tam ani nie biegnijcie za nimi. Bo jak błyskawica, gdy zabłyśnie, świeci od jednego krańca nieba aż po drugi, tak będzie z Synem Człowieczym w Jego dniu". Jezus i Paweł mówią tu o dniu ostatecznym, ale dotyczy to również współczesnego Kościoła. Przypominają, że Boże królestwo jeszcze nie jest gotowe, wiele o tym świadczy, gdyż wciąż się tworzy.

Buduje je Chrystus i ci, którzy żyją według Ducha Jego i naszego przecież Ojca, tzn. myślą, mówią i działają jak Bóg. Czy jesteśmy już budowniczymi tej „nowej ziemi i nowego nieba", rozpoznajemy po tym, że troszczymy się o „wszelkie stworzenie". Po to tu jesteśmy: „Pan Bóg nie spuszczał deszczu na ziemię i nie było człowieka, który by pracował na roli i kopał w ziemi studnię, aby nawodnić glebę". Królestwa Bożego nie można, wbrew oczekiwaniu niejednego chrześcijanina, osadzić w jednym miejscu, ono „nie przychodzi w sposób dostrzegalny", widowiskowy. Skoro już jest, to znaczy, że skończyło się oczekiwanie na jego przyjście. „Jestem" jest imieniem Boga.

Tymczasem w kwietniu na Morzu Śródziemnym w jednej katastrofie zginęło 130 migrantów. To ludobójstwo – uważa ks. Stefano Nastasi, były proboszcz parafii na Lampedusie. Mówi, że w czasie swojej tam posługi często myślał „o tych młodych, których życie skończyło się w Morzu Śródziemnym. Pewnie myśleli o nim jako morzu nadziei, a nie jak o grobie. Według ks. Nastasiego wszyscy znajdujemy się dziś na tym wywróconym przez fale pontonie i „albo wszyscy utoniemy, albo wszyscy się uratujemy". I nie chodzi tu tylko o śmierć fizyczną. Tym, którzy umierają na progu nie tylko Europy, kiedyś trzeba będzie popatrzeć w oczy. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Przyjaźń

Żyć bez „przed” i „po”, bez żadnej przeszkody ze strony wszystkich uczynków i obrazów, któreś kiedyś miał – pusty i wolny, w każdym „teraz” otrzymując wciąż na nowo Boży dar i z kolei rodząc go bez przeszkód...

MISTRZ ECKHART

Każdy żyje tylko tą oto teraźniejszością, tym momentem. Wszystko zaś inne alboś przeżył, albo niepewne.

MAREK AURELIUSZ

Wybrał PIOTR SIKORA

„To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem. Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś oddaje życie za przyjaciół swoich. Wy jesteście przyjaciółmi moimi, jeżeli czynicie to, co wam przykazuję. Już was nie nazywam sługami, bo sługa nie wie, co czyni jego pan, ale nazwałem was przyjaciółmi, albowiem oznajmiłem wam wszystko, co usłyszałem od Ojca mego” – to słowa Jezusa z Ostatniej Wieczerzy przypomniane niedawno przez Liturgię (zob. J 15, 12-15).

Cała Biblia jest wielkim miłosnym listem skierowanym przez Boga do nas. Mówiąc o tej miłości, Pismo używa wielu obrazów. Jest więc – piękny i często przywoływany – obraz miłości męża do żony: relacja Boga z Izraelem przez wielu proroków pokazana jest jako relacja oblubieńczej miłości; podobnie relacja Jezusa do Kościoła przedstawiona jest w ten sposób, choćby przez św. Pawła w Liście do Efezjan. Na innych miejscach Bóg porównuje swoją miłość do nas do miłości rodzicielskiej – zarówno ojcowskiej (u Ozeasza), jak i matczynej (Izajasz). Jest też obraz miłości pasterza do owiec – tak do stada, jak i do pojedynczej owieczki (która jest dla Boga „jak córka” – zob. 2 Sm 12, 3).

Jezus sięga po jeszcze inny obraz miłości: obraz przyjaźni. Kiedy słyszę słowo „przyjaźń” czy „przyjaciel”, natychmiast mam przed oczami konkretne twarze. Nie jest ich za wiele, gdyż – tak to przynajmniej osobiście przeżywam – słowo „przyjaźń” opisuje relację szczególną. Sam – i myślę, że nie jestem w tym odosobniony – bardzo rzadko i z wielkim namysłem używam tego słowa. Przyjaźń jest relacją wyjątkową, jest szczególnym partnerstwem, identyfikowanym powoli – w miarę pogłębiającego się zaufania między osobami. Tak zresztą, jak to sam Jezus opisuje: „Nie nazywam was sługami, bo sługa nie wie, co czyni jego pan; ale nazwałem was przyjaciółmi, gdyż powiedziałem wam wszystko”. Przed przyjacielem nie musisz – nie chcesz – się z czymś ukrywać; skoro masz do niego pełne zaufanie, możesz mu powiedzieć wszystko.

Oczywiście Jezus nie mówi, że wśród wielu ludzi ma kilku wybranych do „wyłącznej” przyjaźni. Mówi jednak, że każdy z nas pozostaje dla Niego kimś wyjątkowym; do każdego z nas adresuje relację szczególną, intensywną i głęboką, wierną i pełną zaufania.

Więcej! W przytoczonym tekście Jezus uczy nas weryfikacji każdej miłości jako przyjaźni – mówi, że nie wystarcza jej poprzestawać na poziomie nawet najpiękniejszych i szczerze wypowiadanych deklaracji; ona potrzebuje wypowiedzieć się w czynie. I jeszcze to, co wydaje się niesłychanie wręcz ważne: prawdziwa przyjaźń nie zagarnia kochanej osoby „wyłącznie” dla siebie. Przeciwnie, ona właśnie uzdalnia ją do przyjaźni z innymi. Jezus, deklarując nam swoją przyjaźń, wzywa nas do przyjaźni wzajemnej: miłujcie się tak, jak Ja was. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (16 – 23 V)

Niedziela, uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego: Dz 1, 1-11; Ps 47; Ef 4, 1-13; Mk 16, 15-20;
Poniedziałek: Dz 19, 1-8; Ps 68; J 16, 29-33;
Wtorek: Dz 20, 17-27; Ps 68; J 17, 1-11a;
Środa: Dz 20, 28-38, 5a; Ps 68; J 17, 11b-19;
Czwartek: Dz 22, 30. 23, 6-11; Ps 16; J 17, 20-26;
Piątek: Dz 25, 13-21; Ps 103; J 21, 15-19;
Sobota: Dz 28, 16-20. 30-31; Ps 11; J 21, 20-25;
Niedziela Zesłania Ducha Świętego: Dz 2, 1-11; Ps 104; Ga 5, 16-25; J 15, 26-27. 16, 12-15.

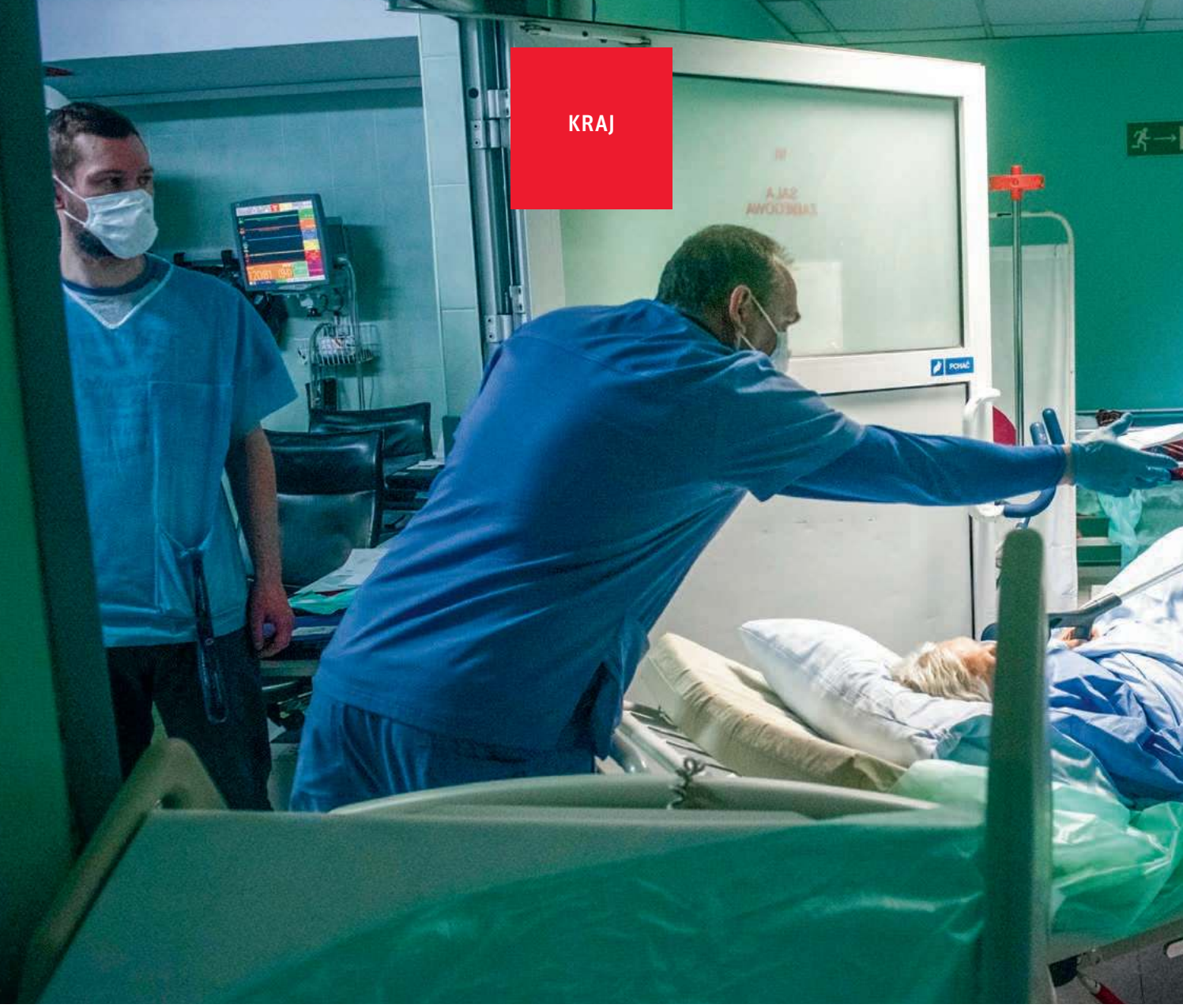

ODDZIAŁ ZAMKNIĘTY

Przestawienie systemu opieki zdrowotnej na walkę z koronawirusem sprawiło, że pacjenci z innymi chorobami znaleźli się na dalekim marginesie.

MACIEJ MÜLLER

W szpitalnej dyżurce dzwoni telefon. Dyspozytor pogotowia: – Mamy w karetce pacjenta z silnym bólem w klatce piersiowej, jedziemy do was.

Lekarka: – Nie mamy wolnych łóżek.

Dyspozytor: – Mnie to nie interesuje, to wasz problem.

Rozmawiam z dr Justyną, internistką, która podobnych sytuacji przeżyła w ostatnim roku dziesiątki. Zgadza się porozmawiać anonimowo, obawia się podpaść dyrekcji.

Co robi, kiedy pogotowie przywozi pacjenta do izby przyjęć jej szpitala? – Jeśli

FILIP BŁAŻEJOWSKI / FORUM

Szpital Bródnowski, Warszawa, styczeń 2021 r.

jego stan na to pozwala, to będzie czekał, aż zwolni się łóżko. A jeśli chodzi o stany niezagrażające życiu, np. napadowe migotanie przedsionków, to pomagamy mu na izbie i wypisujemy. Wielu takich pacjentów, których dwa-trzy lata temu z pewnością położylibyśmy na oddziale, dzisiaj zaopatrujemy w leki i odsyłamy do domu. Ze świadomością, że za kilka dni mogą wrócić w gorszym stanie. I tak się często dzieje.

Pusty magazyn

Dr Justyna pracuje w niewielkim szpitalu powiatowym w 20-tysięcznym mieście w Wielkopolsce. Dwie najbliższe placówki zamieniono na covidowe. W jej szpitalu wojewoda kazał natomiast utworzyć oddział covidowy. – Zajął całą internę. Musieliśmy więc poważnie się ścieśnić. Interna trafiła na sale ortopedii, oddziału mniejszego i gorzej wyposażonego. Ortopedia wylądowała z kolei na chirurgii i zaopatruje tylko najpoważniejsze urazy. No a chirurdzy w rezultacie też mają mniej łóżek. Nie mamy OIOM-u, bo jest covidowy. Dlatego bywa, że pacjenci po ostrej operacji leżą na respiratorze na chirurgii – mówi lekarka. – Co gorsza, nie mamy możliwości odpowiedniego monitorowania czynności życiowych pacjentów niecovidowych, bo zwykłe oddziały pozbawiono większości sprzętu.

– Personelu jest tyle samo, co dawniej, a karetki wożą do nas teraz pacjentów z trzech powiatów – opowiada dr Justyna. – Mamy więc trzy razy więcej pacjentów i mniej niż połowę dotychczasowych możliwości. Dwie pielęgniarki przypadają na 45 pacjentów, których trzeba nakarmić, podać wodę, zmienić pieluchy. I nie chodzi o to, że nie jesteśmy w stanie pracować więcej i ciężej, każdy już dawno zakasał rękawy. Sama przepracowałam w ostatnim miesiącu 330 godzin. Chodzi o to, że nie ma już nawet gdzie pacjentów przyjąć, zdiagnozować i leczyć.

W magazynie szpitalnym dawno skończyły się zapasowe łóżka. Zastawiono nimi nawet korytarze. – Wygląda to strasznie – mówi – ale czasem lepsza taka prowizorka niż odesłanie do domu niepewnego pacjenta.

Płacz

Dr Justyna woli dyżurować na oddziale covidowym niż zwykłym. – To praca wyczerpująca fizycznie, psychicznie i emocjonalnie, ale ma jedną, niezaprzeczalną zaletę. Nie przywiozą więcej pacjentów, niż jest wolnych miejsc.

Za trwający od miesięcy chaos obwinia zarządzających systemem. – Jednostki administracyjne, które nas nadzorują, nie przygotowały żadnych wytycznych, w jaki sposób mamy postępować z pacjentami, u których nie potwierdzono zakażenia koronawirusem, ale którzy wymagają pilnej hospitalizacji. Nikt nam nie powiedział, czy powinniśmy wypisywać niedoleczonych, czy możemy nie przyjmować wymagających przyjęcia albo wreszcie czy przyjmować chorych i kłaść ich na podłodze na kocach, o ile sobie te koce przywiozą. Obecnie w Wielkopolsce na pacjentów z COVID-19 czeka siedemset wolnych miejsc. Utworzono dla nich call center, które pomaga ustalić, w którym szpitalu jest wolne miejsce. Niecovidowi nie mają tego szczęścia. Czy ktoś obliczył, ile łóżek zabrano innym pacjentom? I pomyślał, że ta sytuacja gwarantuje zgony z powodu innych schorzeń?

Lekarka przyznaje, że często zaraz po przyjściu do pracy chce jej się płakać. – Jestem wykończona psychicznie codziennym podejmowaniem decyzji, kogo przyjąć, a kogo odesłać. Pamiętam rozpaczliwe telefony od rodzin pacjentów hematologicznych, potrzebujących przetoczenia krwi. Mówili, że dzwonili już po pięciu-sześciu szpitalach i wszędzie ↦

↦ usłyszeli, że nie ma miejsc. Serce pęka, chcielibyśmy pomóc, bo po to jesteśmy, ale mamy związane ręce. Z kolei pacjentów leżących na oddziałach staramy się wypisywać najszybciej, jak się da. W normalnych czasach poleżeliby kilka dni dłużej na obserwacji. Teraz takich nie do końca doleczonych musimy wypisać, bo na łóżko czekają następni. Boję się, ponieważ za takie decyzje biorę pełną odpowiedzialność. A kiedy opadnie kurz po pandemii i zdarzy się pozew, nikt nie będzie pamiętał, że sytuacja była krytyczna, brakowało miejsc, środków i ludzi.

Termin anulowany

Zabiegi planowe ograniczono na samym początku pandemii, 16 marca 2020 r. Miało to przekonujące uzasadnienie: nieznana była skala zagrożenia niesionego przez SARS-CoV-2, a szpitale są wylęgarnią zakażeń – należało więc ograniczyć liczbę hospitalizowanych. W miarę jak powstawały oddziały i szpitale covidowe, wyczerpywały się rezerwy anestezjologów. Jako specjaliści intensywnej terapii są uwiązani przy chorujących na COVID-19, podtrzymując ich przy życiu. A bez anestezjologa nie może być mowy o żadnej operacji.

Kolejki stanęły w miejscu, czekający od dawna na operację stracili terminy. W nieco tylko lepszej sytuacji byli chorzy na nowotwory, na ogół traktowani priorytetowo. Podobnie działo się na niższych stopniach systemu opieki zdrowotnej: czasowo niedostępne stały się nawet gabinety podstawowej opieki zdrowotnej. Wypracowany kompromis w postaci teleporad nie zaspokoił potrzeb. Eksperci alarmowali: pacjenci tak boją się zakażenia, że rezygnują z wizyty u lekarza, nawet jeśli jest ona możliwa.

Skutki widać w liczbach. W 2019 r. na poziomie ambulatoryjnej opieki specjalistycznej udzielono 87,4 mln porad. Rok później: 71,1 mln, czyli prawie jedną piątą mniej. W drugim kwartale, kiedy trwał lockdown, udzielono aż o 7 mln świadczeń mniej niż w analogicznym okresie 2019 r. Problem jest tym poważniejszy, że pogorszyło się coś, co od dawna działało fatalnie: kolejki do specjalistów od lat rosły, np. do kardiologa na NFZ, i to w trybie pilnym, na rok przed pandemią czekało się średnio 19 dni. Lukę tylko w ograniczonym stopniu jest w stanie wypełnić medycyna prywatna – nie każdego stać na kilkaset złotych za wizytę, nie każdy pracodawca zapewnia pracownikom abonament.

Radykalne ograniczenie świadczeń będzie miało dla zdrowia publicznego skutki poważne i długotrwałe. Niewykryty w porę nowotwór może już się nie nadawać do leczenia. Nieuregulowana lekami cukrzyca zagraża życiu.

Według jednego z raportów Ministerstwa Zdrowia wśród osób, które w przeszłości leczyły się na choroby przewlekłe, w zeszłym roku najwięcej zmarło tych z chorobami krążenia (wzrost o 17 proc. względem 2019 r.), cukrzycą (16 proc.), chorobami neurologicznymi (14,5 proc.); w przypadku nowotworów wskaźnik ten wynosi 4,7 proc. W 2020 r. zmarło prawie 70 tys. osób więcej niż w 2019. Za zgony nadmiarowe tylko w 43 proc. przypadków odpowiada koronawirus, cała reszta była związana z innymi chorobami.

Zostań w domu

W marcu Fundacja My Pacjenci opublikowała wyniki badania na reprezentatywnej próbie tysiąca osób. Okazało się, że ponad cztery piąte pacjentów, którzy w czasie pandemii korzystali z opieki medycznej, doświadczyło odwołania lub przełożenia na inny termin zaplanowanej wizyty u lekarza. Nieco ponad połowie badanych umożliwiono kontakt z lekarzem wyłącznie przez telefon lub internet, natomiast jedna trzecia ankietowanych zgłosiła, że nie sposób było dodzwonić się do przychodni lub że wizyty zostały wstrzymane. 75 proc. ocenia, że w okresie pandemii dostęp do lekarza w sprawach niezwiązanych z infekcją SARS-CoV-2 jest utrudniony.

Prawie 60 proc. badanych za priorytet polityki zdrowotnej uznało zmniejszenie kolejek, a 55 proc. – umożliwienie wizyty osobistej w gabinecie. Przy tym 16 proc. pacjentów zastrzegło, że „powaga sytuacji" jest dla nich zrozumiała i w spokoju czekają w kolejce na wizytę czy zabieg. Zdaniem prezeski Fundacji My Pacjenci Magdaleny Kołodziej to bardzo niepokojące zjawisko. „Od początku pandemii apelujemy do pacjentów, by nie lekceważyli żadnych objawów, nie przerywali leczenia i zgłaszali się na badania kontrolne czy profilaktyczne, o ile tylko są one możliwe do przeprowadzenia – napisała w komentarzu do raportu. – Mamy poczucie, że pandemia, hasło »zostań w domu«, obawy przed zakażeniem usypiają pacjentów, którzy zwlekają z udaniem się do lekarza".

Na alarm biją też inne stowarzyszenia pacjentów. Np. znana z wielu akcji na rzecz chorych na nowotwory Fundacja Alivia zachęca do podpisywania petycji do rządu. „Wciąż co trzeci chory na raka ma odwoływane terapie i badania – czytamy w apelu. – Prawie 70 proc. z nich nie uzyskało pełnej informacji, gdzie i kiedy będą dalej leczeni. Konieczne jest pilne wdrożenie procedur koordynacji opieki nad chorymi i monitoring ciągłości ich leczenia".

Czas na wagę złota

Dr hab. Jakub Podolec pracuje na Oddziale Klinicznym Kardiologii Interwencyjnej Krakowskiego Szpitala Specjalistycznego im. Jana Pawła II. To placówka referencyjna, która leczy największą liczbę pacjentów z zawałem w całym województwie małopolskim. Kardiolog wspomina początek pierwszego lockdownu, kiedy ograniczono zabiegi planowe. – Od marca do maja 2020 r. operowaliśmy ponad 20 proc. mniej zawałów typu STEMI, a zawałów bez uniesienia odcinka ST o 44 proc. mniej. Liczba pacjentów ze stabilną dławicą piersiową, czyli tych, którzy mogli być planowo operowani, spadła aż o 74 proc. Jeśli porównać rok 2020 do 2019, liczba wszystkich procedur inwazyjnych spadła u nas w szpitalu o ok. 26 proc.

Oczywiście nie znaczy to, że zawałów było mniej. Po prostu do szpitali nie trafiali ci, co powinni trafić.

Kardiolog wyjaśnia, że rozróżnia się – w uproszczeniu – dwa rodzaje zawałów serca: z i bez uniesienia odcinka ST w EKG (tzw. STEMI i NSTEMI). – Oba są bezpośrednim zagrożeniem zdrowia i życia pacjentów, a zarazem mogą być w równym stopniu niebezpieczne. Ten rodzaj zawału, w którym dochodzi do całkowitego zamknięcia tętnicy, wymaga natychmiastowej reakcji ze strony pacjenta (wezwania pogotowia) oraz możliwie najszybszej interwencji w ramach Pracowni Kardiologii Interwencyjnej, czyli udrożnienia, tzw. angioplastyki tętnicy wieńcowej – tłumaczy dr Podolec. – Im szybciej otworzymy tętnicę, tym większa szansa, że tkanka mięśnia serca nie obumrze, a pacjent będzie normalnie funkcjonował. Każda minuta jest więc na wagę złota. Tymczasem od marca 2020 r., co wiemy z analizy naukowej opracowa-

nej przez 163 polskie pracownie kardiologii interwencyjnej, czas od pierwszego kontaktu pacjenta z personelem medycznym do interwencji wydłużył się średnio z 99 do 122 minut.

W czerwcu kardiolodzy ze Szpitala Specjalistycznego im. Jana Pawła II zaobserwowali „odbicie". – Lawinowo wzrosła liczba zabiegów związanych z zawałami, w szczególności STEMI: nawet o 78 proc. więcej niż wcześniej – mówi dr Podolec. – Jestem przekonany, że operowaliśmy wówczas ludzi, którzy w normalnych okolicznościach zgłosiliby się do szpitala znacznie wcześniej. Ale podczas pandemii bali się zadzwonić na pogotowie czy skontaktować z kardiologiem. Poza tym utrudniony był przecież dostęp do szpitali.

Z relacji krakowskiego kardiologa widać, jak bardzo na stan pacjentów wpłynęły utrudnienia w dostępie do leczenia. – W ubiegłym roku liczba nie wszystkich procedur inwazyjnych spadała. Np. wzrosła w naszym szpitalu o 58 proc. liczba zabiegów BAV (walwuloplastyki balonowej zastawki aortalnej) u chorych z ciężkim zwężeniem zastawki aortalnej. Co ważne, u wielu pacjentów procedura ta była wykonywana w algorytmie ratowania życia – zaznacza dr Podolec. – To najprawdopodobniej efekt wcześniejszego ograniczenia zabiegów planowych. Ich liczba spadła w najgorszym okresie aż o 70 proc. W rezultacie zabiegi stały się bardziej skomplikowane i ryzykowne, wymagające np. sięgania po zaawansowane procedury obrazowe, jak techniki ultrasonografii wewnątrznaczyniowej, zabiegi rotablacji [przewiercania się przez zwężoną tętnicę – MM] i wiele innych.

Zarządzanie apelem

W marcu 2021 r., kiedy wzbierała trzecia fala zakażeń koronawirusem, NFZ wydał komunikat, w którym zalecił ponowne ograniczenie świadczeń planowych. Taki sposób administrowania systemem dziwi byłego szefa Funduszu Tadeusza Jędrzejczyka, obecnie dyrektora Departamentu Zdrowia Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego. – Apel nie może być narzędziem do zarządzania szpitalami, do tego służą zmiany w sposobie rozliczania świadczeń – tłumaczy.

Pod koniec kwietnia minister zdrowia Adam Niedzielski ogłosił: „Od 4 maja wycofujemy ograniczenia dotyczące zabiegów planowych". A kilka dni później dodał: „Trzeba dokonać zwrotu, który przekieruje wysiłek z walki z covidem na powrót do normalności".

Co trzeci chory na raka ma odwoływane terapie i badania.
Prawie 70 proc. z nich nie uzyskało pełnej informacji, gdzie i kiedy będą dalej leczeni.

Według Tadeusza Jędrzejczyka droga do normalności jest bardzo daleka. – Wciąż mamy hospitalizowanych prawie 20 tysięcy pacjentów z potwierdzonym COVID-19, a wszystkich przyjmowanych pacjentów planowych i pilnych trzeba testować na koronawirusa – podkreśla urzędnik. – Nie można więc uznać, że placówki mogą działać normalnie. Taki stan, o ile nie zaskoczą nas nowe mutacje, potrwa przynajmniej do końca półrocza, a raczej do końca lata. Z pewnością zamiast kolejnych apeli dyrektorzy szpitali woleliby usłyszeć, w jaki sposób planować pracę na kolejny rok.

Czy 4 maja stanowi cezurę w działaniu polskiej ochrony zdrowia? – To nie była jakaś magiczna data, ponieważ zmiany są realizowane cały czas – dodaje Tadeusz Jędrzejczyk. – Np. mały szpital w Sopocie wygasza właśnie oddział covidowy, przekazując pacjentów do innych placówek lub wypisując do domu. Ale potrzebuje czasu na ponowne uruchomienie oddziału geriatrii. Z kolei duży szpital Copernicus w Gdańsku cały czas działał planowo, jednak w pewnych obszarach musiał zmniejszyć liczbę zabiegów, ponieważ oddelegował pracowników do dwustułóżkowego szpitala tymczasowego.

Według Jędrzejczyka długotrwale ograniczony dostęp do opieki medycznej sprawił, że w przypadku wielu zaniedbanych chorób niewiele już będzie można zrobić. A ostatnie decyzje systemowe nie pomogą pacjentom. – Rząd pod osłoną pandemii wprowadził scentralizowane rozwiązania, które nie ułatwią elastycznego zarządzania kontraktami i alokacji zasobów tam, gdzie są najbardziej potrzebne. Jak zwykle bywa w takich sytuacjach, wysiłek zostanie skoncentrowany nie na rozwiązaniu problemu, tylko na wskazaniu kozła ofiarnego. Łatwo się domyślić, że będą to zarządy szpitali.

Jeszcze będzie normalnie

Są też jaskółki nadziei. – Do gabinetów kardiologicznych pacjenci zgłaszają się obecnie chętniej niż rok temu, bez bojaźni charakterystycznej dla tamtego czasu – zauważa dr hab. Jakub Podolec. – Są świadomi, że wprawdzie zakażenie koronawirusem jest niebezpieczne, ale życiu w równym stopniu zagrażają choroby współistniejące. Poza tym wielu z nich jest już zaszczepionych. Powrót pacjentów do gabinetów, możliwość regularnych kontroli ich stanu zdrowia to jeden z najistotniejszych efektów masowych szczepień. I jednoznacznych rekomendacji lekarzy w całym kraju, aby nie czekać do chwil, w których pomoc nadejdzie zbyt późno lub będzie niemożliwa.

Kardiolog ma nadzieję, że ponowne zwiększenie liczby zabiegów planowych ograniczy liczbę najcięższych zawałów, powodujących poważne powikłania, jak zatrzymanie krążenia, niewydolność serca, i związanych z olbrzymim ryzykiem zgonu. – Nie będziemy przeprowadzać tylu skrajnie skomplikowanych zabiegów w ostrej fazie zawału. W skali Polski mówimy tu o dziesiątkach tysięcy osób, którym uda się pomóc wcześniej. To będzie pierwszy sygnał, że wracamy do normalności.

Dr Justyna ze szpitala powiatowego w Wielkopolsce na razie nie widzi wyraźnych zmian. – Owszem, zakażeń jest wyraźnie mniej, ale do likwidacji naszego oddziału covidowego i uwolnienia OIOM-u daleko. Nie było i nie będzie żadnego gwałtownego przeskoku do normalności.

©℗ MACIEJ MÜLLER

RDC POLSKIE RADIO
ZUZA LAMŻA wyjaśni Grzegorzowi Chlaście, po co nam koty (tekst na s. 58) w środę 12 maja o godz. 7.30.
Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

MAREK ZAKRZEWSKI DLA „TP"

Rodzina Michaliszynów: rodzice Justyna i Łukasz, najwyżej na schodach Emanuel, dalej Eryk, obok mamy – Emilia. Poznań, 5 maja 2021 r.

nieslysze.edu.pl

ANNA GOC

W szkole dla głuchych dzieci większość nauczycieli nie zna języka migowego. Ale cały świat słyszy i mówi, więc to jest dla głuchych taka szkoła życia.

Justyna i Łukasz Michaliszynowie chcą złożyć „pozew o audyzm", czyli pozew o naruszenie dóbr osobistych ich głuchych dzieci. Dotąd nikt w Polsce tego nie zrobił.

– Audyzm jest trochę jak rasizm, tylko że dotyczy ludzi głuchych – mówią. Zakłada wyższość ludzi słyszących. Mówienie i słyszenie są uznawane za lepsze od migania. Głusi są „głuchoniemotami", „niemowami" i „małpami".

Justyna i jej mąż wiedzą, że sporo będzie zależało od tego, czy ktokolwiek zrozumie, co to znaczy „być głuchym". I na czym polega ta niewidzialna dyskryminacja. Przygotowali się.

Spróbują wyjaśnić

Zaczną jak zawsze: – Jesteśmy głusi.

Ludzie głusi nie słyszą: oddechu (niedosłuch 5-10 dB), szeptu (15-20 dB), spokojnej rozmowy (40-50 dB), klaksonu samochodu (95-100 dB). Dla człowieka słyszącego granica bólu to 125-130 dB.

Justyna i jej dzieci mają niedosłuch około 110 dB. Mąż Justyny jest osobą słabosłyszącą.

Głusi używają polskiego języka migowego, w skrócie PJM. Justyna, podobnie jak jej rodzice i dzieci, posługuje się PJM od urodzenia. To ich pierwszy język. I jedyny, którego bez trudu mogą się nauczyć. Polski mówiony jest dla nich językiem obcym.

Przez lata, a w niektórych szkołach do dziś, PJM był wyśmiewany i zakazywany. Za miganie karano. Wiązano dzieciom ręce, bito je po rękach, kazano klęczeć z podniesionymi rękami przez wiele godzin. Starsi opowiadają, że wycinano im paznokcie, by nie używali obolałych palców do migania.

Tymczasem PJM jest jak każdy inny język foniczny – bogaty, ma własną gramatykę i składnię. Języków migowych jest na świecie kilkaset. W wielu krajach są głusi profesorowie posługujący się językami migowymi. Organizowane są konferencje naukowe w językach migowych, powstaje poezja języka migowego, na języki migowe tłumaczone są najważniejsze dokumenty państwowe.

Języki migowe różnią się od mówionych, nie są ich miganą wersją.

Słyszący zapyta: „Jaki jest twój ulubiony przedmiot w szkole?". Głuchy za-

miga: „Szkoła przedmiot ty ulubiony jaki?”.

Pokażą przykłady audyzmu

Justyna staje za ramieniem syna, rejestruje kamerą telefonu zdalne zajęcia szkolne. Wybiera te, których nie rozumie. Czyli prawie wszystkie.

Jej dzieci – Emilia, Eryk i Emanuel – poszły do tej samej szkoły, którą Justyna skończyła prawie 20 lat temu, w której uczył się jej ojciec i przez kilka lat matka. Takie rodziny, w których głuchota występuje w kilku pokoleniach, nazywa się dynastycznymi.

Chłopiec wybiera okienko „terapia pedagogiczna”, na ekranie pojawia się Jolanta Kuryś-Skrzypczak, pedagog z Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niesłyszących w Poznaniu.

Pedagog mówi i używa systemu językowo-migowego, w skrócie SJM, nazywanego miganą polszczyzną. Osobom niezorientowanym może się wydawać, że miga do głuchego dziecka. Ale głusi SJM, wymyślonego przez słabosłyszących nauczycieli i znacząco różniącego się od PJM, zwykle nie rozumieją.

Justyna zna to uczucie. Gdy chodziła do szkoły, większość nauczycieli też nie migała w PJM. Historyk pisał coś na tablicy, odwracał się do uczniów i usiłował im coś pokazać. Wyglądało to jak pantomima dla małych dzieci. A potem wszyscy przepisywali z tablicy słowa – literka po literce, jak się przerysowuje szlaczki, które nic nie znaczą.

Pedagog mówi. Eryk i Justyna jej nie słyszą: „Dzień dobry. (...) Eryku, dlaczego jesteś taki smutny? Eryku, ty mnie trochę słyszysz czy nie? Nie? No co, będziemy teraz tak na siebie patrzeć, Eryku?”.

Chłopiec pisze na kartce „PJM” i pokazuje ją do kamery. Chce rozmawiać w jedynym języku, który zna.

„PJM” – powtarza pedagog i zaczyna się śmiać. „Ja dawno temu wiedziałam, jak się miga w PJM. (...) Ale teraz już zapomniałam. I nie rozumiem, dlaczego ty nie chcesz migać w systemie [SJM]? Wiem, że rozumiesz”.

Eryk pokazuje kartkę ze słowem „PROBLEM”.

Pedagog: „Ja rozumiem, że ty nie słyszysz, ale żyjesz razem ze słyszącymi i będziesz musiał trochę z nimi rozmawiać”.

Eryk próbuje wydobyć głos. Słychać niezrozumiałe dźwięki i ciężki oddech dziecka.

Pedagog widzi, że chłopiec się denerwuje: „Spokojnie, spokojnie. Zawsze jak razem pracowaliśmy, było dobrze”.

Wraca do wątku PJM: „Jak zostaniesz sam, mama albo tata umrze, to kto będzie opiekował się tobą? Będziesz musiał prosić o pomoc słyszące osoby. Lepiej, jak trochę będziesz mówił i migał. W Polsce jest dużo ludzi, którzy słyszą, i jak chcesz żyć w Polsce, to musisz trochę mówić (...)”.

Na pulpicie pojawia się pytanie: „Jak się czujesz?”.

Justyna nagrywa też inne lekcje. Trzeba je obejrzeć tak, jak oglądają je Justyna i jej syn – z wyłączonym dźwiękiem.

Lekcja biologii. Na ekranie monitora usta nauczycielki i model anatomiczny człowieka. Zbliżenie na tors, sąsiadujące ze sobą przełyk, żołądek i płuca. Nauczycielka mówi. Czasami coś pokazuje. Raczej pojedyncze słowa, często literowane alfabetem migowym. Zielony ołówek, który trzyma w lewej dłoni, jeździ po czerwono-bladych narządach. Raz w górę, zbliża się do ust manekina, to znów w dół, w stronę żołądka. „P-rz-e-p-o-d” – nauczycielka miga literka po literce. Coś mówi, ale jej usta są rozpikselowane. Znów miga, tym razem używając znaków migowych: „ty”, „oddychać”, „góra”. Jej usta zamykają się, a policzki napełniają powietrzem. „Dokładnie” – miga. Eryk też nabiera powietrza. Nauczycielka znów literuje „p-rz-e-p-o-d”, a potem miga: „pomagać”.

„Przepod” – może oznaczać „przepona”. Nauczycielka nie używa jednak znaku migowego, prawdopodobnie go nie zna, a literując słowo, robi błędy.

Teraz to samo nagranie, z dźwiękiem. Nauczycielka: „W górę. Jeśli wpuścicie powietrze, to wasza przepona podnosi się do góry, czy w dół? Tu jest przepona. Ona idzie w górę czy w dół? Jak się powiększa, idzie w dół, jak się pomniejsza, to do góry. Dokładnie tak. W czasie wdechu nabieramy powietrze, płuca rosną...”.

Jeszcze jedna lekcja – muzyka: nauczycielka opowiada o stylach muzycznych. Próbuje migać, ale kilkakrotnie w ciągu paru minut myli znaki, wprowadzając dzieci w błąd. Eryk jej nie rozumie. Na koniec puszcza teledysk Madonny „You’ll see”. Eryk siedzi i patrzy w ekran.

Tak wygląda większość lekcji w ośrodku.

Po kilku miesiącach nauki zdalnej rodzice głuchych dzieci otrzymują komunikat, że nagrywanie lekcji jest zabronione i że szkoła będzie powiadamiała „organy ścigania”. Komunikat nie jest przetłumaczony na PJM, jak większość komunikatów dyrekcji, więc Justyna go nie rozumie, zwłaszcza sformułowania „organy ścigania”.

Młodszy syn Justyny, Emanuel, trafia do grupy przedszkolnej, w której żadna z dwóch nauczycielek nie potrafi migać. Jedna ze słabosłyszących matek zauważa, że chłopcy migają do siebie: „Poderżnę ci gardło”. Pyta nauczycielkę, dlaczego nie reaguje. „Ja nie migam” – odpowiada.

Nim zaczęła się pandemia, dzieci Justyny wracały ze szkoły i migały, czego nie zrozumiały na lekcji. Otwierały zeszyty, pokazywały trudne słowa. Zdarzało się, że zupełnie nie wiedziały, co mówił nauczyciel. Justyna, jeśli potrafiła, tłumaczyła zadania słowo po słowie migając je na PJM. Trudniejsze słowa konsultowała ze słyszącymi znajomymi. Na koniec odpytywała dzieci w migowym i pokazywała, jak zapisać to po polsku. Tych zdań dzieci uczyły się na pamięć.

Emanuel jest coraz bardziej zniechęcony. Eryk nie chce już chodzić do szkoły.

Głos zabiorą inni rodzice

Sześcioro rodziców, których dzieci uczą się w poznańskiej szkole, zgadza się na rozmowę, ale tylko anonimową. Nie chcą, by ich zaangażowanie w sprawę odbiło się na dzieciach. Nie mogą sobie pozwolić na zmianę placówki, bo inne szkoły dla głuchych dzieci są zbyt daleko. Zmiana wiązałaby się z koniecznością oddania dziecka do internatu.

Ich dzieci są słabosłyszące i zupełnie głuche. Mają implanty i aparaty słuchowe. Posługują się PJM.

MATKA 1: – Największym problemem jest to, że większość nauczycieli nie zna PJM. Nasze dzieci nie rozumieją lekcji. To tak, jakby w polskich szkołach uczyli ludzie mówiący po japońsku.

MATKA 2: – Odkryliśmy to teraz, w czasie pandemii. Widzimy na ekranach nauczycieli, którzy mówią do naszych dzieci. Pytają je przez kamerkę: „Marek, słyszysz mnie?”.

MATKA 3: – Gdy zobaczyłam, że pani mówi do mojego głuchego syna, byłam zdziwiona. Dlaczego ona to robi? Przecież on nic nie słyszy.

MATKA 2: – Codziennie siadam na krześle obok biurka syna i tłumaczę mu lekcje. Nauczyliśmy się z mężem PJM, gdy się okazało, że nasz syn jest głuchy. Ale nie jesteśmy ekspertami z biologii, ↦

↦ chemii czy fizyki. Wielu rzeczy nie potrafimy wyjaśnić. Dobrze jest tylko na lekcji polskiego, bo pani świetnie miga w PJM, i na historii, bo miga całkiem nieźle.

OJCIEC 1: – Dlaczego szkoła nie postara się o tłumacza PJM, skoro większość nauczycieli nie potrafi migać?

MATKA 1: – To nas bardzo irytuje, że osoby, które zdecydowały się pracować w szkole dla głuchych dzieci, nie zadają sobie trudu, żeby się nauczyć jedynego języka, w którym nasze dzieci potrafią się komunikować. Nauczyciele mówią otwarcie: „Ja nie migam", bo takie zachowania są promowane przez dyrekcję.

OJCIEC 1: – Problem jest też w internacie, gdzie mieszkają głuche dzieci. Rozmawiałem z kilkoma z nich. Grupa jest mała, kilkuosobowa. Część dzieci miga, część jest słabosłysząca i mówi. Poprosiłem słabosłyszącą dziewczynkę, żeby podała coś głuchej dziewczynce – Agnieszce. Okazało się, że ona nie wie, jak jej koleżanka ma na imię. Choć mieszkają w jednym internacie od kilku lat. Te dzieci nie mają ze sobą kontaktu, podobnie jak nie mają żadnej relacji z mówiącymi, niemigającymi wychowawcami.

MATKA 1: – Czyli są pozbawione opieki. Choć trzeba podkreślić, że jest w ośrodku kilku pedagogów, którzy są zaangażowani w pracę z głuchymi dziećmi i uczą się PJM.

OJCIEC 2: – Ale są w zdecydowanej mniejszości. Motto szkoły jest takie, że dzieci mają umieć mówić zrozumiale dla słyszących i odbierać informacje dźwiękowe. Nasza córka, choćby nie wiem jak się starała, nie jest w stanie tego osiągnąć.

MATKA 2: – I takie dzieci są oceniane w poznańskiej szkole jako leniwe. Tylko dlatego, że migają. Nigdy nie są stawiane za wzór innym.

OJCIEC 1: – Dzieci, które migają, są uznawane za mniej inteligentne. Uczniów utwierdza się w takim przekonaniu. Jedno z dzieci, głuche od urodzenia, które szybko dostało implant i osiągnęło sukcesy w nauce mowy, powiedziało kiedyś: „Przestań z tym migowym, to jest prymitywny język".

MATKA 1: – Migające dzieci nie mają szans, żeby zyskać w ośrodku akceptację. Ośrodek jest nastawiony na naukę mówienia i słyszenia. Ewentualnie czytania słów z ruchu warg.

OJCIEC 2: – Widziałem, jak nauczycielka podeszła do dwóch migających chłopców. Jeden z nich potrafił też dość wyraźnie mówić. Zakazała im migać, bo ten mówiący ma ćwiczyć mówienie. Ale drugi chłopczyk potrafił tylko migać.

OJCIEC 2: – Wielokrotnie widziałem dzieci, którym udawało się coś powiedzieć. To one były tymi, które odnosiły sukces.

MATKA 2: – To był pierwszy dzień szkoły, uroczysta akademia. Pierwszoklasiści na scenie, rodzice na widowni. Zaczęło się pasowanie. Pani z mikrofonem podchodziła do każdego dziecka. Kazała im wypowiedzieć formułę ślubowania na głos. Zaczęło pierwsze dziecko, jego głos był wysoki, piskliwy, mowa niewyraźna. Ktoś się skrzywił, ktoś odwrócił wzrok. Mikrofon powędrował dalej, widać, że kolejne dziecko bardzo się denerwuje. I tak po kolei, każde było zachęcane do mówienia. Mnie się chciało płakać. W końcu jeden chłopczyk wypowiedział całą formułę, a pani odwróciła się do widowni i poprosiła o brawa dla niego.

OJCIEC 2: – Jasne, że głuche dzieci mogą pracować nad wymową. Ale one przecież często nie słyszą swojego głosu. Wstydzą się go. Publiczne wzywanie ich do mówienia jest krzywdzące.

MATKA 2: – Podobnie jest ze śpiewaniem. Ktoś w szkole wpadł na pomysł, że głuche dzieci wezmą udział w przeglądzie kolęd. Występowało kilka szkół, jedna po drugiej. Gdy wyszły głuche, ledwo śpiewające dzieci z keyboardem, na sali zapadła cisza. Pojawiały się komentarze: „Głusi, a śpiewają". Czy naprawdę nie można było przygotować kolęd w języku migowym?

MATKA 1: – Nauczycielka muzyki wysłała ostatnio mojemu głuchemu synowi utwór Mozarta z poleceniem, żeby odsłuchał. Napisałam do niej, czy to zadanie jest naprawdę dla nas. „Tak się spodziewałam, że będą kłopoty" – odpowiedziała. Czy niewidomemu dziecku ktoś kazałby obejrzeć obraz?

MATKA 3: – Podobnie traktuje się głuchych rodziców. Dyrekcja wysyła komunikaty z bardzo skomplikowanym słownictwem, które prawie nigdy nie są tłumaczone na PJM.

OJCIEC 2: – Od razu dzwonią do nas głusi rodzice, pytają, o co chodzi, proszą o przetłumaczenie.

OJCIEC 1: – Wywiadówki też nie są tłumaczone, a jeśli ktoś próbuje migać, to tylko tak pobieżnie. Pamiętam jeden przykład: przez kilkanaście minut pani dyrektor wymieniała, co w tym roku zrobiła rada rodziców. Na końcu nauczycielka zamigała: „Rodzice zrobili dużo, dużo...".

MATKA 1: – Rok temu jedna z matek, która zna PJM, wstała w czasie zebrania rodziców i zaczęła tłumaczyć słowa pani dyrektor głuchym rodzicom.

MATKA 2: – I to wszystko dzieje się w miejscu, które zostało stworzone z myślą o głuchych dzieciach. Gdzie powinny czuć się bezpiecznie.

MATKA 4: – Mój syn jest głuchy, ma zespół Downa. Bardzo długo szukałam sposobu, żeby nawiązać z nim kontakt. Jak każde dziecko potrzebuje języka. Specjaliści doradzili nam, że najlepszy będzie PJM. Wybraliśmy szkołę dla głuchych dzieci, bo sądziliśmy, że tam nauczą go migać. Pierwszego dnia w przedszkolu wychowawczyni powiedziała wprost: „Mamy zakaz migania". Zaczęłam ją prosić. Z moim dzieckiem nie da się inaczej skontaktować. Obiecała, że mimo zakazu będzie to robić. Zauważyłam, że gdy tylko pojawiała się jedna z dyrektorek ośrodka, wychowawczyni przestawała migać i zaczynała mówić do dzieci. W kolejnym roku syn trafił do grupy, w której panie biegle migały w PJM. Odetchnęłam. Ale w następnym jego grupę objęły wychowawczynie, które w ogóle nie migają. Miałam poczucie, że mój syn słabo się rozwija, szczególnie jeśli chodzi o komunikację. Zaczęłam dużo pracować z nim sama w domu. Czułam, że to ja uczę moje dziecko.

Wokół szkoły

Kilka osób mówi o atmosferze strachu wokół poznańskiej szkoły. Jedna z pracujących tam osób nerwowo odmawia rozmowy. Tłumaczy, że obowiązuje ją tajemnica zawodowa.

Inna, która półtora roku temu odbywała w ośrodku praktykę, prosi o anonimowość. – Na praktykę przyjmowała mnie szkolna pedagog. Pochwaliłam się, że mam trzystopniowy kurs PJM i jestem wykładowcą tego języka. „PJM to jest prymitywny język, którym głusi posługują się w domach. Nie ma racji bytu" – ucięła pedagog i dodała, że na praktykach mi się nie przyda, bo w ośrodku skupiamy się na mówieniu – mówi M.

W czasie 150 godzin praktyk M. widziała nauczycieli, którzy przez całą lekcję mówią, a głuche dzieci siedzą i patrzą na ich otwierające i zamykające się usta.

Nauczycieli, którzy mówią i tylko czasem, jakby dla zachowania pozorów, dorzucają kilka znaków w języku migowym, z których nic nie wynika.

MAREK ZAKRZEWSKI DLA „TP"

Dzieci Justyny poszły do tej samej szkoły, którą ona kończyła prawie 20 lat temu, w której uczył się jej ojciec i przez kilka lat matka. Takie rodziny, w których głuchota występuje w kilku pokoleniach, nazywa się dynastycznymi.

Nauczycieli, którzy próbują migać, ale ich znajomość PJM jest na poziomie podstawowym, mylą znaki, wprowadzają dzieci w błąd.

Nauczycieli, którzy złoszczą się na dzieci próbujące do nich migać.

I niewielu takich, którzy migają bardzo dobrze.

– Głuchy chłopiec chciał odpowiedzieć na pytanie w języku migowym. Nauczyciel go nie rozumiał. Kazał chłopcu usiąść, a sam narysował na tablicy tabelę, podzielił ją na dwie części: po jednej „plusy", po drugiej „minusy", przy imieniu chłopca postawił dużego minusa, karę za bycie niegrzecznym na lekcji – mówi M.

Obserwuje dzieci w szkole i w trakcie przerw. Na lekcjach ciche, nienaturalnie próbujące mówić. Część z nich potrafi wydobyć z siebie tylko niezrozumiały dźwięk. I potem te same dzieci w trakcie przerw, ożywione, spontaniczne, radosne. Opowiadające swoje historie w PJM.

– Dzieci szybko zauważyły, że bardzo dobrze migam. Trochę po kryjomu próbowały ze mną rozmawiać – mówi M. – Zwłaszcza jedna dziewczynka – słabosłysząca, której mowa, z powodu kłopotów z uzębieniem, była zupełnie niezrozumiała. Na lekcjach dziewczynka prawie się nie odzywała. Dlatego tak się ucieszyłam, gdy na przerwie chciała mi coś opowiedzieć migając. „Nie migamy do dzieci!" – krzyknęła do nas jedna z dyrektorek ośrodka. Kilka dni później dziewczynka spróbowała znowu. Wtedy stanęła między nami opiekunka praktyk i kazała nam natychmiast przestać migać. Mimo że dla tej dziewczynki to była jedyna forma komunikacji.

M. nie chce, by z naszej rozmowy wyszedł czarny obraz nauczycieli w szkołach dla głuchych dzieci. Wie, że często są pozostawieni sami sobie, są częścią systemu, nad którym nie panuje nikt.

Opowiada o klasach łączonych, w których są dzieci z afazją, a więc słyszące, mające problemy z mową. Dzieci słabosłyszące, z implantami, aparatami. Dzieci, którym nie udaje się zrozumiale mówić. Dzieci głuche z różnymi niepełnosprawnościami. I wreszcie dzieci głuche z rodzin dynastycznych, które posługują się tylko PJM. – Nauczyciel staje przed zadaniem prawie niemożliwym: jak poprowadzić lekcję, by dotrzeć do każdego z tych dzieci? – mówi.

By „dotrzeć do głuchych dzieci", w Polsce stosuje się różne metody, najczęściej „metodę totalną", czyli używa się wszystkich metod, które istnieją. Wśród nich popularna jest XVIII-wieczna oralna metoda nauczania, zgodnie z którą do głuchych dzieci należy mówić i uczyć je odczytywać słowa z ruchu warg. Z różnych badań wynika, że dzieciom udaje się odczytać w ten sposób około 20 proc. komunikatu. Używa się też wprowadzonego w latach 80. XX w. SJM, czyli miganej polszczyzny, być może pomocnego w nauce dzieci słabosłyszących, ale dla głuchych – całkowicie niezrozumiałego.

Metoda dwujęzyczna – popularna w Stanach Zjednoczonych czy krajach skandynawskich, która polega na tym, że głuche dzieci uczy się najpierw języka migowego, a dopiero potem fonicznego, jako drugiego, obcego – jest rzadkością. Z przeprowadzonych kilka lat temu ankiet wynika, że zaledwie 15 proc. nauczycieli szkół dla głuchych dzieci miga w PJM. W poznańskiej szkole na 105 nauczycieli biegle PJM posługuje się pięcioro. PJM nie znają osoby zatrudnione w sekretariacie, w stołówce i w szatni.

Co to oznacza dla głuchego dziecka?

Jeśli jest z rodziny głuchej i zna PJM, to jest tym dzieckiem, które nie rozumie prawie nic z lekcji i uczy inne dzieci migać. W szkole poznańskiej nie ma w planie lekcji „polskiego języka migowego". Pojawia się jedynie w ramach rewalidacji indywidualnej. Dzieci mają do wyboru godzinę tygodniowo PJM lub SJM. Dopiero od kilku lat są podręczniki do PJM, a i tak nie są używane we wszystkich szkołach.

Jeśli jest ze słyszącej rodziny, a słyszących rodziców ma ponad 95 proc. głuchych dzieci, trafia do szkoły najczęściej ze słabo rozwiniętym językiem albo bezjęzyczne. Nie zna polskiego, bo go nie słyszy, ani migowego – bo nikt wokół nie miga.

– Osoby głuche, które przez wiele lat nie rozwijają się językowo albo mają ten rozwój utrudniony, mogą być wtórnie niepełnosprawne intelektualnie – mówi osoba, która współpracuje ze szkołami i diagnozuje dzieci. – Nawet jeśli potencjał startowy mają wysoki i na badaniach niewerbalnych wypadają w normie intelektualnej, to pozbawione języka nie radzą sobie z adaptacją. Złe decyzje edukacyjne powodują, że potencjał startowy zostaje zaprzepaszczony. Jeśli badam czternastolatka, który nie zna żadnego języka, to muszę orzec częściową niepełnosprawność.

Żeby wejść na stronę ośrodka, głuche dzieci muszą wpisać w wyszukiwarce internetowej: „slysze.edu.pl".

Dyrekcja

– Dlaczego nauczyciele w szkole dla głuchych dzieci nie znają PJM, którym posługują się głusi? – pytam Jolantę Rułę, dyrektor ośrodka.

– W Polsce nie ma takiego wymogu – mówi wprost. I wyjaśnia: – W szkołach dla głuchych dzieci przyjmujemy absolwentów surdopedagogiki, którzy na studiach uczą się zwykle SJM, i to w niewielkim wymiarze godzin. Bycie absolwentem surdopedagogiki jest jedyną wymaganą kwalifikacją do nauczania głuchych dzieci.

I dalej: – Stosujemy komunikację totalną, staramy się porozumieć z dzieckiem w tym języku, w którym jest nam najłatwiej do niego dotrzeć.

– A nie w tym języku, w którym dziecku jest najłatwiej przyswoić informacje? – dopytuję.

Dyrektor Ruła: – PJM jest na pewno najlepszy do kontaktu z głuchymi dziećmi. ↦

↦ Ale nie jest przydatny do uczenia przedmiotów i przygotowywania do egzaminów, które w Polsce nie są tłumaczone na PJM. Głuche dzieci muszą je zdać w języku polskim. Normą w naszej szkole jest nauczanie języka polskiego. Głuche dzieci żyją wśród osób słyszących i muszą sobie po skończeniu szkoły jakoś radzić.

– Czy uważa pani, że głuche dzieci zawsze mogą nauczyć się mówić, pisać i czytać po polsku? – pytam dalej.

Jolanta Ruła: – Nie, oczywiście, że nie.

Ostatnie pytanie: – Czy nie wydaje się pani, że egzamin ustny dla dziecka, które nie potrafi mówić, jest formą przemocy?

Jolanta Ruła: – Tak wygląda sytuacja we wszystkich szkołach w Polsce. Jedynym dostosowaniem egzaminów ósmoklasisty czy maturalnych dla głuchych dzieci jest wydłużenie egzaminu pisemnego o pół godziny i możliwość przetłumaczenia instrukcji wstępnej na język migowy. Ale poleceń już nie możemy tłumaczyć. Jeśli głuche dziecko nie nauczy się języka polskiego w mowie i piśmie, to nigdy nie zda żadnego egzaminu, a my nie będziemy realizować zadań, które mamy jako szkoła.

W 190-letniej historii poznańskiej szkoły maturę zdały „dwie, może trzy osoby" – dodaje dyrektor Ruła.

Przedstawią dokumenty

Justyna Michaliszyn otwiera foldery z dokumentami.

Są tu Indywidualne Programy Edukacyjno-Terapeutyczne (IPET) przygotowane dla jej dzieci przez szkolnych pedagogów. Wśród celów: „Odbiór sygnałów dźwiękowych: odbiór dźwięków mowy z otoczenia", „Usprawnienie pracy aparatu artykulacyjnego, wywoływanie głosek, poszerzenie zasobu słownictwa i umiejętności komunikacji z otoczeniem. Odczytywanie mowy z ust". Wśród uwag: „Nie odbiera języka drogą słuchową", „Mowa chłopca jest niezrozumiała". W rubryczce „funkcjonowanie emocjonalne": „Zdarza się, że chłopiec nie słucha poleceń nauczyciela". Jest też informacja, że ucząc głuche dzieci gry na flecie, należy „pozwolić uczniowi skupić się na pamięci układów palców do poszczególnych dźwięków – oceniać za to, nie natomiast za jakość wydobywania dźwięków". I zachęta do „cierpliwego poszukiwania drogi komunikacji ze wszystkimi rówieśnikami i dorosłymi".

Jest korespondencja z dyrekcją ośrodka.

Pierwsza prośba o nauczyciela znającego PJM jest z datą 14 kwietnia 2018 r. Kolejna, bardziej oficjalna – z 27 listopada 2019 r.

Na początku 2020 r. dochodzi do spotkania z dyrekcją szkoły i przedstawicielami Wydziału Oświaty Miasta Poznań. Justynę i jej męża wspiera Towarzystwo Tłumaczy i Wykładowców Języka Migowego „Gest". Przedstawiają postulaty, w tym najważniejszy – dostęp do edukacji głuchych dzieci państwa Michaliszynów w PJM. Co oznacza zatrudnienie migających biegle nauczycieli lub tłumacza PJM.

Mimo że sprawa ciągnie się od prawie dwóch lat, dyrekcji nie udaje się znaleźć tłumacza. Dyrektor Ruła zapewnia, że skontaktowała się z 21 osobami. W czasie pandemii lekcje tłumaczy wychowawczyni z niedziałającego chwilowo internatu, która dopiero uczy się PJM.

Ostatni folder. Konstytucja RP, a w niej artykuł 70, punkt 1. „Każdy ma prawo do nauki". Powszechna Deklaracja Praw Człowieka z 1948 r.: „Każdy człowiek ma prawo do oświaty". Konwencja o Prawach Dziecka ratyfikowana przez Polskę w 1991 r.: każdy ma prawo do nauki „bezpłatnej i obowiązkowej w zakresie szkoły podstawowej". I konwencja ONZ o prawach osób niepełnosprawnych, podpisana przez Polskę w 2012 r., art. 24: „Państwa uznają prawo osób niepełnosprawnych do edukacji" i dalej: „takiej, dzięki której mogą rozwijać swój potencjał, poczucie godności i własnej wartości. A także osobowość, talenty i kreatywność". Na końcu informacja o tym, że „państwa starają się zatrudnić nauczycieli, w tym niepełnosprawnych, którzy posiadają kwalifikacje w zakresie języka migowego".

Z raportu opublikowanego w 2014 r.: „W ocenie Rzecznika Praw Obywatelskich prawo osób głuchych do edukacji w najdogodniejszym dla nich języku – polskim języku migowym – nie jest w Polsce realizowane".

I tak jest do dziś.

©℗ ANNA GOC

Autorka pracuje nad książką o osobach głuchych, która ukaże się w wydawnictwie Dowody na Istnienie.

My to państwu wygramy

MAREK RABIJ

Kryzys frankowy pokazał, że w starciu z bankiem klient jest zawsze stroną słabszą – a nierzadko również pokrzywdzoną. Identycznej lekcji udzielają właśnie kredytobiorcom niektórzy prawnicy.

Około 91 mld zł – to aktualna wartość tzw. czynnych hipotek frankowych. A mówiąc prościej: suma, jakiej domagają się banki w Polsce od posiadaczy wszystkich spłacanych jeszcze kredytów denominowanych w szwajcarskiej walucie. Aby nie zostawiać tej kwoty bez kontekstu, wystarczy dodać, że to niemal dwa razy tyle, ile państwo polskie przewidziało w ubiegłorocznym budżecie na obronność (49,8 mld zł) i tylko 7,2 mld zł mniej od stanu kasy Narodowego Funduszu Zdrowia, który na liście państwowych wydatków stanowi jedną z głównych pozycji.

Słuchając wystąpień przedstawicieli samych banków, można też nabrać wrażenia, że dokładnie tyle pożyczyły one Polakom na mieszkania w obcej walucie, głównie we franku szwajcarskim. Taka opowieść ma umacniać wizerunek branży, która chce uchodzić za koło zamachowe polskiej gospodarki. W rzeczywistości udostępniony początkowo kapitał stanowi jedynie drobną część aktualnego zadłużenia frankowiczów. Na resztę składają się prowizje i odsetki oraz – i tu wychodzimy już poza sferę warsztatu klasycznej bankowości – gigantyczny walutowy nawis, powstały wskutek znacznego osłabienia złotego do franka. Kredytobiorca, który w 2006 r. pożyczył

na zakup mieszkania około 450 tys. zł na 30 lat, po 15 latach sumiennego spłacania kredytu, w trakcie których oddał bankowi już blisko 500 tys. zł, jest mu nadal winien jakieś kolejne pół miliona – i to licząc po aktualnym kursie szwajcarskiej waluty, która w ostatnich miesiącach nieco osłabła do złotego.

Niech sąd pomoże

Około 428 tysięcy polskich rodzin jest dziś zatem *de facto* zakładnikami kredytów, które przez kolejne lata będą ciężyć na jakości ich życia i rzutować na wiele decyzji. Z punktu widzenia samych banków kluczową sprawą jest natomiast – używając ich slangowej terminologii – „dowiezienie tej cyfry", czyli zamknięcie rachunków kredytowych podliczonych na warunkach zapewniających tak wysoką rentowność. Rzecz w tym, że po wyroku TSUE – który jesienią 2019 r. dał polskim sądom do zrozumienia, iż w sporze kredytobiorcy z bankiem mają roztaczać większą opiekę nad stroną słabszą, jaką zawsze jest klient – szanse na taki sukces znacząco zmalały. Tylko w ubiegłym roku do sądów trafiło ponad 30 tys. pozwów frankowiczów, którzy domagają się unieważnienia umów kredytowych zawierających klauzule indeksujące wysokość kredytu o kurs szwajcarskiej waluty, uznane przez TSUE za nielegalne. Około 4,5 tys. takich spraw dobiegło już prawomocnego końca w dwóch instancjach, w większości na korzyść kredytobiorców.

W pierwszym kwartale tego roku tempo, w jakim przybywa pozwów, nieco siadło, ale wniosków jest tak wiele, że Sąd Okręgowy w Warszawie, przed którym toczy się niemal połowa frankowych procesów, wydzielił dla tego typu spraw w kwietniu specjalny wydział z 12 sędziami.

Skalę zainteresowania pozwami frankowymi, które składają nie tylko kredytobiorcy w trakcie spłaty, ale także osoby, które już rozliczyły się z bankiem i chcą odzyskać niesłusznie ich zdaniem naliczoną dopłatę, dostrzegli rzecz jasna również prawnicy. Kodeks etyki zawodowej zakazuje wprawdzie adwokatom i radcom prawnym reklamowania usług, ale umożliwia informowanie o publikacjach oraz podawanie do publicznej wiadomości danych o instytucjach, z którymi współpracują. To wystarczyło, by w internecie zaroiło się od ofert kuszących frankowiczów właściwie pewną wygraną, uzależnioną rzekomo jedynie od dopełnienia sądowych formalności. Ciężar dotarcia do klienta wzięły na siebie komercyjne podmioty, które współpracują z kancelariami adwokackimi i radcami prawnymi – i których nie obowiązują, niestety, niemal żadne etyczne obostrzenia. Pomoc kredytobiorcom oferuje m.in. spółka, która wcześniej zajmowała się fotowoltaiką.

91 mld zł

– to przybliżona aktualna wartość tzw. czynnych hipotek frankowych.

798,2 tys.

– tyle kredytów we frankach sprzedały banki w Polsce.

– W niektórych przypadkach mówić można wręcz o wprowadzaniu potencjalnych klientów w błąd – podkreśla Arkadiusz Szcześniak, prezes stowarzyszenia Stop Bankowemu Bezprawiu, jednej z najdłużej działających organizacji zrzeszających polskich frankowiczów. – Jeden z najbardziej agresywnych graczy informuje np., że ostatni wyrok TSUE uniemożliwił bankom domaganie się opłat za korzystanie z kapitału po unieważnieniu umowy. A to nieprawda, bo Trybunału nawet o to nie spytano.

Proces na raty

Korzystanie z usług komercyjnego pośrednika nie musi oczywiście oznaczać pewnej porażki; czasem pozwala też zaoszczędzić na kosztach procesowych, bo tego typu firmy przy dużej liczbie prowadzonych spraw mogą wynegocjować w kancelariach lepsze warunki. Wiele z tych firm, podobnie zresztą jak adwokaci, rozkłada płatność na kilka rat, a nawet w systemie comiesięcznego abonamentu (wtedy jednak trzeba sprawdzić, czy umowa wyznacza górny limit opłat, sprawy frankowe ciągną się bowiem zazwyczaj latami).

Problem w tym, że oferty pośredników są często niemożliwe do porównania. Najtańsze bywają kancelarie i spółki niemające doświadczenia w procesach frankowych – nawet jeśli na swoich stronach chwalą się 90-procentową skutecznością w sądzie, przypisując sobie cudze sukcesy na wokandzie. Cena zastępstwa procesowego może również zależeć od jego rzeczywistej skali; część firm, żerując na nieznajomości sądowego rzemiosła wśród klientów, sprytnie maskuje to, że doprowadzi sprawę jedynie do pewnego etapu, np. do wyroku pierwszej instancji czy wręcz tylko do skutecznego złożenia pozwu. Zdarzają się i takie, które w umowie podsuwanej klientowi dopiero w dniu jej zawarcia zastrzegają sobie wypłatę kosztów zastępstwa procesowego zasądzonego od przegranej strony, podczas gdy zgodnie z prawem przysługuje ona wygranej stronie, a nie prawnikowi. Jak mówi Arkadiusz Szcześniak, kluczowym problemem z punktu widzenia frankowicza bywa jednak co innego. Pośrednicy rzadko mogą wyznaczyć jednego prawnika do poprowadzenia sprawy od początku do końca. Zmiany adwokata w trakcie procesu skutkują tym, że nowy mecenas musi od początku wgryzać się w materię sprawy, która zgodnie z kodeksową zasadą powagi rzeczy osądzonej może trafić do rozpatrzenia w pierwszej instancji tylko raz. Spartaczony na początku proces może być już nie do wygrania. ©℗

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 654/20 z wniosku Janiny Krystyny Podolak toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości położonej w obrębie Białopole, gmina Białopole, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 467, o pow. 1,0999 ha, stanowiącej grunty orne, dla której nie był wydany akt własności ziemi i nie został uregulowany stan prawny.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców Daniela Buczaka (s. Stefana i Eufrozyny), aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się w sądzie i udowodnili swe prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

WARTOŚCI PRZYUCZANE

Czy dobry jest pomysł ministra Czarnka, żeby katecheza zamiennie z etyką była w szkole obowiązkowa?

KAROL KLECZKA

Co ja mam, proszę pana, z tą oceną zrobić? Z czego ta ocena jest?" – zapytał retorycznie ksiądz, patrząc na moje ostatnie szkolne świadectwo, gdy przyszedłem spisać protokół przedślubny. Rubryka „religia/etyka" nie dostarcza żadnych informacji o tym, na który z przedmiotów chodził uczeń, a to zaledwie początek trudności związanych z alternatywą między lekcjami religii i etyki.

„Nauka albo religii, albo etyki będzie obligatoryjna, by do młodzieży docierał jakikolwiek przekaz o systemie wartości" – zadeklarował minister edukacji Przemysław Czarnek w wywiadzie udzielonym niedawno „Gazecie Polskiej", zapowiadając jednocześnie konieczność „wykształcenia nauczycieli etyki i napisania porządnego podręcznika". Słowa ministra spotkały się ze sporym odzewem medialnym, choć to nienowy postulat, co podkreśla w rozmowie z KAI ks. prof. Piotr Tomasik, koordynator Biura Programowania Katechezy Konferencji Episkopatu Polski, przypominając, że od kilkunastu lat jest on przez biskupów podnoszony. „Komuś, kto nie chodzi na religię (...), czyli bezwyznaniowcom, proponowana jest etyka. Z wychowawczego punktu widzenia ma to duży walor" – uważa duchowny. Powyższe postulaty dotyczą funkcjonującej w Polsce od 1992 r. zasady dobrowolnej organizacji zajęć z religii (dowolnego wyznania) czy etyki, o ile w szkole znajduje się odpowiednio duża grupa chętnych, którzy chcieliby w takich lekcjach brać udział.

Rozporządzenia rozporządzeniami, lecz rzeczywistość funkcjonowania zajęć mających „przekazywać system wartości" jest znacznie bardziej złożona. Już w 1990 r., gdy prof. Henryk Samsonowicz, ówczesny minister edukacji, wprowadził możliwość prowadzenia lekcji

JAGODA GOROL / AGENCJA GAZETA

religii w szkołach, do Trybunału Konstytucyjnego wpłynął wniosek RPO o uznanie instrukcji ministerstwa za sprzeczną z ówczesnym prawem. „Pamiętam rozmowę w pociągu z Warszawy do Krakowa w dniu wydania 30 stycznia 1991 r. orzeczenia TK" – wspomina prof. Andrzej Zoll w artykule opublikowanym na stronie Kongresu Katoliczek i Katolików. „W przedziale, w którym jechałem, siedział także ks. Tadeusz Pieronek, późniejszy biskup i sekretarz Episkopatu. Spytał mnie o treść wydanego orzeczenia. Po wysłuchaniu mojej relacji stwierdził, że Kościół, jako wspólnota wiernych, wiele przez nie stracił. Dzisiaj podzielam to stanowisko" – dodaje prof. Zoll. Trybunał, w którym zasiadał, sprzeciwił się wnioskowi RPO, tym samym zatwierdzając obecność lekcji religii w szkole. To jednak dopiero otwarło dyskusję.

Polityka i edukacja

Katecheta nagrodzony tytułem Nauczyciela Roku 2019, ks. Damian Wyżkiewicz, w wydanej w ubiegłym roku rozmowie rzece „Ostatni dzwonek" podkreślał, że wybór przez uczniów tzw. trzeciej drogi, czyli rezygnacja z udziału zarówno w lekcjach religii, jak i etyki, uderza zwłaszcza w tę drugą dyscyplinę. „Efekty (...) widać doskonale na przykładzie forów internetowych – na Facebooku i w innych jeszcze mediach, gdzie dyskusje przeradzają się w straszne, pełne hejtu shitstormy" – mówił. Choć ks. Wyżkiewicz uważa, że lekcje religii lub etyki powinny być obowiązkowe, to dziś w stosunku do pomysłów ministra Czarnka pozostaje krytyczny. – Słowa ministra uczyniły ze sprawy lekcji religii i etyki sprawę polityczną – mówi. – Jeszcze kilka lat temu, kiedy próbowaliśmy w gronie katechetów zauważyć realny problem braku etyki, ta dyskusja była znacznie bardziej merytoryczna. Trzeba wyczuć moment z takimi zapowiedziami.

Jego zdaniem obecnie uczniowie mierzą się ze znacznie poważniejszymi problemami, jakie zgotowała im edukacja w czasie pandemii.

Na zły moment, w którym padła deklaracja ministra, zwraca uwagę również Dorota Wójcik, prezeska fundacji Wolność od Religii, która od kilku lat prowadzi projekt „Równość w szkole", skoncentrowany na działaniach antydyskryminacyjnych wobec uczniów należących do mniejszości bezwyznaniowej. – O ile zrozumiałabym wprowadzenie do dyskusji tematu obowiązkowych zajęć z etyki, o tyle to nie jest moment na takie pomysły – twierdzi działaczka, która podejrzewa, że pomysły ministra celują we wprowadzanie „ukrytych lekcji religii" lub pewnej formy indoktrynacji światopoglądowej pod płaszczykiem zajęć z etyki.

Jej obaw nie podziela Jakub Niewiński, nauczyciel etyki w Szkole Podstawowej nr 1 w Murowanej Goślinie. – Myślę, że głosy wyrażające obawę przed upolitycznieniem treści obecnych na naszych lekcjach nie są głosami nauczycielek i nauczycieli, którzy w pełni zdają sobie sprawę z dokumentów, które organizują ich pracę – podkreśla etyk. – Nauczyciel może stworzyć własny program nauczania i nie musi korzystać z jednego podręcznika. Obowiązuje go przede wszystkim podstawa programowa, która wyznacza ramy merytoryczne, jeśli chodzi o treści nauczania, a obecna podstawa programowa z etyki jest bardzo otwarta i rozsądnie napisana. Dopóki jest aktualna, nie mam większych obaw.

Odpływ uczniów

Minister Czarnek swoją wypowiedź osadził w kontekście – jak sam mówił – „zbiegowisk, które kompletnie bezrefleksyjnie podchodzą do życia", co skłoniło do takiej interpretacji jego słów, które źródeł deklaracji poszukują w odpływie uczniów z nieobowiązkowych zajęć religii, jaki nasilił się w Polsce w ostatnich kilku miesiącach. Takiego zdania jest choćby Dorota Wójcik. „To efekt Strajku Kobiet. Rodzice i uczniowie decydowali się na wypisanie z religii na znak sprzeciwu wobec zaangażowania się Kościoła w agitację na rzecz zaostrzenia prawa aborcyjnego" – twierdzi w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" przewodnicząca fundacji Wolność od Religii.

Jak podaje rocznik statystyczny Kościoła katolickiego w Polsce, w roku szkolnym 2019/2020 na religię uczęszczało 87,6 proc. uczniów, czyli o 0,4 proc. mniej niż w roku ↦

Pierwszy dzień wiosny. Opole, marzec 2016 r.

↦ poprzednim. Ta liczba nie pokrywa się jednak z badaniami „Młodzież 2018" przeprowadzonymi przez CBOS, z których wynika, że w roku 2018 tylko 70 proc. uczniów zadeklarowało udział w lekcjach religii. Trudno zrzucać tak sporą rozbieżność danych na samą metodologię badania, niemniej CBOS przedstawia stały spadek zainteresowania religią w szkole od szczytu osiągniętego w 2010 r. (93 proc.). Sama tendencja spadkowa jest zauważalna zwłaszcza w większych miastach wojewódzkich. Szczególnie głośno było o przykładzie z Łodzi, gdzie w trakcie obecnego roku szkolnego wypisało się z religii ponad 12 tysięcy uczniów szkół średnich, czyli niemal 20 proc. całej młodzieży szkolnej z tej grupy wiekowej.

– Mam bardzo dużo kontaktów z uczniami, którzy nie chodzą na religię i nie owijają sprawy w bawełnę: jeśli nie muszą na religię chodzić, to nie chodzą – mówi ks. Wyżkiewicz.

Ksiądz Damian uczy w Zespole Szkół nr 22 im. Emiliana Konopczyńskiego w Warszawie, gdzie spotyka się z licealistami i uczniami technikum. Zwłaszcza ta druga grupa rezygnuje z dodatkowych zajęć z religii, co zresztą nie dziwi duchownego, który podaje jeszcze jeden powód rezygnacji młodzieży. – I tak mają dużo zajęć. W technikum uczniowie miewają 10 godzin lekcji pod rząd – podkreśla duchowny. – Biskupi myślą, że w szkole jest katecheza, ale nie ma czegoś takiego jak katecheza szkolna. Dyrektorium katechetyczne twierdzi, że katecheza może być prowadzona najwyżej w szkole katolickiej, gdzie zakłada się wspólnie wyznawane wartości. Lekcje religii nie są katechezą, tylko wprowadzeniem w chrześcijaństwo, które należy prowadzić szeroko, z podkreśleniem związku religii, filozofii i etyki. Problemem lekcji religii w szkole jest jednak podejście wyznaniowe, które zamyka miejsce na dyskusję, a tak się podziało. To wprost prowadzi do wypisywania się z lekcji przez uczniów – dodaje ks. Wyżkiewicz.

W Łodzi podczas obecnego roku szkolnego **wypisało się z religii ponad 12 tys. uczniów** szkół średnich, czyli niemal 20 proc. całej młodzieży szkolnej z tej grupy wiekowej.

Katecheta nie zastąpi etyka

Spadek zainteresowania nie dotyka jednak wyłącznie religii. W raporcie przygotowanym w 2019 r. dla TVN24 Justyna Suchecka zauważyła, że dotyczy on także lekcji etyki. W roku szkolnym 2018/2019 zajęcia z tego przedmiotu prowadzone były w 2964 szkołach na 14 584 placówek, lecz jeszcze dwa lata wcześniej etyki uczono w ponad tysiącu szkołach więcej. – W mojej szkole była możliwość uczęszczania na etykę, ale już jej nie ma – opowiada ks. Wyżkiewicz. – Długo pracowała u nas pani etyk, ale uczniowie przestali się zapisywać na te zajęcia. Z panią Małgorzatą współpracowało mi się bardzo dobrze. Niestety, została zwolniona – żałuje katecheta.

Problem z etyką jest o tyle inny, że w tym przypadku na spadek od lat wpływają również dodatkowe czynniki. Fundacja Polistrefa poświęciła im w 2015 r. raport, z którego wynika, że obok niewystarczającej liczby chętnych w grę wchodzi także zniechęcanie do prowadzenia lekcji etyki przez niektórych nauczycieli (w tym katechetów), stygmatyzacja uczestników zajęć z etyki przez innych uczniów, a także negatywne nastawienie dyrekcji szkół do zatrudniania etyków.

O takim przypadku mówiła mi Dorota Wójcik, której fundacja interweniowała w jednej z warszawskich szkół, gdzie pomimo zainteresowania rodziców i uczniów przez trzy lata nie udało się zatrudnić nauczyciela etyki. Dopiero po nagłośnieniu sprawy w kuratorium nauczyciel się znalazł. Na problemy kadrowe może również wpływać fakt, że brakuje odpowiedniego projektu zatrudniania przyszłych nauczycieli etyki, choćby w postaci angażowania absolwentów filozofii. Takimi obawami dzieli się Wójcik: – Państwo obecnie nie jest w stanie zapewnić tak dużej liczby osób wykwalifikowanych do nauczania etyki, aby byli w stanie prowadzić obligatoryjne lekcje. Co zrobi polska szkoła? Zatrudni katechetów, dla mnie to jest oczywiste. Minister Czarnek zaproponował rozwiązanie przemocowe: jeśli uczniowie pełnoletni i rodzice uczniów niepełnoletnich decydują się na odejście od religii, to ich do tego zmusimy. Religia stanie się przedmiotem obowiązkowym.

– Nie może być tak, że w efekcie jakichś ewentualnych zmian zostaną tylko lekcje religii, a do etyki zabraknie ludzi. Tyle że katecheci uczący etyki to bardzo niepokojąca perspektywa, ponieważ nie mają uprawnień do jej wykładania – podkreśla ks. Wyżkiewicz. – W 2015 r. zaczynałem studia doktoranckie i pojawiła się wtedy możliwość, żebyśmy jako doktoranci uczyli etyki i filozofii w szkole – wspomina. – Nie wyobrażam sobie, że zostałbym zatrudniony do prowadzenia takich lekcji jako ksiądz, ale mam wykształcenie filozoficzne potwierdzone licencjatem z UJ, dlatego zgłosiłem się do szkoły i wszystko grało, dopóki nie okazało się, że brakuje na nas pieniędzy. Cały projekt się posypał. Myślę o tym teraz, w kontekście różnych ministerialnych pomysłów, bo po prostu nie ma kogo angażować do pracy jako etyków. Nie możemy robić łapanki ludzi.

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 171/21 toczy się postępowanie z wniosku Heleny Partyki o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w Kotowej Woli, oznaczonej numerem ewidencyjnym 1447 o powierzchni 0,3401 ha. W dawnych lwh 740 jako właściciele ujawnieni są Jan Bednarczyk, Karolina Bednarczykówna, Katarzyna Bednarczykówna, mał. Maryjanna Bednarczykówna, mał. Józef Bednarczyk.

Wzywa się wszystkich spadkobierców Jana Bednarczyka, Karoliny Bednarczykówny, Katarzyny Bednarczykówny, mał. Maryjanny Bednarczykówny, mał. Józefa Bednarczyka, aby zgłosili się do udziału w sprawie i wykazali swoją własność w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia pod rygorem stwierdzenia zasiedzenia.

Warunek ukończenia dodatkowych studiów podaje również ks. prof. Piotr Tomasik, który zaznacza, że choć nie ma formalnych przeciwskazań prawnych, to nie powinno dochodzić do takiej sytuacji, by w jednej szkole ten sam nauczyciel odpowiadał za lekcje religii i etyki. „Gdyby jakiś nauczyciel religii spytał mnie, czy może iść na studia podyplomowe i potem uczyć etyki, to nie widziałbym przeciwwskazań, ale doradziłbym mu, aby wziął te godziny w innej szkole. Tu występuje bowiem jako przedstawiciel Kościoła czy jakiegokolwiek innego związku wyznaniowego, a tam może uczyć jako przedstawiciel pozawyznaniowego systemu szkolnego" – mówi duchowny w rozmowie z KAI.

Fałszywa alternatywa

Ale czy samo zestawienie religii i etyki jako przedmiotów alternatywnych ma w ogóle sens? Doświadczenia Jakuba Niewińskiego są zupełnie inne. – Nie wiem, czy alternatywa religia vs. etyka jest tylko utartą formułką powtarzaną w mediach, ale sam mam wątpliwość, czy ten slogan jest prawdziwy. Połowa moich uczennic i uczniów chodzi na oba przedmioty – zauważa etyk. – W naszej szkole uczniowie i ich rodzice świadomie wybierają zarówno lekcje religii, jak i etyki, dlatego podejrzewam, że z radością przyjęliby oni obligatoryjność tego drugiego przedmiotu, bo nie widzą tu żadnej antytezy.

– Taka fałszywa alternatywa pojawiła się przy powrocie religii do szkół i opiera się na prostym myśleniu: dla wierzących religia, dla niewierzących etyka. Tak jakby wierzący etyki nie potrzebował – twierdzi ks. Wyżkiewicz, który uważa, że traktowanie etyki jako „antykatechezy" jest niepoważne. – Religia i etyka muszą być dwoma autonomicznymi przedmiotami, które nie stoją ze sobą w konflikcie. Z pewnością, jeśli pojawiają się głosy o opieraniu podręczników tylko i wyłącznie na wartościach chrześcijańskich, to coś tu nie będzie grać, bo żyjemy w społeczeństwie gdzie jest wiele światopoglądów – podkreśla duchowny.

Podobnego zdania jest Dorota Wójcik, która zauważa, że traktowanie etyki jako przedmiotu drugiego wyboru czy swego rodzaju „katechezy dla ateistów" jej szkodzi.

Szkoda jest zresztą obopólna, bo budowanie alternatywy lekcji religii i etyki zubaża również tę pierwszą. – W efekcie pojawia się myślenie magiczne o religii albo przebijają się antynaukowe wypowiedzi katechetów, jak niedawno w Limanowej, gdzie duchowny prezentował elektrowstrząsy jako metodę „leczenia homoseksualizmu" – krytykuje ks. Wyżkiewicz. – Weźmy problem sumienia. Wielu uczniów nie zdaje sobie sprawy, że to władza intelektualna, tylko mają jakieś pojęcie spirytualistyczne czy emocjonalne. Na religii uczy się, że sumienie to sanktuarium Boże, w którym Bóg przemawia do człowieka: kto to zrozumie? W efekcie takiego rozłączania myślenia religijnego od filozoficznego uczeń będzie postrzegał tę pierwszą przestrzeń w kategoriach bajkowych, a nie racjonalnych – dodaje.

> Państwo nie jest w stanie zapewnić tak dużej liczby osób wykwalifikowanych do nauczania etyki, aby byli w stanie prowadzić obligatoryjne lekcje.
> **Co zrobi polska szkoła? Zatrudni katechetów.**

Pożytki z obowiązku?

Obok licznych wątpliwości jest jeszcze jedna, ta najbardziej podstawowa, która nieco umyka w kontekście wielowątkowych sporów o religię i etykę w szkole. Czy z obowiązkowych lekcji jednego i drugiego przedmiotu będzie w ogóle jakiś pożytek?

– W kwestii obowiązkowych lekcji etyki jestem bardzo radykalny, bo gdybym mógł, to przypisałbym je wszystkim uczniom i uczennicom – śmieje się Jakub Niewiński. – Etyka jest częścią filozofii, która ma wymiar praktyczny i ogromnie jej potrzebujemy. Bardzo bym się cieszył, gdyby etyka stała się przedmiotem obowiązkowym dla wszystkich, niezależnie od tego, czy są wyznawcami konkretnej religii, czy są niewierzącymi, bo to umożliwiłoby budowanie lepszych relacji w społeczeństwie obywatelskim w poczuciu odpowiedzialności człowieka za człowieka – podkreśla nauczyciel.

W dalszej kolejności widziałby możliwość wyboru lekcji religii, które byłyby prowadzone zgodnie z wyznaniem zainteresowanych.

Podobnego zdania jest Dorota Wójcik. – Etyka to ogromnie ważny dział filozofii i uczniowie powinni być zaznajomieni z krytycznym myśleniem, zadawaniem pytań czy umiejętnością przedstawiania argumentów. To jest bardzo potrzebna wiedza, dlatego żałuję, że nie jest obowiązkowa przynajmniej dla starszych klas w szkołach podstawowych, a następnie w szkołach średnich – podkreśla przewodnicząca fundacji Wolność od Religii.

Zdaniem Wójcik, dopóki oba przedmioty są nieobowiązkowe, dopóty powinny być traktowane podobnie, co oznacza np. wpisywanie ich jako pierwszych bądź ostatnich godzin w planie lekcji, tak aby nie faworyzować jednego przedmiotu kosztem drugiego. – Chcielibyśmy, żeby uczniowie w szkołach publicznych byli traktowani tak samo, niezależnie od tego, czy są wierzący, czy nie – podkreśla.

– Jeśli mnie pytasz o obowiązek czy jego brak, to myślę o tym, co powtarza jeden z moich znajomych dyrektorów szkoły: „Proszę księdza, gdyby oni mogli, to i z matematyki by się wypisali" – żartuje ks. Damian Wyżkiewicz. Uważa, że wprowadzenie obligatoryjnego uczęszczania na jeden, drugi, a nawet oba przedmioty, oczywiście biorąc pod uwagę wybór ucznia czy jego rodziców, żadnemu z nich by nie zaszkodziło. – Widzę inny problem: możliwość odrzucenia przedmiotu promuje elitaryzm kształcenia. Sam jestem zwolennikiem inkluzywizmu, zarówno w stosunku do etyki, jak i religii. I jeszcze raz powtórzę: tak naprawdę dobrowolność prowadzi do traktowania zwłaszcza etyki po macoszemu – dodaje nauczyciel religii.

– Może gdyby etyka była obowiązkowa, to straciłaby coś z piękna spotkania empatycznych wrażliwców? – zastanawia się Niwiński. – Ale myślę też, że charakter tego przedmiotu jest taki, iż etyka wybroniłaby się przed zniechęceniem. Mechanizm przymusu powoduje raczej negatywne reakcje, ale przecież z tego nie wynika, że każdy nauczyciel obowiązkowego przedmiotu ma pod górkę. Chodzi o coś bardziej fundamentalnego: tożsamość nauczyciela, jego charyzmę albo jej brak.

© KAROL KLECZKA

Budzenie Notre Dame

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Ocalona z płomieni dwa lata temu, królowa francuskich katedr z trudem goi rany. Odbudowa się opóźnia, ale jest szansa, że za trzy lata zabrzmi tam radosne Te Deum.

Od fatalnego 15 kwietnia 2019 r., gdy cała Francja i świat wstrzymały oddech, przyglądając się płonącej katedrze Paryża, jej najstarszy dzwon Emmanuel zabrzmiał tylko trzy razy. Po raz pierwszy – w czasie pogrzebu prezydenta Jacques'a Chiraca jesienią 2019 r., potem – w pierwszą rocznicę pożaru katedry, wreszcie – dotąd po raz ostatni – z okazji świąt wielkanocnych.

W pierwszych dwóch przypadkach o pełnienie roli „dzwonnika" Notre Dame poproszono Hervégo Gouriou, eksperta od ochrony zabytkowych dzwonów. – Co czułem wprawiając w ruch największy dzwon Notre Dame? Prawdę mówiąc, nic specjalnego – mówi „Tygodnikowi" Gouriou. – Nie ma dla mnie wielkiej różnicy, czy testuję dzwon słynnej katedry, czy małego kościoła. Taką mam pracę.

Mój rozmówca tłumaczy, że jest bardzo rozchwytywany, bo co dwa-trzy dni jedzie do innego zakątka Francji, aby wsłuchiwać się w dźwięki zabytkowych dzwonów. Jego ekspertyzy decydują o tym, czy trzeba oddać obiekt do remontu, czy zastąpić go nowym.

Mimo rutynowego podejścia Gouriou przyznaje, że spotkanie z Emmanuelem oko w oko nawet na nim zrobiło wrażenie: to kolos ważący 13 ton, i żeby poruszać rytmicznie tylko jego serce (500-kilogramowe), jeden człowiek nie wystarczy, potrzeba na zmianę dwóch-trzech osób.

Giganta z Notre Dame trzeba było uruchomić ręcznie, ponieważ w następstwie pożaru instalacja elektryczna w katedrze przestała działać. Wcześniej – przed pożarem – wystarczyło włączyć odpowiedni przycisk w zakrystii, żeby zadziałał napęd elektryczny wprawiający dzwon w ruch. Dzwonnika w tradycyjnym (manualnym) słowa znaczeniu – w rodzaju powieściowego Quasimoda z „Katedry Marii Panny w Paryżu" Victora Hugo – nie było w Notre Dame od czasu II wojny światowej.

Z dziesięciu dzwonów znajdujących się w dwóch wieżach katedry tylko Emmanuel przetrwał rewolucję francuską – pozostałe zostały ściągnięte przez rewolucjonistów i przetopione, podobno na armaty.

Tor przeszkód

Historia historią, ale pytanie jest jedno: kiedy dzwony Notre Dame znowu będą wzywać wiernych na mszę?

Zaraz po wielkim pożarze prezydent Emmanuel Macron obiecał, że odbudowa katedry zajmie pięć lat. Dwa lata później, odwiedzając plac budowy, podtrzymał ten ambitny cel, choć dziś wydaje się on niezbyt realny. Generalny nadzorca odbudowy, emerytowany generał Jean-Louis Georgelin, powtarza uparcie: za trzy lata świątynia odzyska swój pierwotny kształt i blask, a 16 kwietnia 2024 r. odbędzie się w katedrze wielka msza dziękczynna. I to nawet wtedy, gdy renowacja nie zostanie w pełni zakończona.

Z rekonstrukcją zabytku tej rangi i ogromnych rozmiarów wiąże się mnóstwo komplikacji. Pierwsza to duża skala zniszczeń: runęła część sklepienia, spłonęło drewniane poszycie dachu i górująca nad katedrą, niemal stumetrowa iglica. Przez pierwsze dwa lata przede wszystkim zabezpieczano budowlę przed dalszymi zniszczeniami. Zastępy specjalistów i robotników instalowały m.in. drewniane podpory sklepień oraz gigantyczne plandeki osłaniające przed deszczem i wilgocią.

Pierwszy lockdown wiosną ubiegłego roku wstrzymał na wiele miesięcy roboty w Notre Dame; opóźnienie teraz trzeba nadrabiać. Następny etap – właściwa rekonstrukcja – rozpocznie się zimą tego roku lub na początku następnego.

Kłopot z ołowiem

Innym problemem jest obecność ołowiu, który w wyniku pożaru stopił się i dostał się w wielkiej ilości – według mediów nawet powyżej 400 ton – do środowiska. Pył ołowiowy osiadł nie tylko w katedrze, ale też wokół niej, na placach, ulicach i murach budynków.

Operacji oczyszczenia z ołowiu poddano ulice sąsiadujące z katedrą oraz plac przed nią – czyli Dziedziniec Notre Dame (od 2006 r. nazywany placem Jana Pawła II). Ten ostatni otwarto ponownie dla publiczności dopiero kilka tygodni po pożarze. Na pewien czas zamknięto pobliskie szkoły, w których latem organizowano półkolonie, i przebadano dzieci na okoliczność obecności ołowiu w ich organizmach. Według władz wyniki nie wzbudziły niepokoju.

Najbardziej narażeni na zatrucie ołowiem byli robotnicy. Na placu budowy wprowadzono wiele ograniczeń. Wszyscy

BENOIT TESSIER / AP

Od ponad dwóch lat trwają prace remontowe po pożarze katedry Notre Dame. Paryż, 15 kwietnia 2021 r.

pracownicy muszą mieć na sobie kombinezony antyołowiowe. Podobnie jak eksperci wchodzący do katedry, w tym „dzwonnik" Hervé Gouriou. Mówi „Tygodnikowi": – Przed wkroczeniem do danego miejsca czyści się je z pyłu ołowiowego specjalnym odkurzaczem pod wysokim ciśnieniem. Wymogi bezpieczeństwa sprawiają, że oczywiście tempo prac bardzo się opóźnia.

Wspomniane środki nie wszyscy uznali za wystarczające. Przedstawiciele organizacji Lekarze Świata (Médecins du Monde) alarmowali w sprawie zagrożenia ołowicą okolicznych mieszkańców, zwłaszcza tych najmłodszych. Śledztwa w sprawie narażenia ich życia domaga się organizacja ekologiczna Robin des Bois (czyli Robin Hood po francusku). Oskarżyła ona już władze miasta, że lekkomyślnie podeszły do zagrożenia, przedwcześnie usuwając z placu katedralnego ogrodzenie blokujące dostęp przechodniom.

W sierpniu 2019 r. francuska prokuratura odrzuciła zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa złożone przez wspomniane stowarzyszenie. Uzasadniła to tym, że ryzyko zatrucia się ołowiem przez mieszkańców jest znikome, jeśli człowiek nie wdycha lub nie spożywa toksycznego pyłu. Robin des Bois nie daje jednak za wygraną – i złożył kolejną skargę, na razie bez dalszego ciągu. Ale sprawa może znaleźć finał w sądzie.

Jak odbudować katedrę

Najgorętszy spór toczył się od początku o to, jak odbudować Notre Dame. Czy w wersji oryginalnej (czyli *de facto* XIX-wiecznej), czy też zgodnie z duchem XXI wieku – z dodaniem nowoczesnych elementów?

W ogniu polemik znalazła się wspomniana iglica. Wśród zwolenników jej zastąpienia nowoczesną konstrukcją był sam prezydent Macron. Uległ jednak w końcu przewadze tradycjonalistów oraz sondażom opinii publicznej wskazującym na to, że większość Francuzów nie chce innej Notre Dame niż ta im znana.

Większość, ale nie wszyscy. Thibaud Willette, miłośnik Paryża, prezes jednego ze stowarzyszeń kulturalnych w stołecznej aglomeracji, uważa, że decydentom zabrakło śmiałości. Rozumie, że przywrócenie katedry w niezmienionej postaci odpowiada potrzebie wielu paryżan, ale sam ma inne zdanie. – Co to znaczy: zrekonstruować oryginalną katedrę? Przecież na przestrzeni wieków Notre Dame ciągle przebudowywano, jej dzisiejsza forma pochodzi z XIX wieku, z ery Viollet-le-Duca – mówi Willette „Tygodnikowi". – Wolałbym, żeby raczej odrestaurowano świątynię w kształcie, jaki miała w XIII wieku, albo inaczej: stworzono coś całkiem współczesnego, jak np. oszklony taras na szczycie.

↦

Tysiąc dębów

Pożar wywołał lawinę darów przeznaczonych na odbudowę katedry. Pieniądze płynęły nie tylko z Francji, lecz także z całego świata. W sumie do tej pory zebrano ponad 830 mln euro od blisko 340 tys. darczyńców.

Warto przy tym zaznaczyć, że większość tej kwoty – w sumie 500 mln – pochodzi od trojga najbogatszych francuskich miliarderów (pozostawmy na boku gorącą we Francji dyskusję, jak duża część tych darów powróci do tych wielkich fortun w postaci ulg podatkowych od darowizn).

Według dziennika „Ouest-France" już do tej pory wydano, tylko na zabezpieczenie świątyni i na początek renowacji wnętrz, 165 mln euro. Pieniądze te przeznaczono m.in. na opłacenie usług ponad dwustu firm wynajętych do prac przy katedrze. Daje to pojęcie o rozmachu przedsięwzięcia. Skoro właściwej rekonstrukcji katedry jeszcze nie zaczęto, ogólne koszty projektu przekroczą zapewne sumę zebranych darów.

Oprócz pieniędzy Notre Dame dostaje też wsparcie w naturze. Całkiem dosłownie. Rekonstrukcja katedralnej iglicy wymaga użycia tysiąca co najmniej stuletnich dębów. Wiele pochodzi z francuskich lasów państwowych, jednak pozostałe – od prywatnych darczyńców. Prześcigają się oni w propozycjach: każdy chce podarować swoje drzewo słynnej świątyni. Jak podały media, dwa dęby z własnego lasu ofiarowali na ten cel m.in. trapiści z kolebki zakonu – normandzkiego opactwa La Trappe. Dęby przeznaczone do odtworzenia szkieletu iglicy zostały ścięte przed nadejściem wiosny; zanim będą się nadawać na budulec, muszą schnąć przez 18 miesięcy.

Pożar w Notre Dame był tak wielkim wstrząsem, że wywołał nad Sekwaną ogólną dyskusję o stanie obiektów sakralnych, a zwłaszcza niemal 90 francuskich katedr. Zgodnie z tutejszym prawem to właśnie państwo musi dbać o ich remont i utrzymanie. Dlatego ogłoszono nadzwyczajny ogólnokrajowy plan ratowania katedr. Ministerstwo kultury zapowiedziało, że w latach 2021-22 przeznaczy na ten cel w sumie 160 mln euro.

Śledztwo w martwym punkcie

Co wiadomo o przyczynach pożaru w Notre Dame? Dochodzenie policyjne w tej kwestii, nadal w toku, nie przyniosło wiążących ustaleń.

Jak podkreślają francuskie media, policja stawia na hipotezę, że u źródeł pożaru był nieszczęśliwy wypadek, ponieważ żadne przesłanki nie wskazują na podpalenie. Nie wiadomo jednak, co mogło zaprószyć ogień w katedrze – czy była to awaria instalacji elektrycznej, czy inna przyczyna, np. niedopałki papierosów na rusztowaniu (w chwili pożaru w świątyni trwał remont, a szybko wyszło na jaw, że pomimo zakazu robotnicy palili papierosy).

Pozostajemy zatem w kręgu spekulacji. Dziennik „La Croix" podał w kwietniu, cytując głównego architekta Philippe'a Villeneuve'a, że nikła jest nadzieja na odnalezienie jakichkolwiek tropów, które mogłyby pomóc w rozwiązaniu zagadki. Powodem są przede wszystkim burze, które nawiedziły Paryż po pożarze i mogły zatrzeć ślady poszukiwane przez policję.

Piękne zazdrośnice

François Cheng, wybitny poeta i eseista francuski pochodzenia chińskiego, powiedział o Notre Dame, że jest „ucieleśnieniem francuskiej duszy". Według Chenga pożar katedry uświadomił wszystkim Francuzom – wierzącym i niewierzącym – tę „matczyną obecność", o której na co dzień zapominali.

Paryska katedra już dawno jest skarbem nie tylko francuskim, ale ogólnoświatowym. Według mer Paryża Anne Hidalgo (z wywiadu dla „La Croix") to jedna ze świątyń szczególnie bliskich sercu nowego prezydenta USA Joego Bidena, który śledzi jej odbudowę z wielką uwagą.

Czy dałoby się wypełnić pustkę po Notre Dame? Miłośników strzelistych katedr pocieszyć może to, że niedaleko Paryża roi się od innych arcydzieł gotyku, zazdrosnych zresztą o sławę paryskiej kuzynki. Nekropolia królów – bazylika Saint-Denis, katedry w Chartres, Noyon, Senlis, Amiens, Beauvais; a to nie koniec listy. Warto je odkryć, czekając na chwilę, gdy paryska Dama, po długiej i bardzo kosztownej kuracji, będzie znów czarować świat.

© SZYMON ŁUCYK

ROBERT WOŹNIAK / EAST NEWS

Krzyż zamiast czołgu

AGNIESZKA CHROSTOWSKA, ANDRZEJ RANKE, STOWARZYSZENIE LEDNICA 2000:

O. Jan Góra jednego prosił o cegłę, drugiego o dachówkę, trzeciego o kawałek pola. Teraz my prosimy o parę groszy na utrzymanie Pól Lednickich w pandemii.

MARIUSZ SEPIOŁO: Po co nam dziś Lednica?

ANDRZEJ RANKE: Ojciec Jan Góra zapoczątkował ją jako przestrzeń otwartą na każdego, jako „laboratorium" wiary, które zaprasza świeckich do Kościoła. Lednica integruje bardzo różne duchowości i nurty chrześcijaństwa, także te znajdujące się na jego obrzeżach. Dzisiaj, kiedy mierzymy się z wieloma problemami, wyraźnie widzę potrzebę wiązania ze sobą różnych środowisk. O. Góra patrzył na Lednicę jako na miejsce, gdzie pojawiają się grupy i wspólnoty, które mają swoje talenty, i które te swoje talenty roz-

Przed pandemią Spotkania Młodych na Polach Lednickich gromadziły co roku tysiące pielgrzymów. Lednica, 3 czerwca 2017 r.

wijają „na dole": na osiedlu, we wsi, w parafii. Mówimy o „wspólnocie" lednickiej, ale dla mnie ważne jest również słowo „ruch". Uważam, że efektem Lednicy jest ruch społeczny, w którym najważniejsze jest wspólne działanie.

AGNIESZKA CHROSTOWSKA: Na Lednicy nikt nie czuje się „ważniejszy", „lepszy". Nikt nie ma poczucia, że przyjeżdża „do kogoś": do dominikanów, do biskupa, do o. Góry. Tu przyjeżdża „do siebie", bez względu na to, do jakiej wspólnoty należy na co dzień. A czy nie o to w chrześcijaństwie chodzi? Lednica daje poczucie, że Kościół jest nasz, wspólny, że nie warto tworzyć podziałów. Na Polach Lednickich to praktykujemy. Na linii wierni–księża zachodzi inny rodzaj integracji. Tu duszpasterze tańczą i śpiewają razem ze swoimi wychowankami. Przekładamy wiarę na kulturę współczesną, na współczesny język młodych. Nie odrzucamy tradycji, stąd śpiewana na początku „Bogurodzica" i brama w kształcie ryby, symbolu pierwszych chrześcijan, ale staramy się budować współczesny przekaz – poprzez muzykę i taniec. O. Góra za Janem Pawłem II powtarzał, że musimy przekładać wiarę na kulturę, bo bez niej wiara jest martwa. Lednica to konkretne treści i konkretny przekaz. Wystrzał armatni albo przelot samolotów nad Polami Lednickimi – to sposób na przyciągnięcie uwagi młodych. Wszystko po to, żeby znaleźli w Kościele swoje miejsce.

Prosta, ale mocna symbolika towarzyszy Lednicy od początku.

AR: Pola znajdują się nad Jeziorem Lednickim, w pobliżu którego odbył się chrzest Polski. Nad brzegiem wody stoi chrzcielnica, każdy może zaczerpnąć wody z jeziora i odnowić sakrament chrztu świętego. Na polach stoi też krzyż od górali spod Giewontu, a więc z jednej strony woda – symbol Bałtyku, z drugiej – replika krzyża z Giewontu, symbol gór, i my gdzieś pośrodku. Jest Dom św. Jana Pawła II z fragmentem parkietu i oknem z Franciszkańskiej 3, brewiarz, klęcznik, sutanna, gitara pobłogosławiona przez papieża. Kiedy mówiliśmy o „zjadaniu Pisma Świętego", to każdy dostawał kawałek piernika z cytatem z Biblii. Więc tak, mocna symbolika jest dla nas ważna. Dlaczego? Bo ludzie ją zapamiętują. Bo w prosty sposób tłumaczy głębokie treści. Przedmioty, gadżety – one niosą przekaz.

Takiej integracji, wspólnoty i przekazu młodzi raczej nie znajdują we własnej parafii. Lednica zastępuje Kościół parafialny?

ACH: Nie. Szaleństwem byłoby powiedzieć, że jeden dzień spotkania zastępuje pozostałych 364. Lednica nie zastępuje – ona inspiruje. Po to księża przyjeżdżają tu ze swoimi grupami, żeby potem żyć tym wszystkim, co przeżywają na Polach Lednickich. Po to też my dajemy przyszłym uczestnikom „trzy kroki do Lednicy", żeby już wcześniej zmotywować ich do działania u siebie, na miejscu. Po kilku pierwszych Lednicach słychać było głosy: „To jeden dzień, a co dalej?". O. Jan mówił wtedy: „To zależy od was". My dajemy inspiracje, wy twórzcie Kościół. Z tego narodził się Ruch Lednicki. Jego bazą jest osiem przemówień Jana Pawła II do uczestników spotkań. To punkty orientacyjne, filary. Jeśli ksiądz szuka pomysłu na młodzież, może zacząć tworzyć ruch u siebie w parafii. Takich wspólnot w Polsce jest dziś ponad dwadzieścia.

AR: Komplementarność – to słowo, którego uczyliśmy się od ojca Jana. To on powtarzał, że mamy dbać o komplementarność w Kościele. Nie o wyłączność, nie o monopol.

Lednicę widać dzisiaj w Kościele?

AR: Zależy, gdzie zajrzymy. Można spytać księży wyświęconych od połowy lat 90. i później. Spora grupa przynajmniej otarła się o Lednicę. W ich działalności widać, jak przekaz Lednicy schodzi coraz niżej do poziomu diecezji, parafii, wspólnoty, scholi, kółka parafialnego. A obecność symboliki Lednicy podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie?

ACH: I w Panamie!

AR: Nie wspominając o piosence „Abba Ojcze" śpiewanej ostatnio na pogrzebie Krzysztofa Krawczyka. Lednicę widać i słychać nawet w popkulturze.

ACH: Pierwsze skojarzenie, które wielu przychodzi do głowy na myśl o Lednicy, to taniec. Na początku dla nas wszystkich był czymś krępującym. Ojciec Jan powtarzał: „Przecież już Dawid tańczył przed Arką Przymierza". Ale wie pan co? Nam nie zależy, żeby coś zostało uznane za „lednickie". Chodzi o to, żeby młodzi ludzie chcieli ożywiać Kościół od środka. Symbolika Lednicy może być tylko narzędziem.

„Usłysz" – to hasło Lednicy, która odbędzie się 5 czerwca online.

ACH: Chcieliśmy wejść w temat sumienia. „Usłysz" to odniesienie do protestów po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. I do dylematów, i wyborów moralnych, przed którymi stanęło wtedy wiele osób. My mówimy: usłysz, co mówi do ciebie Chrystus. Wróć do źródeł, usłysz prawdę. Jednym z symboli tegorocznego spotkania będzie pustynia. Namawiamy do „pójścia na pustynię", ale nie po to, żeby poczuć się samotnym w cierpieniu. Przeciwnie: żeby na chwilę wyłączyć wszelkie „rozpraszacze" i usłyszeć swoje wnętrze. Bo trudno jest usłyszeć głos swojego sumienia, kiedy wokół panuje nieustanny harmider i gdy każdemu wydaje się, że ma rację. Wiele osób nie wiedziało, jak odnaleźć się w tej ↦

trudnej sytuacji. Jaki pogląd wyrazić w kwestii obrony życia matki i dziecka. Hasło Lednicy można więc uzupełnić: „Usłysz, a będziesz wiedział". Chcemy też powiedzieć młodym ludziom, że są ważną częścią Kościoła. Taką, która ma w nim swoją podmiotowość.

AR: „Usłysz" to także nawiązanie do czasów pandemii, kiedy siedzimy pozamykani w domach. W ostatnich miesiącach nasze wirtualne spotkania często zaczynają się od słów: „Czy mnie słychać?". Tak, słychać. Słyszymy was dobrze.

ACH: Na Lednicy w roku 2000 jednym z symboli były krzyże zrobione z lufy czołgu. Jeden „szalony" ksiądz miał skądś starą stalową lufę czołgu, nie wiedział, co z nią zrobić, więc poszedł do drugiego „szalonego" księdza, o. Jana Góry, który wymyślił, że zrobi z niej krzyżyki. Coś, co niosło śmierć i zniszczenie, przeistoczyło się w coś, co łączy. „Przekuwajmy miecze na lemiesze". Mamy przestać się kłócić, a zacząć się słuchać i szanować. To dla mnie kwintesencja Lednicy.

Ogłosiliście zbiórkę środków na bieżącą działalność ośrodka na Polach Lednickich. Jeśli ich zbraknie, Lednica za rok mogłaby się nie odbyć.

ACH: Nie byłoby Lednicy, gdyby nie pomoc ludzi. Ojciec Góra ze swoimi dwustoma złotymi, które dostawał co miesiąc w klasztorze, nie mógłby tego stworzyć. Do swojego dzieła zaangażował więc ludzi. Chciał, żeby młodzi wracali na Pola Lednickie przez cały rok, jak do domu. Jednego przedsiębiorcę poprosił o cegłę, drugiego o dachówkę, trzeciego o kawałek pola, kolejnych o cement i płytki. Byłam przy większości tych darowizn. Nieraz widziałam, ile kosztuje go wybranie numeru i ciągłe proszenie. Sama dziś tego doświadczam. Nie proszę o dwa tiry cementu, ale o parę groszy – i to naprawdę nie jest łatwe. Zamiast o „zbiórce" wolimy mówić o „zaproszeniu" do wzięcia udziału w dziele, jakim jest Lednica. Dla siebie i przyszłych pokoleń. Jeśli młodzi nie mogą dziś wydać dwudziestu złotych na kino, niech zrobią Lednicy prezent na 25. urodziny. Po to, żeby mieli dokąd wracać, gdy minie pandemia.

Ile potrzeba?

ACH: Celem jest kwota 150 tys. zł, która pozwoli nam utrzymać Pola Lednickie i ośrodek przez sześć miesięcy. Potem, mamy nadzieję, wróci normalność i Lednica znów będzie utrzymywała się sama. Wszystko, co dziś ją tworzy, jest warte miliony złotych, a zostało przyniesione przez ludzi dobrej woli. Kwota 150 tys. zł nie wydaje się więc porażająca. Miesięczny koszt utrzymania 40 hektarów pól, kompleksu pięciu budynków i kilku stałych fizycznych pracowników to 25 tys. zł. Podkreślmy też, że ani jeden grosz ze zbiórki nie zostanie przeznaczony na inny cel niż utrzymanie Pól Lednickich, którymi opiekujemy się jako wspólnota. W Stowarzyszeniu Lednica 2000 wszyscy pracujemy społecznie.

ARCHIWUM LEDNICA 2000

AGNIESZKA CHROSTOWSKA jest wiceprezeską Stowarzyszenia Lednica 2000 im. o. Jana W. Góry OP, wokalistką zespołu Siewcy Lednicy.

ARCHIWUM LEDNICA 2000

DR ANDRZEJ RANKE jest sekretarzem Stowarzyszenia Lednica 2000, nauczycielem akademickim, medioznawcą.

Na czym polegała „metoda" o. Góry w zjednywaniu sobie ludzi?

ACH: Miał czas i słuchał. Pytał „skąd jesteś?" i „czym się zajmujesz?". Dla niego to nie był *small talk*. Znał setki ludzi, a pamiętał, na co chorowała czyjaś matka i kto ma problemy w pracy. Dlaczego? Bo na poważnie potraktował słowo „ojciec", którym go określaliśmy. Podkreślał, że papież uratował mu życie książką „Promieniowanie ojcostwa", i to ojcostwo było busolą Jana Góry. Mawiał: „Jeśli mówicie do mnie ojcze, to nie mogę wam zagrażać, nie mogę z wami rywalizować – muszę się o was zatroszczyć. Jak ojciec". Drzwi do jego gabinetu zawsze były otwarte. Od jego śmierci minęło ponad pięć lat, a ludzie nadal mówią, jak bardzo brakuje im tego człowieka.

Człowieka.

ACH: Z krwi i kości. Oprócz tego, że był duszpasterzem, był także obżartuchem, potrafił zakląć i przywrócić nas do porządku w krótkich żołnierskich słowach. Powiem tak: nie chciałabym po śmierci spotkać się gdzieś tam z ojcem Janem i zostać przez niego rozliczona z tego, jak troszczyłam się o Lednicę po jego śmierci.

Po 2015 r. musieliście zacząć od nowa?

ACH: Nie. Kierunki zostały przez ojca Jana dawno wyznaczone. Zostawił po sobie gotowy projekt następnego spotkania – zmarł w grudniu, a Lednica miała być w czerwcu. Więcej: zapisał w kalendarzu hasła kolejnych spotkań, aż do roku 2020. Po jego śmierci zobaczyliśmy, że zostawił po sobie armię ludzi przygotowanych na najgorsze momenty. W ogóle nie mieliśmy momentu, w którym wspólnotę trzeba było jakoś szczególnie motywować. Bo nauczył nas też tego, że trzeba być samodzielnym.

W Polsce bywa, że kiedy wokół księdza tworzy się ruch, to jego lider z duszpasterza staje się „ojcem dyrektorem".

AR: Po pierwsze: o. Góra wiedział, kim jest, i nie musiał udowadniać sobie swojej wartości. Po drugie: my wiedzieliśmy, kim jesteśmy. Bo w Lednicy chodzi o podmiotowość. O. Góra dawał nam zadania, a my mieliśmy się z nich wywiązywać samodzielnie. Nikt z nas nie był jego „produktem".

ACH.: Nie ma co ukrywać: ojciec Jan miał siłę przyciągania. Wielu trafiło do niego, bo zależało im na pracy dla zakonnika, który jest znany, medialny, który w pewnym sensie jest „gwiazdą". Ale on umiał tę uwagę przekierowywać na Chrystusa i drugiego człowieka. Z drugiej strony wielu było takich, którzy nie odnajdywali się w tym stylu pracy. Bo ojciec Jan na dzień dobry nie mówił: „Dziecko, siadaj, napij się herbaty", ale: „Tu leży piach – weź miotłę i pozamiataj".

© Rozmawiał MARIUSZ SEPIOŁO

Więcej o zbiórce na stronie **www.wspieramlednice.pl**

WOJCIECH

Bonowicz:
Różowe kwiaty

Siedzimy na dwóch końcach ławki, dzieli nas przepisowe półtora metra. Ja zdejmuję maseczkę i wystawiam twarz do słońca. On przygląda mi się przez chwilę, też zdejmuje, po czym z powrotem zakłada. „Osłabłem” – mówi.

Na oko ma jakieś siedemdziesiąt lat. Ubrany jest w ciepłą kurtkę, czarne jeansy i miękkie, sfatygowane półbuty. Włosy na głowie gęste i siwe, uszy zarośnięte, policzki starannie ogolone. W rękach trzyma złożoną gazetę. Dłonie ma pokryte plamami, palce krótkie, na lewej ręce obrączkę.

„Ja tu mieszkam, o, tam”– wskazuje głową duży dom stojący po drugiej stronie ulicy. „Wyszedłem, żeby się przejść, i gdzie doszedłem? Od razu dostaję zadyszki”. Odwracam ku niemu twarz, żeby wiedział, że słucham. „Nie chorowałem” – dodaje po chwili. „Boję się tej choroby jak jasna cholera”.

Ja też czuję się słaby. Pierwszy dzień upału jest zawsze najtrudniejszy. Ciało jak po nocy spędzonej w pociągu – ścierpłe, obolałe, niezdolne, żeby się wyprostować. Drzewa naprzeciwko pokryte są różowymi kwiatami, a ja nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywają. Telefon w kieszeni wibruje, a ja nawet nie próbuję sięgnąć po niego ręką. „Ja też czuję się słaby” – mówię. „Powinienem chodzić, a siedzę”.

„Dużo jeździł pan po świecie?” – pyta niespodziewanie on. „Trochę jeździłem”. „Ja byłem w Bułgarii, w Rumunii, w Niemczech. Pojechałbym teraz, ale się boję”. „Dokąd by pan pojechał?”. „Najchętniej do Hiszpanii, Portugalii. Ale tam niebezpiecznie”. „Chyba nie bardziej niż tutaj”. Kątem oka widzę, że waha się, co odpowiedzieć. W końcu zbywa moją uwagę milczeniem. Mówi za to, że najbardziej podobało mu się w Bukareszcie. „Ja tam byłem jeszcze za Ceaușescu. Poszliśmy całą grupą do muzeum. Traktowali nas tam jak dzieci: tutaj stanąć, tam się przesunąć, nie zostawać z tyłu. Pilnowali porządku jak na kolonii. Ale podobało mi się, bo poza tym ludzie byli mili”.

Z podróży niewiele się pamięta. Z Bukaresztu zapamiętałem elegancko ubranych pasażerów, którzy w autobusie żegnali się, a nawet klękali, kiedy mijaliśmy jakąś cerkiew. I taksówkarza, który łamaną angielszczyzną starał mi się wytłumaczyć, dlaczego za Ceaușescu było lepiej („Dawniej kradł jeden, teraz kradnie wielu”). I dwa obrazy z tego muzeum, które zwiedzał mój sąsiad z ławki. „Wie pan, ja byłem w tym muzeum jakieś dziesięć lat temu. Wisiały tam dwa portrety, jeden przedstawiał starego skrzypka, a drugi kwiaciarkę. Przewodniczka opowiadała, że w czasie rewolucji w grudniu 1989 roku te obrazy zostały przestrzelone: skrzypek dostał kulą w głowę, a kwiaciarka w serce. I pamiętam, że nas też ciągle poganiano i upominano, żeby się nie rozchodzić. W końcu nasza przewodniczka nie wytrzymała i nakrzyczała na pilnujących: »Czasy Ceaușescu się skończyły!«”.

„Z podróży mało się pamięta” – mówi mój towarzysz. „Wtedy myślało się tylko o tym, co kupić, co przywieźć. Z Rumunii nic nie przywiozłem, jakiś talerz dla żony chyba. Z Bułgarii tośmy wracali własnym samochodem, pięknie opaleni. Ale jak dojechałem do Krakowa, chciałem ziemię całować”.

Rozmowa nam się rwie. Znów zwracam twarz ku słońcu. Oczywiście, że pamiętam dużo więcej rzeczy. Byłem w Bukareszcie kilka razy.

„Osłabłem przez to siedzenie w domu. Żona w ogóle bardzo długo nie wychodziła, ale jest jakaś silniejsza. A ja wychodzę, ale sił mam mniej”. Potem nic już nie mówimy. Siedzimy na dwóch końcach ławki i pozwalamy słońcu, żeby nas ogrzewało. Na ścieżce pojawia się kobieta z psem i dzieckiem w wózku. Pies co chwilę zagląda do dziecka, a kobieta rozmawia przez telefon. Drzewa z różowymi kwiatami to japońskie wiśnie. Nie owocują. ©

Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu **„Tygodnik” na ucho** co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

TYGODNIK POWSZECHNY

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PTASZEK W KOPALNI

Moja córka będzie miała takie życie jak ja – mówi Akitela. – Stąd nie ma jak uciec.

TEKST OLIVIA KORTAS I KASPER GOETHALS Z KENII
ZDJĘCIA KRISTOF VADINO

Selena Akitela napełnia kanister cuchnącą zieloną wodą ze stawu. Jej twarz wykrzywia się w grymasie wysiłku, kiedy zakłada na głowę dwudziestolitrowy pojemnik. Od ciężaru boli ją głowa. Aby złagodzić ból, miejscowy doktor wykonał nacięcia na jej twarzy i na szyi. Skóra Seleny jest pełna blizn. – Zawsze cierpię z bólu, lepiej jest tylko, gdy odpoczywam. Ale na to nie mogę sobie pozwolić – mówi 18-letnia dziewczyna. – Kozy muszą pić, dziecko musi pić, wszyscy musimy pić.

W zasadzie woda ze stawu nie nadaje się do picia. Ma nieprzyjemny zapach, powoduje biegunki i wymioty. Kiedy Akitela wchodzi do wody, czerwone owady uciekają między glony. Ale nie ma wyboru, koryta rzek są suche od miesięcy.

Dzień wcześniej ona i inne kobiety z jej osady zostały przegnane, gdy chciały nabrać wody w najbliższym punkcie jej ujęcia, o którym wiadomo, że tamtejsza woda na pewno jest dobra. Miejsce to jest oddalone o 12 km od ich wioski. Nie udało się – tamtejszej wody nie starczyłoby dla wszystkich chętnych.

Władze Kenii mówią o „kryzysie suszy". Jeśli wkrótce nie będzie padać, będą mówić o kryzysie głodu. – Powinien już spaść deszcz – mówi Akitela. – Nie możemy tego dłużej wytrzymać.

Klimatyczny kanarek

Selena Akitela urodziła się na początku XXI wieku w Turkanie. Ta kenijska prowincja jest wielkości Litwy i leży w północno-zachodniej części kraju. Zamieszkuje ją ponad 900 tys. ludzi, z których prawie wszyscy należą do półkoczowniczego ludu Turkan.

Kobiety z tego plemienia noszą naszyjniki z plastikowych koralików, od podbródka po piersi. Pozostają w osadach przez cały rok, gdzie wykonują większość prac: opiekują się dziećmi, budują chaty, noszą wodę, doją kozy, a także produkują węgiel drzewny na sprzedaż. Mężczyźni są odpowiedzialni za bydło. W czasie suszy wędrują dziesiątki kilometrów w poszukiwaniu najbliższych zielonych pastwisk. Czasem nie wracają całymi miesiącami.

Turkanowie zbliżają się do granicy, za którą dalsza ich egzystencja może stać się trudna, jeśli nie niemożliwa. Podczas gdy ↦

↦ w skali globu temperatura wzrosła o 0,8 stopnia w ostatnim wieku, w prowincji Turkan wzrosła ona o 1,8 stopni przez ostatnich 50 lat. W latach 1950–2000 było tu dziewięć susz, z tego w życiu Akiteli już siedem. Zanim skończyła 10 lat, widziała, jak ludzie umierają z głodu. Jako dziecko musiała czasami przetrwać tygodniami, jedząc tylko nasiona, gotowane liście i od czasu do czasu garść kukurydzy.

Kilka lat temu autor brytyjskiego dziennika „Guardian" nazwał prowincję Turkan *climate canary*, kanarkiem klimatycznym. Nawiązał w ten sposób do metody stosowanej przez górników w czasach, gdy nie było jeszcze czujników wykrywających gaz. Zabierali na dół kanarka w klatce: gdy pojawiało się zagrożenie, delikatny ptaszek umierał pierwszy i dla ludzi był to sygnał, aby porzucać wszystko i uciekać.

Inaczej mówiąc: prowincja Turkan ma być konkretnym przykładem, co się dzieje, gdy klimat się ociepla, a deszcz długo nie pada.

Chi Xu i współpracownicy przeprowadzili badania, których wyniki w maju 2020 r. opublikowało czasopismo „PANS" (wydawane przez amerykańską Narodową Akademii Nauk) – twierdzą, że temperatury, jakie dziś występują na Saharze, w 2070 r. mogą panować na 19 proc. powierzchni globu, gdzie żyje 3,5 mld ludzi. Ludzie ci będą zmuszeni dostosować się albo migrować.

Kiedyś było inaczej

– Nie wiem, dlaczego zmienia się pogoda – mówi Akitela. – Może to diabeł.

Turkana zawsze była niegościnnym rejonem. Fakt ten znajduje odbicie także w nazwach, których Turkanowie używają, aby nazwać miesiące suszy: *Lolongo* (Głód) i *Lokwang* (Biały Czas; wtedy szaleją burze piaskowe).

W 1971 r., osiem lat po uzyskaniu przez Kenię niepodległości od Wielkiej Brytanii, reporter dziennika „New York Times" Charles Mohr odwiedził to miejsce. Pisał, że „setki nagich dzieci z opuchniętymi brzuchami i wychudzonymi nogami" błąkały się po równinach i żebrały. „Pobocza dróg były zaśmiecone kośćmi wygłodzonych krów".

Jednak w tamtych latach i tak nie było jeszcze najgorzej: susze były rzadkie, a po suszach Turkanowie byli w stanie nabrać sił, przenieść się na zieleńsze tereny i odbudować swoje osady. Pół wieku temu przeciętna rodzina miała dziesiątki krów, wielbłądów i osłów oraz setki kóz. Starsi wspominają z nostalgią, jak co tydzień podawano mleko i mięso „nawet w suche miesiące".

Ale te czasy już minęły. Kryzysy następują w krótkich odstępach. Nie ma czasu na regenerację. Rodziny posiadają zwykle tylko po kilka sztuk bydła.

Jak przejść przez kryzys

Mija popołudnie. Akitela siedzi w cieniu jednej z pozostałych akacji, w suchym korycie rzeki w pobliżu jej osady Edaraji. Tego dnia szła już dwa razy po wodę, sześć godzin w palącym słońcu. Większość ludzi z Edaraji wczoraj nie miała wody do picia. Leżą wyczerpani lub chorzy w swoich bomas – chatach zrobionych z gałęzi, błota i obornika, czasem wzmocnionych plandeką otrzymaną od ONZ.

– Muszę zrobić ten węgiel – mówi Akitela, ale nie rusza się z miejsca. Jej córka Abbey wpełza na jej kolana. Dziecko odsuwa cienką sukienkę przykrywającą pierś matki i zaczyna pić. Akitela jakby tego nie zauważyła, nie reaguje i kontynuuje rozmowę. – Jedna z naszych kóz padła w tym tygodniu – wylicza. – Potrzebuję mleka w proszku, aby utrzymać przy życiu jej młode.

Tak naprawdę to teraz powinna szukać wody pitnej. Ale nie może stracić kolejnej kozy. Niektóre kobiety, zdeterminowane, pozwalają pić z własnej piersi małym kozom, które straciły matki.

Co nie znaczy, że Akitela nie powinna teraz pracować również przy produkcji węgla drzewnego. Węgiel może wymienić na kukurydzę i mleko w proszku.

Wie, że musi przeprowadzić całą rodzinę przez kryzys. Jej mąż jest stary. – On jest słaby i nie może się nami opiekować – mówi kobieta. Jako nastolatka wyszła za mąż, ponieważ jej rodzice potrzebowali zwyczajowego wiana od pana młodego, aby przetrwać suchą porę. Akitela jest jego drugą żoną. Urodziła Abbey, gdy miała 17 lat. Pierwsza żona, Regina Awesit, ma ok. 35 lat i syna mniej więcej w wieku Akiteli oraz córkę w wieku 12 lat.

Węgiel pozwala przeżyć

Kilka tygodni temu młodzi mężczyźni opuścili okolicę i przenieśli się z bydłem na pastwiska przy granicach z Ugandą i Sudanem Południowym. Dochodzi tam do konfliktów zbrojnych w walce o ostatnie zielone tereny. A fakt, że podczas wojny domowej w Sudanie Południowym w regionie tym pojawiło się sporo broni palnej, sprawia, że konflikty stały się bardziej krwawe. Co roku setki mężczyzn giną w strzelaninach podczas wzajemnych kradzieży bydła i walk o pastwiska. Codziennie w lokalnych stacjach radiowych słychać relacje o zabitych.

– Idź, rób ten węgiel – poleca Awesit, pierwsza żona. Akitela kiwa głową. Wspina się na brzeg, gdzie leży stos drew, które rąbała przez ostatnie trzy dni.

Aby uzyskać węgiel, Akitela stosuje starą technikę. Przykrywa płonące gałęzie liśćmi i przysypuje je ziemią, aby żar dostawał mało tlenu. To ciężka praca.

– Zakryj wszystko – krzyczy Awesit z dołu. Uważnie śledzi ruchy Akiteli. – Również po bokach, aż nie będzie widać dymu – instruuje.

Akitela szepcze: – Jestem zmęczona, czy ktoś może mi pomóc?

Awesit i jej córka, która wzięła w ramiona płaczącą Abbey, ignorują ją. – Szybciej, zakryj wszystko, bo inaczej jutro będziemy mieli tylko popiół – naciska pierwsza żona.

Akitela pracuje, aż pozostaje lekko dymiąca kupa ziemi. Jutro będzie mogła wyciągnąć z niej węgiel drzewny. Teraz odpocznie chwilę, zanim ponownie wyruszy po wodę.

Wszyscy tutaj są głodni

Tutejszy krajobraz można porównać ze zdjęciami z Marsa. Słońce wyssało kolory, pozostały tylko szary i brązowy. Podmuchy wiatru chwytają piasek i unoszą w powietrzu. Tysiące kopców termitów wyrastają z ziemi, niczym kościste palce pogrzebanych olbrzymów. Jedyną roślinnością, która tu przetrwała, jest mathenge, inwazyjny krzew, który został sprowadzony w celu zapewnienia cienia i drewna na opał, a teraz wypiera wszystkie inne rośliny, w tym jadalne. Turkanowie nazywają go „diabelskim krzakiem". Kiedy kozy jedzą jego słodkie nasiona, tracą zęby.

Ok. 40 kilometrów na południe od Edaraji, w lesie mathenge na obrzeżach miasta Kakuma, 30-letnia Sike Lopua czeka z grupą kobiet, aż minie najgorszy upał. Kobieta jest głodna, z głodu robi się senna. Rano poszła do działu dystrybucji żywności organizacji humanitarnej, ale nic nie dostała. Nie była zarejestrowana i nie starczyło dla niej.

Na grubym naszyjniku z koralików Lopua nosi metalową obręcz: znak, że jest

18-letnia Selena Akitela z córką Abbey. Poniżej: Turkanowie przy ujęciu wody. Na poprzedniej stronie: ciężarna Mary Arupe z plemienia Turkanów opiekuje się kozami, podczas gdy jej mąż pracuje jako taksówkarz w pobliskim mieście Kakuma.

↦

↦ mężatką. Ale mężczyzna, który założył jej tę obręcz i obiecał opiekować się nią, nie żyje od lat. – Pewnego dnia wrócił znad granicy z Ugandą – mówi Lopua. – Wszystkie jego zwierzęta zostały skradzione, wielu jego towarzyszy zabito. Był jednym z nielicznych, którzy przeżyli.

Lopua mówi, że po powrocie mąż dużo spał, aż pewnego dnia znalazła go martwego w łóżku.

– Turkana żyją w patriarchalnym systemie – mówi Mary Nyasimi, dyrektor organizacji pozarządowej Inclusive Climate Change Adaptation for a Sustainable Africa. – Kobieta nie powinna podejmować decyzji ekonomicznych ani mieć własnych pieniędzy. Nie wolno jej trzymać własnego inwentarza. Nawet jeśli chcemy rozdawać kury, które są w stanie wytrzymać upał, żona musi mieć pozwolenie męża. Jeśli więc od miesięcy nie ma go w domu, musi czekać.

Utrudnia to kobietom samodzielne życie, bo aby przeżyć w Turkanie, potrzebne są zwierzęta, zwłaszcza bydło.

Gdy więc po śmierci męża jeden z jego synów zaproponował Lopua, że „odziedziczy" ją, zgodziła się. Wkrótce się rozczarowała. – Bił mnie i gwałcił – mówi. Wskazuje na głęboko rozcięte ucho i blizny na czole. Mężczyzna miał ją atakować nożem.

– Chciał ją zabić, teraz jest w więzieniu – mówią inne kobiety z grupy.

Lopua uciekła z czwórką synów do swojej siostry. Musi sama przetrwać. – Rodzina, przyjaciele, nikt nie może mi nic dać – mówi. – Wszyscy tutaj są głodni.

W 2020 r. Światowy Program Żywnościowy ONZ przekazał rządowi Kenii ponad 7 tys. ton produktów, aby pomóc rejonom pustynnym, w tym prowincji Turkan. W tym roku również organizowane są tutaj dystrybucje, ale jest ich za mało. Aktualny raport ostrzega, że półtora miliona ludzi w Kenii głoduje z powodu suszy. Rośnie liczba niedożywionych dzieci.

Jak najszybciej za mąż

Aby uzupełnić sporadyczne racje żywności, Lopua zbiera owoce dzikich krzewów. Dla wielu kobiet to wszystko, co jedzą w ciągu dnia. Głód je osłabia. Wiele kaszle. Występują anemia, gruźlica i zapalenie płuc.

Jeden z synów Lopuy leży w łóżku od wielu dni. Gdy matka robi węgiel, większość prac w domu wykonuje jej kolejny syn, cztero- lub pięcioletni chłopiec w za dużej piłkarskiej koszulce. Gdy pytamy, kto opiekuje się chorym, Lopua odpowiada: – Lowye jest w domu.

Chłopiec trzy razy dziennie idzie po wodę. Dwudziestolitrowy kanister kula po ziemi do źródła i z powrotem. Czasami Lopua wysyła chłopca do miasta, aby żebrał na ulicy. Gdy dostaje coś do jedzenia, dzieli się z rodziną.

Czy Lopua chce ponownie wyjść za mąż? Słysząc pytanie, przymruża oczy, wyrzuca ręce w górę i potrząsa dłońmi. – Ach, ach, ach, ach – woła. Nie chce. – Kobiety to ludzie, a mężczyźni to psy – mówi. – Na początku zachowują się dobrze, a potem stają się fałszywi.

Kobiety wokół niej nie zaprzeczają. – Wchodzą do twojej chaty w środku nocy i gwałcą – mówi Lopua. Kobiety przytakują głowami.

Kilka dziewcząt nasłuchuje w milczeniu. Jedna z nich mówi w końcu, że ma 14 lat, choć wygląda młodziej. Trzyma już w ramionach dziecko. Na pytanie o męża, uśmiecha się nieśmiało. – Wkrótce się ze mną ożeni – mówi. – Starzec złożył jej fałszywe obietnice, zrobił jej dziecko i uciekł – poprawiają kobiety z grupy. Obok siedzi dziewczyna mniej więcej w tym samym wieku. Nosi obrączkę na szyi, ma już troje dzieci.

Wydawanie dzieci za mąż jest w Kenii zabronione, ale według statystyk rządowych 23 proc. zamężnych kobiet było nieletnimi w momencie zawarcia związku małżeńskiego. Caritas podaje, że w Turkanie odsetek ten jest nieco wyższy, ma wynosić ok. 30 proc.

– Susza i koronawirus uniemożliwiają dziewczętom chodzenie do szkoły i zwiększają prawdopodobieństwo, że zostaną wydane za mąż – mówi Agnes Mana, dyrektor Caritas w Lodwar, stolicy prowincji Turkan.

Mary Nyasimi, dyrektor organizacji pozarządowej, zgadza się z tym: – W czasie suszy rodzice chcą jak najszybciej wydać córki, aby otrzymać zwyczajowe wiano od ich mężów. Jest to krok z powrotem do tradycyjnych ról.

Chińska droga

Turkana to nie tylko jeden z najbardziej klimatycznie niegościnnych, ale także najsłabiej rozwiniętych rejonów Afryki Wschodniej. W książce „The Scattering Time: Turkana Responses to Colonial Rule" („Rozpraszanie czasu – odpowiedzi Turkany na rządy kolonialne") historyk John Lamphear opisuje, jak Brytyjczycy zmienili tu życie. Przywódcy ludu byli ścigani, zabijani i porywani, nic nie pozostało z tutejszego systemu administracyjnego. – Kolonizacja zniszczyła Turkanę – mówi nam Lamphear w rozmowie telefonicznej. Setki tysięcy zwierząt zostały im odebrane, a następnie prowincja została hermetycznie zamknięta. Po uzyskaniu niepodległości rząd w Nairobi przez pewien czas kontynuował politykę brytyjską w Turkanie. – To pozbawiło mieszkańców wielu możliwości edukacji, rozwoju i wymiany gospodarczej. Koszt tego odczuwalny jest do dziś – uważa historyk.

Obok Edaraji, gdzie mieszka Selena Akitela, pustynny krajobraz przecina nowa asfaltowa droga. Docelowo ma mieć ponad 300 km, a buduje ją chińska firma państwowa Cico (to element geopolitycznego projektu Pekinu „Inicjatywa Drogi i Pasa"). Droga ma połączyć Sudan Południowy z kenijskimi portami nad Oceanem Indyjskim. Celem Chińczyków jest też uzyskanie dostępu do afrykańskich gospodarek dla chińskich produktów.

Czy dla Turkany może to być szansa? Kobiety z Edaraji tego jeszcze nie odczuwają. Albo, ściślej rzecz biorąc, odczuwają, tylko inaczej: chińska firma zajęła część źródeł. Potrzebuje wody dla swoich pracowników i do budowy. Punkt wodny, z którego Akitela i kobiety z Edaraji zostały przegnane w ostatnich dniach, też jest pod kontrolą Cico.

John, miejscowy pracownik Cico, który pilnuje tego miejsca, mówi, że jego chińscy szefowie są wściekli, gdy daje kobietom za dużo wody: – Nie chcę ich przeganiać. Sam jestem Turkanem i staram się im jak najbardziej pomóc, ale mój szef grozi, że mnie zwolni.

W odpowiedzi kobiety w Edaraji zorganizowały spontaniczny protest, blokując nową drogę ciernistymi krzewami. Po kilku godzinach przegnała je policja.

Akitela wie, że jeśli coś ma się tu zmienić, region ten wymaga inwestycji. – Gdybym miała wodę i szkołę w pobliżu, wysłałabym tam kiedyś córkę – mówi.

Dziewczyna miała 16 lat, gdy została drugą żoną swego męża. Była, można chyba tak powiedzieć, jego planem emerytalnym. – Takie są zasady – mówi młoda matka.

Nigdy nie rozważała oporu.

– Moja córka będzie miała takie samo życie jak ja – mówi Akitela. – To mnie boli, ale nie ma jak stąd uciec.

© OLIVIA KORTAS, KASPER GOETHALS

Kobiety przygotowują posiłek w osadzie Lokichar koło Kakumy.

Turkański pasterz w okolicy osady Oropoi przy granicy z Ugandą.

Huragan Ayuso

PAULINA MAŚLONA Z HISZPANII

Jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy hiszpańskiej polityki i gwiazdą konserwatystów. Wróżą jej wielką przyszłość.

W walczącym z czwartą falą epidemii Madrycie zaraz zacznie się godzina policyjna, o 23 wszyscy powinni być w domach. Jednak na ulicach wciąż tłumy, ludzie rozchodzą się powoli. Jedni świętują, inni wracają w ciszy, wciąż zszokowani skalą swojej przegranej.

Trwają ostatnie godziny pełnego wrażeń dnia: właśnie zakończyły się wybory do Comunidad de Madrid, Wspólnoty Madrytu. To jeden z 17 autonomicznych regionów Hiszpanii, obejmuje stolicę i jej otoczenie. Frekwencja wśród prawie 7 mln mieszkańców Wspólnoty okazała się rekordowa: ponad 76 proc., najwyższa w historii regionu. Ludziom nie przeszkodziła epidemia ani fakt, że do urn mieli się stawić 4 maja, w dzień roboczy.

O ogromnej mobilizacji donosiły media: o kolejkach, które rosły; o ludziach, którzy stojąc w tych kolejkach pracowali na laptopach; o staruszkach zdeterminowanych, by oddać głos. O kobiecie, która – choć wiedziała, że zaczyna rodzić – stawiła się najpierw w komisji, bo, jak powiedziała telewizji La Sexta, „w tych wyborach gramy o wszystko".

Zbawicielka

Jeszcze na początku marca nic nie wskazuje, że Madryt pójdzie do urn. Gdy jednak w regionie Murcia przeciw konserwatywnej Partii Ludowej zostaje złożony wniosek o wotum nieufności, nieufna staje się też 42-letnia Isabel Díaz Ayuso, szefowa autonomicznego rządu Wspólnoty Madrytu. Aby uniknąć podobnego scenariusza, ogłasza nowe wybory, zaledwie po dwóch latach swej kadencji. Kadencji, która zrobiła z niej jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy hiszpańskiej polityki.

Wtedy, w 2019 r., przeciętnemu wyborcy była właściwie nieznana. W ciągu ostatnich dwóch lat z obiektu żartów (na wczesnym etapie kariery zajmowała się m.in. profilem psa swej poprzedniczki Esperanzy Aguirre w mediach społecznościowych) zamienia się w gwiazdę Partii Ludowej, przyćmiewając popularnością jej lidera Pabla Casada. Kolejne fale epidemii to kolejne nagłówki z Ayuso w roli głównej: jest w kontrze do strategii rządu centralnego, wchodzi w konflikt z premierem-socjalistą Pedrem Sánchezem. Gdy większość regionów zamyka restauracje i hotele, ona pozwala je otwierać. Chwali się w prasie, że przedsiębiorcy zjeżdżają do Madrytu, uciekając przed restrykcjami.

– Mówi o sobie jak o zbawicielce – irytuje się Augustin, producent muzyczny, gdy rozmawiamy jeszcze przed wyborami. – Przekonała ludzi, że znalazła równowagę między ratowaniem gospodarki a ratowaniem chorych. Ale to nieprawda, tysiące umierają w stolicy, a można było temu zapobiec.

Na Madryt przypada aż 35 proc. wszystkich ofiar epidemii w kraju. I choć trudno ocenić, jaki wpływ miały na to otwarte bary, wielu zarzuca Ayuso nieodpowiedzialność. „Jeśli zachowalibyśmy się jak Madryt, mielibyśmy 5 tys. ofiar więcej" – mówi w marcu Alba Vergés, minister zdrowia w rządzie Katalonii. Symbolem chaotycznego zarządzania kryzysem staje się „dziecko" Ayuso: polowy szpital imienia Isabel Zendal (legendarnej pielęgniarki, która 200 lat temu walczyła z ospą). Wielu medyków uważa, że jest on nieprzystosowany do leczenia, niektórzy nie chcą tam pracować. Ayuso ogłasza, że medycy, którzy nie zgodzą się na przeniesienie do Zendal, nie będą mieli w swoich szpitalach przedłużonych umów.

Jednocześnie grono jej zwolenników rośnie: przed wyborami uśmiechnięci mieszkańcy zatrzymują ją na ulicy, deklarując, że ją poprą. Imponuje im pewność siebie, z jaką ściera się z Sánchezem, i fakt, że nie przebiera w słowach. Mówi, że zatrzyma komunistów, w zamian obiecuje wolność – to hasło jej kampanii. „To taki nasz lokalny Trump!" – komentuje ktoś pod jej zdjęciem na Instagramie. Trudno powiedzieć, czy dla autora tych słów to krytyka, czy jednak komplement.

Starcie dwojga

Nieoczekiwana kampania wyborcza od początku ma też nieoczekiwany przebieg. Zaskoczenie jest już na wejściu: Pablo Iglesias, lider lewicowej partii Podemos i wicepremier w koalicyjnym rządzie centralnym, rezygnuje z funkcji, by stanąć na czele swej formacji w madryckich wyborach. Jeśli ktoś miałby być ideowym przeciwieństwem Ayuso, byłby to z pewnością Iglesias, który na jej „komunizm albo wolność!" odkrzykuje „demokracja albo faszyzm!". Starcie dwojga charyzmatycznych polityków, urodzonych tego samego dnia i w tym samym roku w Madrycie – symbolikę podchwytują internauci, śmiejąc się, że to coś na serial Netfliksa.

To jednak nie Podemos liczy się najbardziej na lewicy: w stolicy większą popularnością cieszy się lokalne Más Madrid, której twarzą jest młoda lekarka Mónica García. Polityczka, która w trakcie epidemii pracowała w szpitalu, punktuje wątpliwe decyzje Ayuso. „Zamieńmy oklaski w głosy wyborcze" – apeluje do mieszkańców, nawiązując do owacji dla personelu medycznego, które można było słyszeć z balkonów przy pierwszej fali. Za to na czele teoretycznie najsilniejszej Partii Socjalistycznej (PSOE) stoi spokojny Ángel Gabilondo, wspierany w kampanii przez premiera Sáncheza.

Właśnie te trzy lewicowe ugrupowania mają zatrzymać Ayuso, która po swojej prawej stronie ma już tylko partię skrajnej prawicy Vox – jej liderką jest tu Rocío Monasterio. A między tymi frontami, z hasłem „Wybierz centrum", o krztynę uwagi walczą liberałowie z Ciudadanos: dwa lata temu popularni, dziś próbujący utrzymać się na powierzchni.

Chroń miasto

Na początku kampanii kandydaci usiłują jeszcze rozmawiać o programach i rozliczać Ayuso z zarządzania kryzysem, ale napięcie między oboma blokami rośnie szybko, nie zostawiając wiele przestrzeni na dyskusję o przyszłości miasta.

SUSANA VERA / REUTERS / FORUM

Isabel Díaz Ayuso na spotkaniu zamykającym kampanię wyborczą Partii Ludowej w Madrycie. Hiszpania, 2 maja 2021 r.

Obie strony przekonują wyborców, że wyłącznie zatrzymanie „tych drugich" powstrzyma katastrofę. Skrajnie prawicowy Vox wrogów widzi też (tu zaskoczenia nie ma) w imigrantach: z hasłem „Chroń Madryt" Monasterio obiecuje, że stolica będzie bezpieczna i nie waha się rozwieszać plakatów sugerujących, że nieletni imigranci to kryminaliści żerujący na publicznych pieniądzach.

Lewica apeluje, by otoczyć Vox „kordonem sanitarnym", a Iglesias krytykuje media, które – jego zdaniem – wybielają często rasistowskie i homofobiczne poglądy polityków Voksu. W tym tonie są też jego ostatnie słowa, zanim wyjdzie z hukiem z debaty w radiu SER, w trakcie której Monasterio nie potępi faktu, iż Iglesiasowi i jego rodzinie ktoś groził śmiercią: dostali list z dołączonymi nabojami.

Takich przesyłek będzie więcej, swoją dostanie też Ayuso. To jeden z przykładów, jak dramatyczna jest ta bitwa o Madryt.

Pokaż mi swoją wolność

„W Madrycie możesz zmienić partnera i nie spotkasz go nigdy więcej" – mówi Ayuso w wywiadzie dla radia Onda Cero, zapytana, co dla niej znaczy ta wolność, o której tak lubi mówić. To jedna z wielu jej wypowiedzi, które budzą kontrowersje, ale wpisuje się w wizję, jaką kandydatka oferuje mieszkańcom Madrytu. Wolność to wyjście na piwo z przyjaciółmi – niczym się nie przejmuj, baw się, rób, co ci się tylko podoba! Wraz z obietnicą obniżenia podatków – pomysł krytykowany przez Podemos i Más Madrid – rysuje przed wyborcami obraz miasta, w którym mogą pozwolić sobie na przyjemności, a ostatnie, czym się powinni martwić, to pandemia.

– To proste, ona pozwala ludziom żyć – mówi Gemma, która w Madrycie mieszka od trzech lat i bez wątpliwości stawia na Ayuso. – Otwiera bar, żebyśmy mogli pójść pracować, a nie rzuca 500 euro wsparcia, żebyśmy na nią głosowali.

„Mnie Ayuso przypomina kapryśną nastolatkę, która chce robić to, na co jej przyjdzie ochota" – kontruje Mónica García w telewizji La Sexta. Lewica inaczej definiuje wolność: to możliwość studiowania, nawet jeśli rodzisz się w ubogiej rodzinie, czy szansa na wizytę u lekarza bez czekania w dwutygodniowej kolejce. Lewica zarzuca Ayuso, że chce „wolności bez odpowiedzialności, jak auta bez hamulców".

A jednak kandydatka Partii Ludowej przekonuje, że to z jej rozumieniem wolności utożsamiają się mieszkańcy Madrytu. To za jej wolność oddadzą głos.

Da się wygrać z Sánchezem

Wstępne wyniki, które cała Hiszpania śledzi wieczorem na ekranach telewizorów, są przewidywalne i szokujące zarazem. Na podstawie sondaży można było przypuszczać, że Ayuso poprowadzi Partię Ludową (ugrupowanie, które rządzi zresztą Madrytem od 26 lat) do zwycięstwa. Można było się spodziewać słabszego wyniku lewicy. Szokuje jednak ta przepaść: Partia Ludowa zebrała prawie połowę oddanych głosów, w tyle zostawiając szczególnie PSOE (jej 37 mandatów z poprzedniej kadencji skurczyło się do 24). Centrowi Ciudadanos nie otrzymują 5 proc., by wejść do parlamentu lokalnego. O sukcesie mogą mówić wyłącznie politycy Más Madrid, którzy w liczbie mandatów dorównali socjalistom. Cały blok lewicy uzyskał mniejsze poparcie niż sama Partia Ludowa. Iglesias, któremu nie udało się uzyskać satysfakcjonującego wyniku dla Podemos (tylko 10 mandatów), jeszcze tego samego wieczoru oświadcza, że odchodzi z polityki.

„Da się wygrać z Sánchezem" – mówi lider Partii Ludowej, Pablo Casado. Bo choć to wybory lokalne, trudno nie odczytywać ich jako starcia między Ayuso a premierem rządu centralnego. Starcia dwóch odrębnych wizji na radzenie sobie z epidemią i na przyszłość kraju. Gdy jedni mówią „Madryt to Hiszpania", przewidując wielki powrót Partii Ludowej w następnych wyborach ogólnokrajowych, inni przekonują, że „Madryt to wyjątek", tłumacząc wynik fenomenem Ayuso.

I znowu: niektórzy powiedzą, że w Madrycie wygrał egoizm. Że nic nie zostało z deklarowanej na początku epidemii społecznej solidarności. Piwo z przyjaciółmi ponad troskę o innych. Isabel Díaz Ayuso, która za chwilę utworzy nowy rząd, tym razem ze wsparciem skrajnej prawicy, mówi coś zgoła innego: „W Madrycie zatriumfowała wolność".

W każdym razie taka, jak ją rozumie Ayuso. Oraz połowa aktywnego elektoratu. ©

Nowa granica poszatkowała drogę z Goris do Meghri, która łączy południe Armenii z resztą kraju. Co chwila mija się napisy „Witamy w Azerbejdżanie". Kwiecień 2021 r.

Stodoła pod wspólną kontrolą

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK
Z POGRANICZA
ORMIAŃSKO-AZERSKIEGO

Armenia i Azerbejdżan nigdy nie uzgodniły przebiegu granicy. Dziś posiłkują się mapami Google'a i sowieckimi. Kosztem konkretnych ludzi.

Trudno się w tym wszystkim połapać. Za posterunkiem armeńskiej policji rozłożyła się baza rosyjskiej straży pogranicznej. Chwilę potem pojawia się napis po azersku i angielsku: „Witamy w Azerbejdżanie". Dalej serpentyny wiodą do wspólnej pozycji azersko-rosyjskiej. Tam jadących z drugiej strony wita podobny napis. Potem znów stacjonują siły Armenii. Po drodze powiewają trójkolorowe flagi Armenii, Azerbejdżanu i Rosji. Jadący tą drogą wypatrują flag przez szyby. Gdy słońce ostro świeci, nie widać, którą właśnie mijamy.

Poza tym krótkim odcinkiem sprawa ma się z grubsza jasno. Jadąc na południe z miasta Goris do Kapanu: na lewo od drogi są terytoria kontrolowane przez Azerbejdżan, a sama trasa i wszystko, co na prawo, to Armenia. Choć chyba nie wszędzie. Chyba, bo tego do końca nikt nie wie.

Granica, która wyłoniła się jesienią 2020 r. – po tym, jak Ormianie przegrali sześciotygodniową wojnę z Azerami – jeszcze krzepnie. Jeszcze się chybocze. Właśnie ta niepewność wzbudza największe obawy wśród mieszkańców okolicznych wsi, a także wśród ormiańskich pasażerów samochodów i autobusów, którzy ze strachem i ciekawością jednocześnie patrzą przez okna, robią zdjęcia i nagrywają filmiki azerskich pozycji. Wielu z nich po raz pierwszy widzi żołnierzy sąsiedniego kraju z tak bliska.

Ta kręta droga to dziś granica dzieląca dwa państwa. Problemem jednak jest to, że nie wiadomo, gdzie dokładnie przebiega. Armenia i Azerbejdżan nigdy nie porozumiały się w sprawie wspólnej granicy. Oba państwa posiłkują się mapami wojskowymi jeszcze z czasów sowieckich. Choć są one bardzo dokładne, mają też mankamenty. Największym jest to, że są przestarzałe i nie uwzględniają zmian, do których doszło w ostatnich dekadach.

Czekając na skutki

Wieś Worotan leży w południowo-wschodniej części Armenii. Gdy jedzie się trasą na południe, wioska zaczyna się tam, gdzie dziś jest wspólna baza wojsk Azerbejdżanu i rosyjskiej straży pogranicznej. Worotan to raptem kilka ulic i dokładnie 287 mieszkańców.

Jeden z nich, Surik Ohanjanian, ma 52 lata i jedną trzecią swojego życia pełni funkcję przewodniczącego okręgu administracyjnego wsi Worotan. Zna ją jak własną kieszeń. Przez kilkanaście lat widział wiele. Ale nigdy jeszcze nie miał do czynienia z takim bałaganem, jaki nastał po przegranej wojnie i porozumieniu o rozejmie zawartym 10 listopada 2020 r.

– Nie rozumiemy, co się tutaj dzieje – mówi mi Ohanjanian. – Kapitulacja, na którą przystał nasz premier, wpłynęła na nasze życie. Tylko jeszcze nie wiemy, jak bardzo.

Mianem kapitulacji określa podpisanie porozumienia przez premiera Armenii Nikola Paszyniana, który swój podpis złożył obok podpisów prezydentów Azer-

Po rozejmie wieś Szurnuch podzielono na pół: 12 domów i dwie trzecie jednej ze stodół są teraz po stronie azerskiej, 11 domów i jedna trzecia stodoły pod kontrolą Armenii. Kwiecień 2021 r.

Surik Ohanjanian, stojący na czele władz wsi Worotan: „Kapitulacja, na którą przystał nasz premier, wpłynęła na nasze życie. Tylko jeszcze nie wiemy, jak bardzo".

bejdżanu Ilhama Alijewa i Rosji Władimira Putina. Armenia została zmuszona do przyjęcia niekorzystnych dla siebie warunków. W myśl tej umowy nieuznawana republika Górskiego Karabachu musiała oddać Azerbejdżanowi ponad 70 proc. terenu, który wcześniej kontrolowała. W tym także terenów przygranicznych.

Linia na mapie

Wojna o Górski Karabach to najdłużej trwający konflikt na obszarze posowieckim. Zaczął się pod koniec lat 80. XX w., początkowo od protestów, pogromów i wysiedleń. Następnie doszło do wojny między nowo powstałymi państwami Armenią i Azerbejdżanem.

Przed wybuchem konfliktu granica dzieląca Armeńską Socjalistyczną Republikę Sowiecką od Azerbejdżańskiej SRS była tylko formalna – nie miała dzielić dwóch państw, w końcu obie republiki były częścią jednego kraju.

Gdy w 1994 r. Armenia zwyciężyła i zawarto rozejm, to Ormianie dyktowali warunki. Terytoria Górskiego Karabachu i przyległe ziemie azerskie kontrolowała odtąd nieuznawana w świecie Republika Górskiego Karabachu, później nazwana Arcachem. Po tym, jak azerska ludność została wysiedlona, zamieszkiwali ją niemal wyłącznie Ormianie. Przez prawie trzy dekady nie było jasne, gdzie zaczynał się Karabach, a gdzie Armenia. Granica pozostawała bytem fikcyjnym, zapewne jeszcze bardziej niż w czasach sowieckich.

Dopiero zeszłoroczna odsłona wojny o Karabach doprowadziła do dramatycznych zmian. Ku zaskoczeniu obywateli Armenii w pobliżu ich domów pojawili się azerbejdżańscy żołnierze. Zasady, na jakich zajmowali określone pozycje, budziły wiele kontrowersji. Oto nagle między dwoma krajami znalazła się kopalnia złota. Albo: przy świeżo wyremontowanym lotnisku, które miało zacząć funkcjonować, przeszła linia graniczna i jego przyszłość stanęła znów pod znakiem zapytania. Poszatkowana została też wspomniana droga z Goris do Kapanu i dalej do Meghri, położonego już nad granicą z Iranem [reportaż autora z Meghri publikowaliśmy w poprzednim numerze „TP" – red.], bez której dostęp do południowej części Armenii jest utrudniony. Łącznie 116 miast i wsi w Armenii znalazło się w budzącej niepokój odległości do pięciu kilometrów od granicy z Azerbejdżanem.

Uzbrojeni w GPS-y

Mieszkańcy mówią, że przez pierwszy miesiąc w Worotanie było spokojnie. Dopiero po tym, jak 1 grudnia ostatnie terytoria zostały przekazane Azerbejdżanowi, zaczęły się problemy. Ohanjanian naiwnie liczył, że żołnierze strony przeciwnej nie będą zbliżać się do granicy. Wówczas powstałaby strefa buforowa. Ale Azerowie podchodzili coraz bliżej.

Ohanjanian wraz z innymi mieszkańcami wsi zorganizował protest, podczas którego zablokowali drogę Goris–Meghri. Domagali się, by Azerowie nie zbliżali się do Worotanu. Ohanjanian wciąż uważa, że to najlepsze rozwiązanie. – Tylko to może zagwarantować nam więcej bezpieczeństwa – mówi.

Kilka dni po proteście azerbejdżańscy wojskowi przyszli do Worotanu. Mieszkańcy byli bezbronni, we wsi nie było wtedy żołnierzy armeńskich. Sami musieli rozmawiać z przybyszami. Ci nie byli agresywni ani nawet niemili, ale za to bardzo stanowczy.

Najpierw wywiesili flagę na asfaltowni. – W czasach sowieckich za nią przebiegała granica i zaczynało się ich terytorium. Ale kto wtedy o tym myślał, przecież wówczas nie mieliśmy tych GPS-ów – mówi Ohanjanian.

Azerowie przybyli do wioski nie tylko z bronią, lecz także z odbiornikami nawigacji satelitarnej i telefonami komórkowymi z wirtualnymi mapami. Na ich podstawie mówili, które tereny należą się im, a tym samym, z których mieszkańcy mają się wynieść. Rozmowy były bezprzedmiotowe. Ohanjanian przekonywał, że te ziemie należą do ich wsi, pokazywał dokumenty. W odpowiedzi żołnierze pokazywali swoje mapy i GPS-y. „Zgodnie z GPS-em to jest nasze – usłyszał Ohanjanian. – Wasz premier podpisał umowę, więc teraz stąd idźcie". ↦

Do Worotanu Azerowie przyszli z odbiornikami GPS i mapami w telefonach. Na ich podstawie uznali, że brat Ohanjaniana musi opuścić swój dom. Kwiecień 2021 r.

Skrót „GPS" przyprawia Ohanjaniana o białą gorączkę. Uważa to za absurd, że ktoś na podstawie mapy w telefonie określa granicę. Trudno się z nim nie zgodzić, gdy dochodzi do sytuacji – co nagrał dziennikarz Sputnik Armenia – jak kierowca koparki rył dół graniczny, posiłkując się Google Maps w swoim telefonie. Aplikacja ta nie powinna być traktowana jako wiarygodne źródło w takiej kwestii: Google Maps słynie z pokazywania użytkownikom z różnych krajów różnych granic, aby nie podpaść miejscowym władzom.

Pszczoły musiały zostać

Kilka dni po incydencie w asfaltowni Azerowie przyszli do brata Ohanjaniana. Powiedzieli, że ma godzinę na zabranie rzeczy i opuszczenie domu, w którym prowadził niedużą restaurację. Obok domu miał też kilka uli. Wszystkiego nie dało się zabrać w tak krótkim czasie. Żołnierze mieli mu powiedzieć, aby przyszedł później wziąć pozostałe rzeczy, lecz gdy wrócił, już go nie wpuścili.

– Nie miał gdzie się podziać w Worotanie. Wraz z żoną i trójką dzieci pojechali do teścia, do jednej z pobliskich wsi – mówi Ohanjanian.

Nad domem jego brata Azerowie wywiesili swoją flagę i teraz stacjonują w nim na stałe. Reszta licznej rodziny Ohanjaniana – jego żona i ich dorosłe już dzieci, z własnymi rodzinami – wciąż są we wsi. – Jeśli zabiorę swoją rodzinę, to kto tu zostanie? – pyta.

Nie wiadomo, czy to wsparcie moralne wystarczy, by przekonać ludzi do pozostania. Wprawdzie od zawarcia listopadowego rozejmu tylko kilka osób wyprowadziło się z Worotanu, ale panuje nastrój przygnębienia. Poza asfaltownią i domem z restauracją wieś straciła 30 hektarów ziemi, w tym uprawy winogron, a także kolejną restaurację. W ten sposób mieszkańcy stracili pastwiska dla krów i część z nich postanowiła już sprzedać bydło. – Nie ma teraz z czego żyć – mówi Ohanjanian.

Choć od 10 listopada nie było w okolicy starć zbrojnych, w powszechnym przekonaniu nowy konflikt jest kwestią czasu. – Będzie wojna – uważa Ohanjanian. – Dla mnie ona nigdy się nie skończyła.

Dlatego tak mu zależy, aby obie strony były rozdzielone strefą buforową. Poczucie bezbronności, obok złej sytuacji gospodarczej, jest najtrudniejsze do zniesienia.

Wygnańcy

O strefie buforowej nie mają co marzyć mieszkańcy Szurnuchu, oddalonego od Worotanu w linii prostej na południe osiem kilometrów. Licząca dwustu mieszkańców wieś została przedzielona na pół. Dwanaście domów i dwie trzecie jednej ze stodół znalazły się po stronie Azerbejdżanu, jedenaście domów i jedna trzecia stodoły pozostają pod kontrolą Armenii. W niedużej odległości od siebie w wiosce są trzy posterunki: Azerów, Ormian i Rosjan.

Gdy w grudniu 50-letnia Anusz Atanesian i inni mieszkańcy usłyszeli, że mają opuścić swoje domy, podobnie jak ich sąsiedzi z Worotanu zablokowali drogę, by pokazać, że nigdzie się nie ruszą. Udało im się tylko odroczyć wyprowadzkę. Na początku stycznia już nie było dyskusji.

Był to nieprzyjemny i zimny dzień. Szybko się ściemniało. Atanesian zabrała rzeczy pierwszej potrzeby, wyprowadziła krowy i świnie. Zostawiła za sobą dom i nieduży sad. Rosły w nim jabłonie i wiśnie, miała też truskawki, maliny i jagody. – Nie ma tam nic materialnego, czego byłoby mi szkoda, bo to można kupić. Zostały tam jednak drzewa, które zasadziły moje dzieci i wnuki, a także lata naszej ciężkiej pracy. Tego żałuję najbardziej – mówi Atanesian.

Przenieśli się na armeńską stronę Szurnuchu. Ich krewni mają tu dom, ale sami od dawna mieszkają gdzie indziej. Pozwoli im się do niego wprowadzić. Budynek jest zapuszczony, w środku jest zimno, dach ledwo się trzyma, na ścianach jest grzyb, a w drewnianej podłodze dziura na wylot.

Małżeństwo Atanesianów próbuje uczynić budynek zdatnym do życia. Są meble, działa telewizor (mąż doprowadził prąd). Na zewnątrz Atanesian posadziła aksamitki, by stworzyć namiastkę przytulności. Nie mają jak hodować krów, więc je sprzedali. Pozbyli się też większości świń. Zostawili jednak maciorę, która teraz ma małe. Zbudowali prowizoryczną zagrodę, choć chcieliby zrobić coś solidniejszego.

Jakie emocje wywołało w niej nagłe pojawienie się granicy? Najpierw strach, a potem poczucie uwięzienia. – Te ziemie zostały po prostu przekazane. Nie czuję złości ani nienawiści, tylko coś mocniejszego, czego nie potrafię opisać. Po tych wszystkich ofiarach i okropieństwach z ostatnich miesięcy bardzo trudno jest się z tym pogodzić – przyznaje Atanesian.

Może kiedyś

Atanesian mówi, że nie jest w stanie spojrzeć z sympatią na stacjonujących po drugiej stronie wsi azerbejdżańskich żołnierzy. Choć pewnie mogą być wśród nich dobrzy ludzie. Niektórzy nawet do niej machali. Ale na razie koegzystencja wydaje się niemożliwa. – Może za dwa-trzy pokolenia to się zmieni – mówi.

Atanesian wraz z mężem postanowili, że nie wyprowadzą się z Szurnuchu, choć mogli i oferowano im w tym pomoc. Nie są jednak gotowi, aby wyjechać. Z okna budynku, gdzie teraz mieszkają, widać ich rodzinny dom i ogród. W zasięgu wzroku, lecz nieosiągalne.

– Wolę żyć w takich warunkach, ale z możliwością patrzenia na mój dom, niż spędzać resztę życia w komforcie, ale bez tego widoku – mówi kobieta.

W kącikach jej oczu pojawiają się łzy. Choć wciąż mieszka w tej samej wsi, to już nie czuje się u siebie. © PAWEŁ PIENIĄŻEK

Współpraca: SONA MARGARIAN

JACEK

Podsiadło:
Ziemniaki

Pod koniec XVIII w. zniemczony pataszon indiański podbił, pod imieniem kartofla, polskie brzuchy. Głody przez Europę chodziły wówczas takie, że niejadalna, a nawet trująca bulwa stała się z czasem podstawą chłopskiego menu. Ziemniaczane wschody naszej historii interesująco ukazał ks. Ludwik Łętowski w „Katalogu biskupów, prałatów i kanoników krakowskich", przy okazji opowiadania o biskupie Stanisławie Kostce Załuskim, który sprawie ziemniaka służył z zapałem niemal równym, co sprawom Kościoła. I nie masz bluźnierstwa w takim sformułowaniu, chyba że bluźnił też Niemcewicz, kiedy zapewniał, iż „po chrzcie świętym kartofle są największym dobrodziejstwem ludziom użyczonym przez Nieba". Aczkolwiek nie wszystek stan kapłański rozmiłował się w kartoflach, bo zapowiedziany Łętowski podawał: „Był z początku hałas o nie po ambonach, gdyż po dworach zabierały miejsce zbożu snopowemu. Rozmnożone na wielką stopę, podniosły dochody z wiosek do cyfer bajecznych. (...) Ale pokarm ten rodzajem *solanum*, ma w sobie truciznę; a rosnąc nieledwie pod motyką, zleniwiał przy nim człowiek. Co wywarło zatem na ekonomią krajową zabiegliwość gospodarzy przy ziemniakach, pijaństwo ludu wiejskiego przy niesłychanej produkcyi i taniości wódki (...). Załuski nie wiedział, podając kartofel owieczkom swoim, czego dojedzą się z niego". Gdyby ktoś nie wierzył w solaninę, podaję się za świadka: jako sztubak wielokrotnie zażywałem trucizny z surowego ziemniaka, aby doprowadzić się do zwalniającego ze sztuby, błogosławionego stanu gorączki.

Oto mamy już wiek XX i świętokrzyskie chłopstwo masowo hołduje kartoflom, temu internetowi sprzed lat stu, tym cyfrom bajecznym, które człowieka psują. Z każdego kawałka bulwy zawierającego oczko, w którym ukryty jest zalążek *prosperity*, wyrasta nowa roślina, a z nią cała podziemna kiść takich samych, tylko większych owali. Dieta urozmaicona: raz ziemniaki, raz kartofle, talarki, bliny, frytki, purée, potpourri... Dodatkowo w procesie sublimacji łatwo wyprodukować na bazie ziemniaka alkohol. Czego więcej trzeba człowiekowi?

Były w tym regionie dwa ośrodki życia intelektualnego, które promieniowały na okolicę światłem rozumu. Pacanów i Wąchock. Nasza Padwa i nasza Genua, Oksford i Kembridż. Dla mas nie miały one jednak tej siły przyciągania, którą dysponowały ośrodki przemysłowe. Na samym początku lat 60. XX stulecia hutniczy Ostrowiec ściągnął tu i moich rodziców. Z niedaleka: z Mirkowic położonych na tyle blisko, że po wojnie matula chodziła do ostrowieckiego liceum na piechotę, siedem kilometrów. Do szkoły miała z górki, z powrotem na wieś pod górkę, dzięki czemu osiągnęła wykształcenie średnie, najwyższe w całej wsi. Państwo młodzi kupili działkę na przedmieściu Ostrowca, zamieszkali w dwuizbowym domeczku. Tego się dojedli z biskupiego ziemniaka. Pamiętam piwnice i w Mirkowicach, i w tym domeczku, pełne „zimioków" na zimę, zrzucanych gablami przez luft albo znoszonych w workach schodkami. Najwięcej się ich jadło na przednówku, kiedy starzejące się bulwy wypuszczały z siebie kły, w których najsilniej koncentrowała się trująca solanina. Pobierzmy pełniejsze wyobrażenie o Ostrowcu i jego okolicach z wydanej w 1939 r. monografii odległego o rzut widłami Kunowa, autorstwa ks. Aleksandra Bastrzykowskiego: „podwórza pełne gnoju, brudu i śmieci, rzadko kiedy porządkowane. (...) Inwentarz żywy niepozorny, mały, zwyrodniały i wychudzony do tego stopnia, że możnaby go miotłą pozabijać. Chwiejące się z głodu krowy, dźwigające na sobie swój własny zeschły kał (...). Twarze dorosłych mają tępy, bezmyślny wyraz, są to ludzie, którzy nie wiedzą, że życie może mieć również inne powaby poza kieliszkiem wódki, dającej pozory radości i zapomnienia. Tym się właśnie tłómaczy cherlactwo robotników o tępym spojrzeniu dziedzicznie obciążonej alkoholizmem polskiej nędzy. (...) Z powodu niezmiernie grubego, trudnostrawnego, monotonnie i nieumiejętnie przyrządzanego przez kobiety miejskie pożywienia, ludność choruje na katary żołądka i kiszek, ma wygląd blady i ziemisty, niesłychane zaś niechlujstwo powoduje szerzenie się chorób zakaźnych i ogromną śmiertelność". Na szczęście w tych trudnych warunkach chłoporobotnik kielecki nie postradał całkowicie swej jurności i podorywując miedzę, żeby zebrać o dwa kartofle więcej od sąsiada, albo grzejąc browara przy wielkim piecu, nie zapominał o rzeczach wyższych zwanych zwyczajowo dupą Maryny. Dzięki takiemu ukształtowaniu się jego myśli i ja mogłem przyjść na świat, kiedy wybiła odpowiednio podła godzina.

Będąc niewątpliwym spadkobiercą cech tego ludu (spłodziciel mój wielkie miał upodobanie w wódce, które wywiódł z wczesnej młodości, a umocnił w sobie w ramach służby wojskowej), u mnie uwidocznionych w szczególnie bladej i ziemistej cerze, do pewnego stopnia czuję się też powinowatym autora przytoczonych powyżej krytycznych uwag. Otóż ks. Bastrzykowski, będąc proboszczem kolejnych parafii w tej okolicy, poświęcał im później osobne monografie, a potrzebę ich pisania wyjaśniał bez ogródek, na przykład tak: „Do żmudnych studjów nad przeszłością okolicy Kunowa pchnęło mnie pewne przywiązanie i zżycie się z miejscowością, z którą jestem związany pasmem głębokich najczęściej bolesnych, rzadziej radosnych przeżyć"; „Na pierwszym probostwie, jakim była Ruda Kościelna, (...) nic zgoła, coby w duszy budziło jakieś miłe wspomnienie. (...) Niech ta książeczka będzie jedynem dla mnie miłem wspomnieniem pobytu tutaj, gdy innych Opatrzność poskąpić raczyła".

Amen. ©

KLUB TP Twórz / rozwijaj się / poznawaj ludzi. Dołącz do nas na **klubtygodnika.pl/wydarzenia**

HISTORIA

NADWIŚLAŃSKA APOKALIPSA

Choć wojna skończyła się dla nich w styczniu 1945 r., mieszkańcy kilkuset polskich wsi wciąż przeżywali gehennę. 75 lat temu ich los poruszył kraj.

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Jest sierpień 1946 r., gdy Fiorello La Guardia – dyrektor generalny UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration; to międzynarodowa organizacja pomagająca państwom Azji i Europy zniszczonym podczas II wojny światowej) – odwiedza Polskę. Wraz z synem Erikiem objeżdżają to, co pozostało z kilkuset wsi nad Wisłą, gdzie front niemiecko-sowiecki stał prawie pół roku, od lata 1944 do stycznia 1945 r.

W jednej z nich La Guardia wchodzi do wykopanej jamy, która jej mieszkańcom zastępuje zniszczony dom. Wstrząśnięty, pokazuje synowi leżące na słomie dzieci i mówi: „Zapamiętaj sobie ten widok na całe życie. Jeśli ci się będzie kiedykolwiek wydawało, że jest ci źle, przypomnij sobie, jak te dzieci tu żyły".

Na terenie niedawnych frontowych przyczółków nad Wisłą taki widok nie był wówczas czymś nadzwyczajnym.

Zatrzymana ofensywa

Jak do tego doszło? Zacznijmy tę historię od początku.

Na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. Armia Czerwona dochodzi do Wisły i forsuje ją w okolicach Magnuszewa i Sandomierza. Toczy z Wehrmachtem krwawe walki o utrzymanie przyczółków, z których największy – pod Sandomierzem – wżyna się kilkadziesiąt kilometrów na zachód. W krótkim czasie po obu stronach ginie kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy (wśród nich także Polacy walczący u boku Sowietów).

Ale pod koniec sierpnia zaczyna się tu „dziwna wojna". Z rozkazu Stalina ofensywa, która ruszyła latem 1944 r. i zniszczyła niemiecką Grupę Armii „Środek", zamiera. Pozwala to Niemcom złapać oddech: mają na tym odcinku frontu wolne ręce, dzięki czemu mogą utopić we krwi powstanie w Warszawie. Dopiero w styczniu 1945 r. Armia Czerwona znów ruszy z ofensywą na zachód, szybko przełamując front.

W sierpniu 1944 r., podczas walk o przyczółki, Niemcy wysiedlają cywilów ze strefy frontowej. Część trafia do obozów lub zostaje wywieziona do niewolniczej pracy w Rzeszy. Wracając później do domów, na terenach przyczółkowych (jak je wtedy nazywano) – obejmujących powiaty iłżecki, kielecki, kozienicki, opatowski, sandomierski i stopnicki – zastają spaloną ziemię.

W sensie dosłownym: według szacunków na skutek działań wojennych zniszczeniu uległo tu ponad 630 wsi, a w nich ćwierć miliona budynków gospodarskich. Dominują zgliszcza, tu i tam sterczą kikuty kominów. Pola straszą minami, są usiane wojennym złomem. Brakuje wszystkiego: dachu nad głową, żywności, inwentarza, narzędzi, zboża na siew, leków.

O własnych siłach

Mimo tej apokaliptycznej sytuacji ludzie wracają „na swoje". Ma to często wymiar heroiczny, żyją w prowizorycznych pomieszczeniach – bunkrach, piwnicach, ziemiankach, okopach, szałasach. Wielu ginie od wybuchów min. Egzystencja urąga wymogom sanitarnym i przynosi okrutne żniwo w postaci chorób (także psychicznych) i zgonów. Jest ono tym większe, że brakuje opieki medycznej, a zaopatrzenie szwankuje. Szczególnie tragiczny jest los dzieci – marzną, głodują, chorują: na anemię, świerzb, a zwłaszcza gruźlicę.

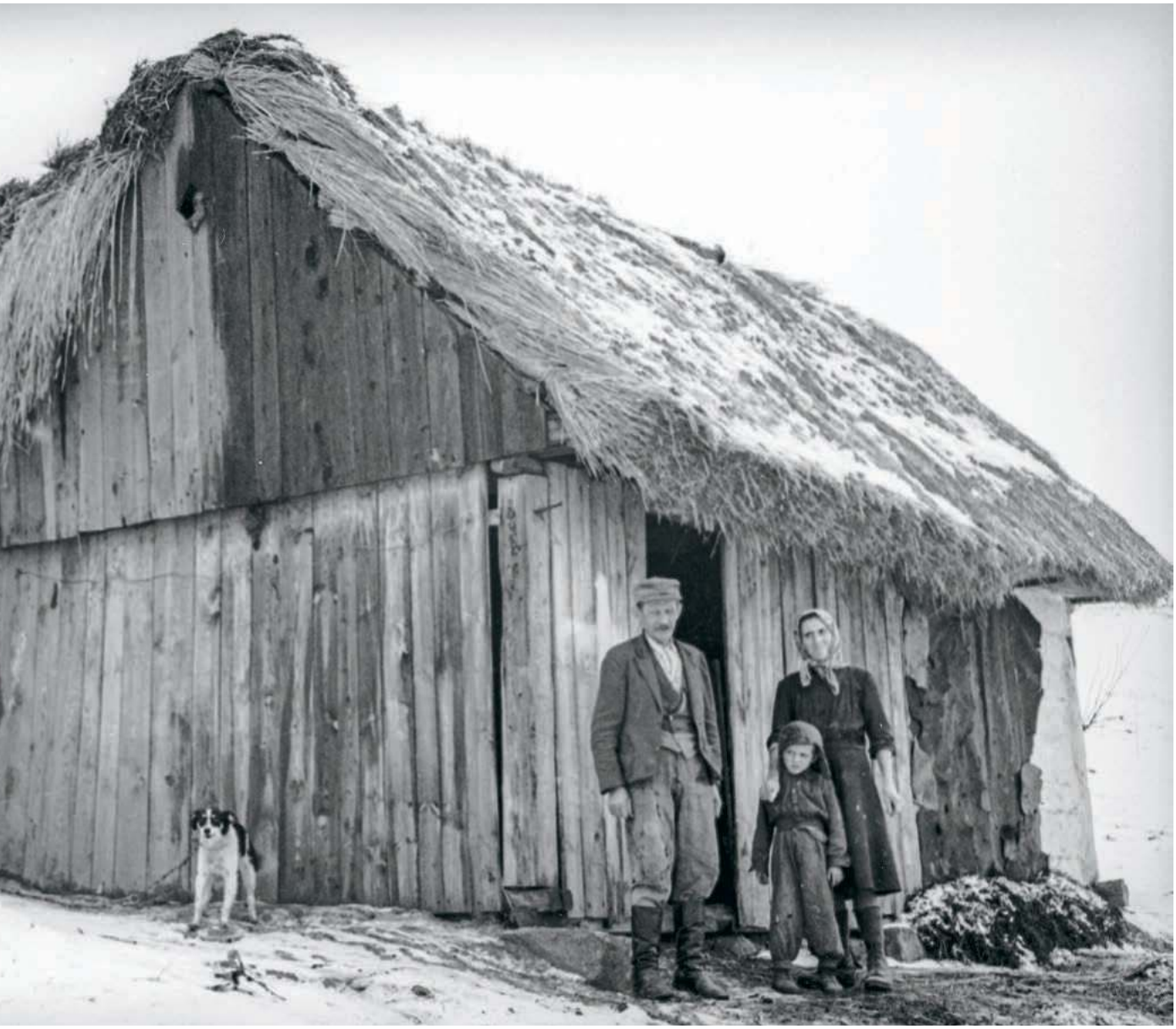

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Rodzina chłopska z jednej z ponad 630 wsi, które zostały zniszczone podczas walk na przyczółkach nadwiślańskich. Zdjęcie wykonał wojskowy fotograf w roku 1949 (w opisie nie podano nazwy wioski), gdy zbudowano już przynajmniej prowizoryczne schronienia.

Mieszkańcy wsi przyczółkowych są początkowo zdani na własne siły. Radzą sobie, jak mogą, ale to droga przez mękę. Posiadanie zwierzęcia gospodarskiego – konia, krowy – jest na wagę złota, graniczy z cudem. Uprawa roli na pobojowiskach jest ryzykowna, jeszcze długo z pól wyorywane są „wybuchowe pamiątki". Niewybuchy są też przedmiotem nieostrożnych zabaw dzieci, które w ich wyniku giną lub zostają kalekami.

Pozbawieni zwierząt roboczych, chłopi zaprzęgają do bron członków swych rodzin, kopią rolę łopatami i odbudowują domy, z czego się da. Liczą na pierwsze zbiory, które pozwolą na polepszenie ich doli – kupno pożywienia, skromnego ubrania, może pary butów na jedną rodzinę. Fakt, że w 1945 r. tereny przyczółkowe obejmuje zarządzony przez władze komunistyczne przymusowy kontyngent wojenny, pogłębia tragiczną sytuację mieszkańców. Czasem na bok schodzą opory moralne – dochodzi do rozbojów i grabieży lasów (drewno pozwala się ogrzać i zbudować prowizoryczne schronienie).

Wielu nie wytrzymuje i porzuca rodzinne strony. Gdy kończy się wojna, ruszają np. na ziemie poniemieckie. To droga w nieznane i kolejna – która już z kolei? – poniewierka.

Cierpienie wyjątkowe

Los przyczółków monitorują nowe władze, które w pierwszych miesiącach 1945 r. walczą tam z klęską głodu; ziarno jest dostarczane głównie z Lubelszczyzny. Jesienią Ministerstwo Aprowizacji i Handlu udziela specjalnej jednorazowej pomocy powiatom iłżeckiemu, kozienickiemu, opatowskiemu, sandomierskiemu i stopnickiemu. Otrzymuje ją łącznie 145 tys. ludzi – to m.in. ziemniaki, mąka, groch, cukier, kawa i sól. Dzieci dostają mleko w proszku. Produkty rozdziela się na podstawie list imiennych sporządzonych przez urzędy gminne lub zarządy miejskie, przy udziale tzw. czynnika społecznego.

Zniszczone powiaty otrzymują ponadto od państwa materiały na ubrania, buty, mydło i zapałki. Mimo trudności w 1945 r. Ministerstwo Odbudowy dotuje ↦

↦ zrujnowane kieleckie wsie kwotą ponad 45 mln ówczesnych złotych (podobną pomoc otrzymują też inne województwa). Ale to wciąż kropla w morzu potrzeb. Tony produktów, dzielone między dziesiątki tysięcy ludzi, zamieniają się w kilogramy, a nawet dekagramy.

Pomaga też Kościół katolicki. W związku z nadchodzącą zimą w listopadzie 1945 r. biskup kielecki Czesław Kaczmarek apeluje o pomoc dla ludności swojej diecezji u ministra pracy i opieki społecznej Jana Stańczyka. Ten obiecuje wsparcie, ale na miarę ograniczonych możliwości. W pierwszej kolejności trafia ono do wsi najbardziej zniszczonych.

O położeniu ludzi żyjących na terenach przyczółkowych początkowo mało kto wie. Obieg informacji w powojennej Polsce kuleje, zresztą ludzie mają zwykle własne problemy z zapewnieniem sobie nawet podstawowych warunków do życia. Ale to się zmienia. Głównie dzięki pracy dziennikarzy Polacy poznają rozmiar tragedii wsi przyczółkowych. Staje się jasne, że nawet jak na ogrom powojennego cierpienia jest ona wyjątkowa.

Nie ma słów

Na los mieszkańców wsi przyczółkowych, zwłaszcza dzieci, zwraca uwagę opozycyjne wobec komunistów Polskie Stronnictwo Ludowe. 2 grudnia 1945 r. na łamach „Gazety Ludowej", dziennika PSL, ukazuje się apel o pomoc dla dzieci Kielecczyzny.

Autor tekstu Czesław Poniecki – działacz Stronnictwa, wywodzący się z chłopskiej rodziny – dzieli się wrażeniami: „Nie ma słów, by ludzkim językiem opisać cały ogrom cierpień i nędzy, jaką tam widziałem. Większość ziemianek nie zabezpiecza od mrozów i deszczów. We wszystkich panuje powszechny głód. Brak żywności, opału, odzieży i środków leczniczych. Wśród ludzi starszych, a zwłaszcza wśród dzieci śmierć święci triumfy. Prawie że w każdej ziemiance widziałem na barłogu siedzącą gromadkę na pół nagich dzieci, w wynędzniałych ich ciałach świerzb wygryzł głębokie rany".

Poniecki ocenia, że jeśli te warunki się nie zmienią, większość spośród 35 tys. najmłodszych mieszkańców Kielecczyzny może nie przeżyć nadchodzącej zimy. Apeluje o wywiezienie dzieci do powiatów mniej dotkniętych wojną. Starania w tym kierunku podejmuje już Zarząd Wojewódzki PSL w Kielcach, pod kierownictwem Wiktorii Kotnis. A członkinie PSL z Łodzi i Poznania przygotowują u chłopskich rodzin pomieszczenia, wyżywienie i opiekę dla dzieci z terenu przyczółków.

WFDiF / POLSKA KRONIKA FILMOWA / YOUTUBE

W latach 1945-46 w nadwiślańskim krajobrazie dominowały zgliszcza, tu i tam sterczały kikuty kominów, pola straszyły minami. Obok kadr z reportażu Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych z 1946 r., opowiadającego o życiu na dawnych przyczółkach.

Poniecki kończy swój apel: „Każda zwłoka może zakończyć się katastrofą. Wysyłamy rozpaczliwe SOS! Ratujcie 35 tysięcy dzieci chłopskich z Kielecczyzny przed zagładą".

Wdowa z Roztylic

Zarówno ten tekst, jak i inne – m.in. 14 grudnia 1945 r. ukazuje się artykuł Kotnis o gehennie wsi na przyczółku sandomierskim – wywołuje duży rezonans. Teofil Orzechowski z Warszawy jako pierwszy przeznacza dla cierpiących dzieci Kielecczyzny tysiąc złotych (za taką kwotę można było wtedy kupić w Kielcach ok. 60 bochenków chleba). Dołączają inni, fundusz pomocy rośnie, przybywa też darów rzeczowych.

Pomaga, kto może, bez względu na płeć, wiek, wykształcenie. Wzruszająca może być pomoc od dzieci dla rówieśników, np. uczniowie z Wyszkowa urządzają w grudniu 1945 r. „dzień bez drugiego śniadania", a zaoszczędzone pieniądze przeznaczają dla potrzebujących. Wsparcia udzielają szkoły, zakłady pracy, terenowe struktury PSL, różne komitety (np. Komitet „Dni radości dziecka" z Radomia), spółdzielnie, mleczarnie itd.

Pomoc zostaje rozszerzona na dorosłych. Przynosi efekty. Przykładowo, do redakcji „Gazety Ludowej" i Zarządu Wojewódzkiego PSL w Kielcach wpływa od grudnia 1945 do października 1946 r. łączna kwota 876 tys. zł, a do tego żywność, odzież i książki. Ktoś przekazuje złoty zegarek. Pieniądze i dary są rozprowadzane wśród najbardziej potrzebujących. Komitety, które ją rozdzielają, uwzględniają najpierw sieroty, wdowy z małymi dziećmi, rodziny żyjące w trudnych warunkach, inwalidów.

Odbiorcy tej pomocy czasem nie mogą uwierzyć w jej bezinteresowność. W listopadzie 1946 r. „Gazeta Ludowa" pisze o wdowie z Roztylic koło Opatowa, która z pięciorgiem dzieci żyje w piwnicy. Otrzymawszy dary „złożyła ręce jak do modlitwy, zalała się łzami, ból ścisnął jej gardło, cichutko wyszeptała tylko »Bóg zapłać wszystkim«. Wierzyć nie chciała, że otrzymuje coś darmo, że nie trzeba tego odrabiać, że są ludzie, którzy bezinteresownie przesyłają jej dary, aby przyczynić się choć w drobnej części do polepszenia jej doli".

Ale wielu ma mniej szczęścia i nie otrzymuje żadnej pomocy. Zbierane dzięki ofiarności Polaków sumy są wciąż nieadekwatne do skali zniszczeń i do potrzeb.

Którzy nie cierpimy głodu

Dopiero z końcem roku 1946 sytuacja na terenach przyczółkowych pomału się poprawia, choć do stabilizacji jest daleko. Przykłady można mnożyć. Ludzie nadal żyją w spartańskich warunkach. Reporterka „Gazety Ludowej" tak opisuje w sierpniu 1946 r. życie mieszkańców wsi Piórków Górny (między Opatowem a Łagowem): „Mała, ciemna, głęboka piwniczka, przekształcona na mieszkanie. Dorobiono maleńkie, jedyne okienko, wstawiono jakiś piecyk, jedno łóżko i pozostaje już tylko skraweczek wolnej przestrzeni. Ciemno tu i czuć stęchliznę. Mimo że czysto, przy wejściu wzlatują roje much".

Szkoły funkcjonują z problemami albo nie działają wcale. A nawet jeśli, nie oznacza to końca problemów. W połowie

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Mieszkanki jednej ze zniszczonych wiosek; zdjęcie wojskowego fotografa z 1949 r.

1946 r. mieszkanka Piórkowa Górnego mówi: „Szkoła na szczęście została, tylko nic w niej nie ma i nauczyciela nie ma, ale pani sekretarka uczy. A zimą [dzieci] znowu nie pójdą [do szkoły], bo butów nie mają, nie kupimy. Mówili o ochronce, ale lato się kończy i niczego nie widać". W niektórych szkołach nie ma ławek – dzieci piszą (o ile mają czym), opierając zeszyty o ściany lub leżąc na podłodze.

Powszechnie brakuje tak podstawowych dóbr, jak odzież i pościel. Peeselowcy apelują więc o produkcję drewniaków i ubrań kroju wojskowego, bazujących na mundurach.

Ilustracją położenia wsi przyczółkowych jest seria poruszających reportaży, które na początku 1947 r. publikuje w „Tygodniku Powszechnym" Paweł Jasienica. To pseudonim, który po wojnie przybrał Leon Lech Beynar, oficer AK z Wileńszczyzny (później poczytny historyk). W jednym z nich zauważa, że choć teren ten został objęty pomocą, „chłonie wszystko jak gąbka". I apeluje: „Myślę też, że powinniśmy pomóc my wszyscy, którzy nie mieszkamy w piwnicach i nie cierpimy głodu. Powinniśmy pomóc: ja, ty, on i tamten. (...) Odpowiedzialność za wydobycie dzieci z zatęchłych piwnic obarcza każdego z nas".

Z czasem los mieszkańców nadwiślańskich wsi schodzi z nagłówków. Oddolna pomoc słabnie w pierwszych miesiącach 1947 r. Wpływa na to nie tylko dość bezwzględna logika tego typu akcji, które prędzej czy później tracą swoją dynamikę, lecz także coraz skuteczniejsze wsparcie państwa i instytucji charytatywnych. Dodatkowo tematem numer jeden staje się wtedy katastrofalna powódź, która pustoszy Polskę wiosną 1947 r.

Od państwa i oddolnie

Wsiom przyczółkowym pomagają władze centralne i terenowe. Ich sytuacja jest omawiana podczas obrad Krajowej Rady Narodowej, czyli uzurpatorskiego parlamentu, istniejącego w latach 1943/44-1947, którego komisje pomocowe działają w terenie. Akcję charytatywną prowadzi Ministerstwo Opieki Społecznej. Przy Ministerstwie Odbudowy funkcjonuje Naczelny Komisariat Odbudowy Wsi. Z czasem ministerstwo to ceduje sprawę podniesienia z ruin nadwiślańskich wsi także na Samopomoc Chłopską.

Przeprowadzona w 1946 r. przez państwo akcja ma objąć wsparciem 50 tys. gospodarstw; ma to być pomoc kredytowa w materiałach budowlanych i częściowo w pieniądzach. Plan na odbudowę w 1947 r. przewiduje kredyt w wysokości 1,2 mld zł.

Wiosną 1946 r. Ministerstwo Zdrowia apeluje do personelu medycznego o zgłaszanie się do pracy w szpitalach, ośrodkach zdrowia i placówkach Czerwonego Krzyża, które powstają na terenach przyczółkowych. Zapewnia atrakcyjne warunki: poza pensją także całkowite utrzymanie, mieszkanie, kartki żywnościowe. Możliwa jest praktyka prywatna.

Pomaga też wiele instytucji społecznych, jak kielecka i sandomierska Caritas (jeszcze istniejąca; za kilka lat komuniści przejmą kościelne instytucje charytatywne), wojewódzkie i powiatowe komitety opieki społecznej, powiatowe komisje odbudowy, Komitet Niesienia Pomocy Powiatom Nadwiślańskim, Chłopskie Towarzystwo Pomocy Dzieciom. Na ratunek idą instytucje polonijne i zagraniczne, głównie z USA, jak Rada Polonii Amerykańskiej, War Relief Service czy wspomniana na początku UNRRA.

Wszystkie te starania są ważne, ale nie zawsze efektywne. „Niechże pomoc terenom zniszczonym będzie jakoś zorganizowana i rozumna. Niechże to nie będzie tylko jałmużna, rzucona dla pozbycia się natręta" – apeluje w sierpniu 1946 r. „Gazeta Ludowa". Bo w wielu przypadkach państwo i instytucje pomocowe zawodzą, a ich działania są prowizoryczne i doraźne. Choć zważywszy na uwarunkowania – w powojennej Polsce brakuje wszystkiego – nie można ich o to wyłącznie obwiniać.

Gorzej z ludźmi

Od wiosny 1947 r. poprawia się sytuacja żywnościowa i sanitarna. Z czasem wsie podniosą się z ruin, odbudują.

Tu i tam pozostaną materialne ślady wojny, dostrzegalne dopiero po rozmowie z miejscowymi. Jak resztki pocisków artyleryjskich tkwiące wciąż w ścianach barokowego kościoła św. Jakuba Starszego Apostoła w Kotuszowie. Wieś, położona w dolinie rzeki Czarnej Staszowskiej, wtedy na linii frontu, została zniszczona, z kościoła pozostały wypalone mury. W jednym z gospodarstw do dziś stoi drewniany barak składak, jakiego używali wtedy Niemcy: skądś pozyskany po 1945 r., był wtedy skarbem i długo domem dla tej rodziny (dziś służy jako budynek gospodarczy).

Gorzej było z ludźmi. Wielu mieszkańców – także tych, którzy wtedy byli dziećmi – nigdy nie odzyskało straconego zdrowia. Opowieści o beztroskich latach dzieciństwa i młodości będą słuchać jak bajki o żelaznym wilku.

Pozostają niezaleczone traumy i piętno pamięci o (po)wojennej gehennie, do dziś żywe na tych terenach.

© BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Autor jest historykiem, pracuje w IPN w Warszawie. Ostatnio wydał: „Antymilenium. Konflikt państwa z Kościołem na tle obchodów tysiąclecia chrztu Polski (1956–1966/1967)", „Za klasztorną furtą. Migawki z życia i działalności jezuitów w Warszawie (1945–1956)", „Międzynarodówka antykościelna. Współpraca polskiego Urzędu do spraw Wyznań z jego odpowiednikami w państwach komunistycznych (1954–1989)" i „Epistolografia w Polsce Ludowej" (współredaktor tomu).

SŁODKI ZABÓJCA

Nie łapią złodziei, nie wykrywają narkotyków, a ich pozytywny wpływ na nasze zdrowie jest wątpliwy. Po co nam właściwie koty?

ZUZA LAMŻA

Pod koniec 2019 r. media obiegła smutna wiadomość: po długiej chorobie kości odeszła Lil Bub. Pośmiertny hołd oddały jej redakcje z całego świata, od „New York Timesa" po polskie serwisy plotkarskie. Wszędzie wspominano o niezwykłej waleczności, wielkim sercu, działalności charytatywnej i nieustającym optymizmie zmarłej.

Z jednej strony nie ma w tym nic dziwnego: odeszła wszak gwiazda wielkiego formatu – gospodyni talk-show goszczącego Whoopi Goldberg i Michelle Obamę, bohaterka nagradzanego biograficznego filmu, której fani ustawiali się w kilometrowych kolejkach po autograf.

Z drugiej strony jeszcze niedawno podobne do niej, borykające się z wrodzonymi problemami anatomicznymi pręgowane kocięta nie miały wielkich szans na przeżycie. Nie mówiąc o karierze.

Jest jeden kot

Choć popularność kocich celebrytów pokroju Lil Bub zrodziła się w przestrzeni wirtualnej, zyski generowane przez nią, Grumpy Cat (Zrzędliwego Kota), Pułkownika Miau czy Princess Monster Truck (Księżniczkę Monster Truck) są jak najbardziej realne. Koty mają swoich agentów, fryzjerów i fundacje swojego imienia: sama Bub jeszcze za życia zdołała zebrać ponad 700 tys. dolarów na pomoc zwierzętom w potrzebie, a dochody ze sprzedaży koszulek, maskotek, poduszek, gier wideo, książek, kubków, naklejek, papeterii, żwirku dla kotów i wszelkich innych gadżetów z jej podobizną po jej śmierci tylko rosną.

U źródeł sławy konkretnych kotów domowych leży zwykle ich nietypowy wygląd, wynikający często z mutacji genetycznych. W pewnym sensie stanowią one kolejny przykład tendencji wyraźnie widocznej w środowisku wielbicieli kotów: poszukiwania kota, który różniłby się czymś od innych.

Choć najważniejsze organizacje felinologiczne uznają dziś oficjalnie ponad 40 kocich ras (większość zadebiutowała w ciągu kilku ostatnich dekad), próżno byłoby wśród nich szukać odmienności na miarę różnic między dogiem niemieckim a chihuahuą. Jak zauważa Abigail Tucker, autorka książki „Lew w salonie", większość ras kotów domowych pozostaje w sferze imaginacji – lub języka. Wprawdzie nie zdarzają się już takie pomyłki, jak ta z 1901 r., kiedy trofeum na wystawie kotów przyznano... lemurowi, ale rozróżnienia między rasami wciąż są naskórkowe i dotyczą przede wszystkim umaszczenia, tęczówki oraz długości futra. Po sezonie wystawowym obcięte „na lwa" persy niemal niczym nie różnią się od buszujących w śmietnikach pobratymców.

Nie różnią się też zbytnio od swoich dzikich kuzynów. Nadal zadziwiająco przypominają oceloty, margaje, kotki bengalskie, rysie, koty pustynne i przedstawicieli innych gatunków małych kotów. Mimo 9500 lat domestykacji *Felis catus* jest prawie identyczny – również genetycznie – z *Felis silvestris lybica*, dzikim kotem nubijskim, od którego się wywodzi. Próżno byłoby szukać u niego charakterystycznych oznak tzw. syndromu udomowienia: oklapniętych uszu, podwiniętego ogona, zmniejszonych zębów czy młodzieńczego wyglądu. Nawet pojawienie się łat w ubarwieniu – typowe dla domowej fauny od psów przez świnie po karpie ozdobne – to relatywne novum: przedmiotem egipskiej czci był głównie bury pręgowany dachowiec, a pierwsze wzmianki o zmianie jego umaszczenia pojawiają się w literaturze dopiero około 600 roku.

Pod pewnymi względami koty wpasowują się jednak w domestykacyjny wzorzec: skróceniu uległ choćby ich cykl rozrodczy, dzięki czemu mogą wydawać potomstwo przez cały rok. To – oraz fakt, że dzięki podobieństwu genetycznemu mogą krzyżować się ze swoimi dzikimi krewnymi – wykorzystują hodowcy, oferując poszukującym nowości klientom coraz odważniejsze kocie hybrydy. Pojawiające się na rynku bengale, rasa z domieszką krwi dzikiego kotka bengalskiego, bywają agresywne i terytorialne. Koty savannah, mieszańce kota domowego i afrykańskiego serwala, mogą ważyć do 10 kilogramów, a koty safari (potomkowie ocelota argentyńskiego) bywają jeszcze masywniejsze.

Z pomocą spragnionym oryginalności wielbicielom kotów przychodzą również poszukiwacze mutantów – kotów domowych, które wyróżniają się jakimś genetycznym omsknięciem, skutkującym brakiem owłosienia (słynne sfinksy, potomkowie dwóch kotów o imionach Dermis i Epidermis), oklapniętymi uszami (koty szkockie zwisłouche) czy skrajnym niedorozwojem kończyn (kontrowersyjne, karłowate munchkiny).

Jak zauważa Tucker, kocięta z podobnymi mutacjami pojedynczego genu prawdopodobnie rodziły się pod płotami i w stodołach przez całe stulecia, ale dopiero kocie szaleństwo XX w. i rozwój internetu umożliwiły hodowcom wyłapywanie pojedynczych osobników z charakterystycznymi cechami na całym świecie i krzyżowanie ich. Tak narodziły się np. lykoi, koty wilkołaki.

Można by zapytać, czym ta pogoń za nowym, innym kotem różni się od znanych od stuleci (jeśli nie tysiącleci: już w czasach łowców-zbieraczy psy występowały w różnych wielkościach) dążeń

MOLTENI MOTTA / GETTY IMAGES

Utagawa Kuniyoshi, „Koty tworzące znaki pisane", drzeworyt, Japonia, ok. 1842 r.

hodowców psów i owoców ich starań? W czym wiecznie potrzebujący sweterka kot elf ustępuje niemogącemu normalnie oddychać buldożkowi francuskiemu?

Lutnia kotem obita

Choć wśród ponad 200 dzisiejszych ras psów nietrudno wskazać te, które powstały wyłącznie dla specyficznie rozumianej ludzkiej uciechy, większość bardzo różnorodnych typów budowy i charakteru ich przedstawicieli jest ściśle powiązana z funkcjami, jakie mieli pełnić. Dziewiętnastowieczni wiktoriańscy entuzjaści klasyfikowania i tworzenia nowych ras psów mieli do dyspozycji cały wachlarz pokrojów będących wynikiem setek lat celowego dobierania najlepszych psów myśliwskich, wojennych, salonowych czy pasterskich.

Dzisiejsze norowce wprawdzie coraz rzadziej faktycznie wpychają kufy do nor, ale nie ustajemy w wynajdywaniu dla nich nowych zadań: psy wykrywają narkotyki i nowotwory, pocieszają ofiary strzelanin, bywają przewodnikami osób niewidomych i niepełnosprawnych. Do czego zaś przydają nam się koty?

Trudno powiedzieć. Maksymalizowanie cierpienia skazańca za pomocą kocich pazurów i zębów wyszło z użytku razem z resztą średniowiecznych tortur. Kocie mięso jadamy rzadko i raczej nie uchodzi ono za przysmak. Jakość kociej skórki doceniają jedynie miłośnicy shamisenu, rodzaju japońskiej lutni, której pudło rezonansowe tradycyjnie bywa nią obijane. Po słynnej publikacji Eriki Friedmann dotyczącej przeżywalności po zawale wydawało się, że towarzystwo domowych pupili, w tym kotów, dobrze robi nam na serce – po bardziej wnikliwych analizach okazało się jednak, że o ile rzeczywiście jest to prawdą w stosunku do psów, przy kotach bywa wręcz odwrotnie.

Właściwie jedyną rzeczą, która jakoś tłumaczy fakt utrzymywania populacji kotów jako zwierząt domowych, jest ich reputacja doskonałych tępicieli gryzoni. Jak się okazuje, wątpliwa. Doniesienia na temat zasług kotów w opanowywaniu plag dżumy i klęsk głodu (wszak to one miałyby stać na straży ludzkich ↦

spichlerzy) wydają się mocno przesadzone. Naukowcy badający miejskie populacje szczurów twierdzą, że w rzeczywistości koty nie tylko nie mają większego wpływu na ich liczebność, ale wręcz żyją z nimi w swoistej symbiozie – szczury wskazują kotom najlepsze źródła pozostawionych przez ludzi odpadków. Przy obfitości wyrzucanego przez nas pożywienia oba gatunki swobodnie są w stanie przeżyć, nie wchodząc sobie w drogę i nie ryzykując odniesienia ran w przypadkowych starciach.

Nie znaczy to oczywiście, że koty nie polują na myszy: niemal każdy właściciel wychodzącego kota znajduje czasem na wycieraczce dogorywającą zdobycz swojego pupila. Niemniej to tylko kropla w morzu potrzeb: gryzonie w rodzaju myszy domowej czy szczura wędrownego są szalenie odporne i potrafią rozmnażać się w zawrotnym tempie.

Zupełnie inaczej niż pozostałe dzikie gatunki, które padają ofiarą kotów.

Dlaczego nie trutka?

Być może otwarcie drzwi naszych domostw wcale nie było największym profitem ze sławy szczurołapów, na jaki koty mogły liczyć – zaprowadziła je ona także na statki. Stroniące od wody koty jak na ironię stały się ulubionymi kompanami przesądnych marynarzy. Fenicjanie rozsiali je po basenie Morza Śródziemnego, były na statkach Wikingów, Ernest Shackleton zaciągnął jednego aż na Antarktydę. Wszystkie szlaki wielkich odkryć morskich siłą rzeczy przekształcały się w ścieżki kocich podbojów. Czasem zawlekane na nowe lądy celowo (np. by walczyć z plagą zaciągniętych tam wcześniej królików), czasem zostawiane na nich przypadkiem, wszędzie mnożyły się na potęgę i powodowały spustoszenie wśród rodzimej fauny.

Rozmiar kociego apetytu i kociej katastrofy najlepiej widać na wyspach. Fidżi, Kajmany, Brytyjskie Wyspy Dziewicze, Polinezja Francuska, Baleary, Hawaje – na tych odciętych od świata rajach bioróżnorodności pozbawione naturalnych wrogów koty odpowiadają za całkowite wytrzebienie dziesiątków gatunków endemicznych ssaków, ptaków, płazów i gadów. W systematycznym badaniu pod kierunkiem hiszpańskiego zoologa Félixa Mediny wykazano, że koty przyczyniły się do zniknięcia z powierzchni ziemi 14 proc. wszystkich kręgowców żyjących na wyspach na całym świecie, a i tak szacunki te są uznawane za ostrożne. Rząd Australii, uznający kota domowego za jeden z najgroźniejszych gatunków inwazyjnych, dofinansowuje badania nad możliwymi sposobami pozbycia się populacji tych zwierząt, w tym nad toksyczną kiełbasą z kangura o nazwie Eradicat.

Problem dotyczy jednak nie tylko wysp: liczebność populacji kotów jest skorelowana z liczebnością populacji ludzkich, a w miastach na kontynencie wrodzony instynkt łowiecki kotów wcale nie słabnie. Amerykańskie koty – zarówno te trzymane w domu, jak i bezpańskie – zabijają między 1,4 a 3,7 mld ptaków rocznie (nie mówiąc już o 6,9-20,7 mld ssaków oraz milionach gadów i płazów). Rząd Kanady podaje podobne dane. W Polsce oszacowania mówią o 631 mln ssaków i niemal 144 mln ptaków w ciągu roku.

Rozmiar kociego apetytu i kociej katastrofy najlepiej widać na wyspach. Odpowiadają za wytrzebienie dziesiątków gatunków endemicznych kręgowców.

Ale istnieją również inne, niewidoczne gołym okiem powody, dla których kot może być groźny. Pierwotniak *Toxoplasma gondii* to być może najbardziej rozpowszechniony pasożyt świata: atakuje praktycznie każde ciepłokrwiste zwierzę, w tym człowieka. Choć już od lat 50. XX w. podejrzewano, że zakażenie nim ma jakiś związek z jedzeniem niedogotowanego mięsa, dopiero w 1969 r. odkryto, że jego ostatecznym żywicielem są kotowate – w tym kot domowy.

Szacuje się, że w USA zakaziło się tym pasożytem 10-40 proc. populacji, w Polsce współczynnik ten kształtuje się na poziomie 25-70 proc. Od dawna wiadomo, że toksoplazmoza, choroba wywoływana przez pasożyta, może dokonać spustoszenia w ciele rozwijającego się ludzkiego płodu i u dorosłych ludzi z zaburzeniami odporności, długo jednak uważana była za niegroźną dla zdrowych dorosłych ludzi. Obecnie w literaturze naukowej pojawiają się sugestie, że długotrwała infekcja może zaburzać pracę układu nerwowego (prowadząc do chorób psychicznych) i wpływać na nasze zachowanie (np. zwiększając skłonność do podejmowania ryzyka).

Nasuwa się pytanie: dlaczego trutka na szczury nie budzi żadnego sprzeciwu, a trutka na koty – równie rozpowszechnione i przenoszące chorobę potencjalnie zagrażającą nienarodzonym dzieciom – olbrzymi? Dlaczego świetnie finansowane i opłacające sztab prawników kocie lobby podnosi larum i zwiera szeregi za każdym razem, gdy gdzieś na świecie próbuje się choćby rozpocząć dyskusję nad szkodliwym wpływem kota domowego na otoczenie? Dlaczego koty budzą tyle emocji?

Prosta odpowiedź Abigail Tucker brzmi: bo je lubimy. Owszem, generalnie koty domowe są na tyle do siebie podobne, że na dobrą sprawę we wszystkich internetowych filmikach mogłoby występować to samo zwierzę. Owszem, z kotów nie ma wielkiego pożytku i w dodatku mogą być niebezpieczne. Owszem, z natury są samotnikami i w przeciwieństwie do psów nie wykształciły niezawodnych sposobów komunikacji z nami, nie stały się naszymi „partnerami społecznymi". W odróżnieniu od nich wciąż stoją okrakiem między światami: miewają swoje manicurzystki, a Lil Bub trzeba było głaskać po brzuchu, żeby się załatwiła, ale jako gatunek świetnie poradziłyby sobie bez nas.

Mimo to (a może właśnie ze względu na to) od tysiącleci niezmiernie nas fascynują. Z jednej strony ewolucyjnym zbiegiem okoliczności niesamowicie przypominają nasze własne młode: mają niemal taką samą wagę i wielkość, jak ludzkie noworodki, wydają podobne dźwięki, a ich osadzone z przodu oczy są olbrzymie w stosunku do równie okrągłej twarzy. Z drugiej – są miniaturową, niemal niezmienioną wersją drapieżców, którzy rozrywali na strzępy naszych przodków. © ZUZA LAMŻA

AUTORKA *jest filolożką hiszpańską i tłumaczką. Książka „Lew w salonie" Abigail Tucker ukazała się nakładem CCPress w jej przekładzie.*

Kraków

PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

COPERNICUS FESTIVAL

COPERNICUS FESTIVAL:

WYOBRAŹNIA

18–23.05.2021

BĄDŹ Z NAMI ONLINE NA:

COPERNICUSFESTIVAL.COM

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Copernicus Center

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

HANNA

Krall:
Bajki dzieciństwa

O dziadku

Bajka Mariusza Szczygła

Najpierw wykopał dół. Miejsce, w którym kopał, nazywano cmentarzem bydlęcym, grzebano tam kiedyś padłe zwierzęta.

Potem do dołu wrzucono dziadka.

Na drugi dzień poszły go szukać, we dwie, babcia z córką, przyszłą matką Mariusza Sz. Znalazły strzęp flanelowej koszuli, wystawał z ziemi.

Słuchajcie Srokowo, powiedział sąsiad, który wyprowadził dziadka na śmierć. Wasz mąż pojechał do Bochni po sól. Zrozumieliście?

Tak, powiedziała babcia. Zrozumiałam. Po sól.

Mama Mariusza Sz. opowiadała tę historię przez całe życie, a Mariusz Sz. słuchał jej przez całe dzieciństwo. Była to jego ulubiona bajka. Koszula... Srokowo... Po sól... – powtarzał z zachwytem drżąc ze strachu. Dzieci lubią się bać, jak jeszcze nie wiedzą, że śmierć istnieje naprawdę. (Że istnieje – Mariusz Sz. miał się dowiedzieć znacznie później i nie z bajki).

Kiedy Mariusz Sz. był już dorosły i był reporterem, bardzo chciał poznać wnuka dawnych sąsiadów dziadka i babci.

Po co?

Po nic.

Żeby spytać o jego ulubioną bajkę.

Nie udało mu się znaleźć nikogo z tamtych stron, z okolic Ustrzyk Górnych wszystkich wysiedlono w czterdziestym siódmym roku w akcji „Wisła".

Pewnego dnia Mariusz Szczygieł wsiadł do taksówki. W Pradze to było, kierowca okazał się Ukraińcem. Nie był niestety poszukiwanym wnukiem, chociaż jego przodkowie pochodzili z Ustryk Hornych.

Był sympatycznym człowiekiem, jednym z tych serdecznych Ukraińców, którzy zapraszają w gościnę polskich przyjaciół.

Mychajło miał na imię, Mariusz Sz. ma jego wizytówkę.

O Toli

Bajka Anny Bikont z jej nowej, jeszcze nie wydanej książki

Ojciec Toli szył damskie okrycia i miał telefon na korbkę.

Przez mur przeniósł ją granatowy policjant.

Mieszkała u siostry tramwajarza. Mogła u niej dłużej mieszkać, ale wyszła na balkon i zaczęła rozmawiać z polskimi dziećmi.

Była na wsi. Zbliżało się Boże Narodzenie i ktoś spytał ją o choinkę. Nic nie wiedziała o choinkach i nie mogła na wsi dłużej mieszkać.

Była u ludzi, którzy mieli wielki obraz, straszny jakiś. Bała się obrazu i pukała w podłogę. Uspokajało ją widocznie to pukanie, ale dłużej nie mogła u ludzi mieszkać.

Była u innych ludzi, którzy znosili ją do piwnicy w wiklinowym koszyku. Trwało powstanie i ci, co ją wynosili, zginęli w masowej egzekucji.

Po wojnie była w domu dziecka. Dobrze jej było, nikt jej o nic nie pytał, mieli co jeść i dostawali amerykańskie ubrania, ona dostała błękitne bolerko z dwiema klamerkami.

Miała ciocię, która uważała ją za krnąbrną i skrytą, ale wujek miał dobre serce. Trochę rzeźbił i za jedną rzeźbę dostał nagrodę imienia Lenina, kupił za nią kredens.

Ciocia i wujek adoptowali ją, ale z Polski wyjechali bez niej. Została sama. Poszła do pracy. Za pierwszą wypłatę kupiła dziesięć jajek i usmażyła sobie jajecznicę. Kupiła też dziesięć ciastek tortowych, ale nie dała rady ich zjeść. Była niebrzydka i nieordynarna, bo państwo, co nosili ją do piwnicy, powtarzali, że skromność to największy skarb każdego dziewczęcia. Wyszła za mąż.

Wyznała, że nikt nie potrafi zrozumieć jej szczęścia, nawet Anna Bikont, która, jak wynika z jej książek, rozumie wszystko.

Otóż wyszła za mąż za mężczyznę, który nazywa się Wawrzyniak.

I ona nazywa się Wawrzyniak.

Wawrzyniak!

Żadna Raszbaum. Chociaż dziadek Raszbaum był bardzo dobry dla niej, przywiózł jej z Zakopanego czerwoną kamizelkę z dwiema wyszywanymi szarotkami. Miała przy sobie tę kamizelkę przez całą wojnę, niedawno oddała ją do Muzeum Polin.

O balladach Adama Mickiewicza

Bajka Marleny S., asystentki mojej i Mariusza Szczygła

Prababcia znała na pamięć całego wieszcza i mówiła go dzieciom na dobranoc. Było kiedyś wydanie z cienkimi jak bibułka stronami i z dwiema szpaltami druku na każdej stronie. Wielka, gruba książka, Jasia, moja ciocia, miała taką i strzegła jej przez całą wojnę, przepadła dopiero podczas powstania, w kanale albo w piwnicy na Siennej.

Prababcia Marleny S. nie miała książek. Nie były jej potrzebne, recytowała z głowy, ballady najchętniej, a w balladach najbardziej przerażające fragmenty.

Wzrok dziki, suknia plugawa...

Patrzy ukosem, podziemnym woła głosem...

Kozak odwiódł, wycelił, nie czekając wystrzelił...

– mówiła z przejęciem prababcia, a dzieci słuchały z zachwytem, bo podobnie jak Mariusz Sz. bardzo lubiły się bać.

Prababcia umarła, babcia umarła, wnuczka, matka Marleny S., wpadła niestety w niewłaściwe towarzystwo. Jeden z jej zalotników posunął się za daleko. Poskarżyła się synowi. Miał szesnaście lat, był duży i silny, zaczaił się na mężczyznę z siekierą.

Wiesz, jakie to straszne, zwierzył się swojej siostrze, Marlenie S., trafić siekierą prosto w głowę...?

Był w poprawczaku. Miał być pięć lat, po roku uciekł. Ukrywał się...

Marlena S. nie czytała córce Mickiewicza.

Nie żeby coś miała przeciw balladom. Po prostu Werka wolała własne bajki, zwłaszcza jedną, o wilku. Nie zamierzała przyjaźnić się z Czerwonym Kapturkiem, który tak głupio dał się zjeść. (Miała nadzieję, że suty posiłek – i Kapturek, i babcia – nie zaszkodzi wilczkowi). Wilk to obrońca. Prawdziwy, wierny Werki przyjaciel.

Ulica Magnolii

Bajka Justyny Bednarek

Na małej warszawskiej ulicy mieszkało sobie kilka rodzin. Polsko-niemiecka rodzina z córką Maryjką. I rodzina żydowsko-polska z córką Helenką. I sympatyczna nauczycielka z synami. Mieszkał także wielki, mądry ptak imieniem Wiktor.

Wszyscy się bardzo lubili na małej uliczce, z wyjątkiem jednego pana niemiłego i niemądrego, a najbardziej lubiły się przyjaciółki, Maryjka i Helenka.

Niestety, przyszedł wrzesień i wojna przyszła i rodzina Helenki przeniosła się do getta. Maryjka rozchorowała się z rozpaczy, ale dobrzy ludzie wyprowadzili z getta Helenkę. Inni ludzie, też dobrzy, znaleźli dla niej bezpieczne schronienie. Tatuś Maryjki, chociaż Niemiec, nie podpisał volkslisty. Niemiły pan sprowadził wprawdzie Niemców, ale spłoszył ich mądry ptak. Wszyscy na ulicy Magnolii przeżyli wojnę, a mamusie obu dziewczynek dostały medale za ratowanie Żydów.

Dobrze jest mieszkać w serdecznym miejscu, które potrafi dać schronienie potrzebującym, kończy bajkę jeden z jej bohaterów.

Piękna bajka.

O tym, jaki powinien być świat.

Jest na stronach Muzeum Polin.

Podoba się dzieciom. Już kilkadziesiąt tysięcy dzieci ją przeczytało, siedmio-, ośmio- i dziewięcioletnich.

Autorka, Justyna B. zapewnia, że wszystko zdarzyło się naprawdę, a Helenka została malarką Wisną Lipszyc.

Znałam ją.

Rozmawiałyśmy kiedyś o jej dzieciństwie i o dziewczynie z warkoczem, która opiekowała się małymi Lipszycami. Nazywała się Helenka Kowalska. Stała się później Faustyną i świętą.

Wisna malowała dzieje Żydów. Ambitnie, od stworzenia świata. Nawet Adama i Ewę uznała za Żydów, chociaż – co wyjaśnił mi Konstanty Gebert – Żydzi zaczęli się od Przymierza i Góry Synaj.

Co z żadnymi bajkami nie ma związku, ale tak jakoś wyszło mi to zakończenie. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Własny pokój
rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności

#DOM
rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

weź, słuchaj!

Więcej na **powszech.net/podkast**

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KULTURA

MIEJSCE NA SERCE

RADEK RAK, PISARZ:

Dopiero kilka lat temu odkryłem swoją podmiotowość – że coś istotnego w moim życiu może zależeć wyłącznie ode mnie. Wcześniej świat rzucał mną w różne strony, a ja głównie próbowałem przeżyć.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jesteś głosem prowincji?

RADEK RAK: Nie jestem tego pewien, pochodzę po prostu z małego miasteczka na Podkarpaciu, ale czy to wystarczy? Z drugiej strony: choć mieszkam w Krakowie już sześć lat, to wciąż czuję się mocno związany z moją rodzinną Dębicą. Każdy – i bycie pisarzem nie ma tu znaczenia – ma w sobie krajobraz kluczowy dla jego wyobraźni. Tam jest ten mój.

Teraz o polskiej prowincji pisze się sporo.

Niestety, obraz, jaki wyłania się z tych opowieści, jest mocno skrzywiony, bo sformatowany pod odbiorcę z Warszawy czy Krakowa. A ja zawsze byłem z Dębicy i nie przekonują mnie narracje o prowincji jako o miejscu z sielanki, gdzie mieszczuch jedzie odpocząć, czy wręcz – odzyskać sens życia. Albo w drugą stronę: prowincja jako Mordor, gdzie wszyscy mają czarne paznokcie, panuje powszechna patologia i w dodatku – zgroza! – ludzie chodzą do kościoła. Zawsze bolały mnie takie uproszczenia.

Czyje na przykład?

Poczułem się wręcz dotknięty „Ciemno, prawie noc" Joanny Bator. Rozumiem, że to powieść, fikcja, w dodatku w konwencji kryminalnej, więc ten Wałbrzych nie jest oczywiście prawdziwy. Jednak wciąż kłuła mnie w oczy przesada i nagromadzenie wszelkich możliwych stereotypów o małym mieście. Choć geograficznie daleko mi do Dolnego Śląska, to jednak odruchowo czuję solidarność z takimi miejscami.

Co mają ze sobą wspólnego?

Społeczności we wszystkich miasteczkach, w których transformacja zmiotła przemysł, wyglądają podobnie. Pejzaż zresztą też. Polska literatura niestety wciąż nie przepracowała tego problemu. Sam chętnie napisałbym realistyczną powieść o latach 90., ale muszę jeszcze do tego dojrzeć. Nie jest łatwo zmierzyć się z postapokalipsą.

Aż tak?

Dzieciństwo spędziłem na zabawach w zrujnowanych fabrykach i opuszczonych cegielniach. W naszej okolicy była kolej wąskotorowa, która jeszcze przez jakiś czas woziła glinę. Nie wolno nam było kręcić się w jej pobliżu, więc oczywiście skakaliśmy z wiaduktu do jadących wagonów. Nigdy nie powiedziałem o tym rodzicom, i dobrze.

Czyli wychowałeś się na ruinach starego świata, dosłownie.

Najbardziej przerażająca był dezintegracja lokalnej społeczności. Moi rodzice są przedstawicielami małomiasteczkowej inteligencji, więc przeszli przez tamte zawirowania stosunkowo bezboleśnie, ale byli raczej wyjątkiem. Mojej dalszej rodzinie, a także wielu znajomym ze szkoły, nagle świat się po prostu zawalił i przez lata nie było nadziei na poprawę. A gdyby nie pomoc z zewnątrz – przede wszystkim Unii Europejskiej – podział na Polskę A i B dalej by się tylko pogłębiał.

Czy to nieuchronne, że zmierzamy od literatury do polityki?

Zależy, jak rozumie się te pojęcia. Moim zdaniem literatura, która jest już na wstępie sformatowana ideologicznie pod konkretnego odbiorcę: prawicowca, lewicowca, zagorzałego wolnorynkowca itd. – jest bez sensu. To przekonywanie przekonanych, w dodatku szkodliwe, bo tylko pogłębiające i tak już mocne w Polsce podziały. Zupełnie nie obchodzi mnie, jakie poglądy ma czytelnik moich książek. „Baśń o wężowym sercu", co ciekawe, podobała się ludziom z pełnego ideologicznego spektrum. Oczywiście, mam swoje poglądy, jak każdy, wolę jednak nie owijać się nimi szczelnie, bo to zubaża doświadczanie rzeczywistości. Unikam, jak mogę, utartych schematów – staram się wręcz pisać wbrew temu, co myślę. Wielu nowych rzeczy można się w ten sposób o sobie dowiedzieć. Inna sprawa, że wszystko, ↦

RADEK RAK (ur. 1987) jest lekarzem weterynarii i pisarzem. Pierwsze jego opowiadania ukazywały się nakładem „Nowej Fantastyki", „Lampy" i „Esencji". W 2014 r. wyszła jego debiutancka powieść „Kocham cię, Lilith", dwa lata później „Puste niebo". Za „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli" otrzymał Nagrodę Literacką Nike w 2020 r. Pochodzi z Dębicy, mieszka w Krakowie.

MIKOŁAJ STARZYŃSKI / POWERGRAPH / MATERIAŁY PRASOWE

↦ co napiszesz o Polsce, wrzuca cię w wir polityki. Nie ma na to siły.

Ale wszystko, co napiszesz o Galicji, wrzuca Cię w wir baśni i mitów? Kraina semper felix?

Moja Galicja z całą pewnością nie jest *felix*. Opowiadam o tym, co znam, co mnie ukształtowało: ludziach, historii, krajobrazach – w tym także o baśniach i podaniach. Gdybym pochodził z innego regionu, zapewne pisałbym o czymś innym. Ale urodziłem się tu, podobnie jak co najmniej dwanaście pokoleń moich przodków (do tylu udało mi się dotrzeć).

Czyli Galicja nie jest pod tym względem wyjątkowa?

Ostatnio wyszła trylogia o Utopku Leszka Libery, wcześniej „Drach" Szczepana Twardocha, które też wprost wyrastają z ducha miejsca. Wszędzie można wydestylować swoistą chtoniczną opowieść.

Osobna sprawa to tożsamość galicyjska. Ostatnio spotkaliśmy się ze znajomymi z fandomu i opowiadaliśmy sobie, gdzie ostatnio podróżowaliśmy. Ten był w Brnie, tamten we Lwowie, ja w Pradze, a tylko jeden w Warszawie, czyli – jak zgodnie stwierdziliśmy – za granicą. Naturalne. Choć jednocześnie to przywiązanie do tradycji CK Monarchii jest jakoś żartobliwe, bo przecież nikt raczej nie chce, żeby nagle pojawił się potomek Habsburgów i odbudował nam tutaj Austro-Węgry. Jesteśmy mimo wszystko w miarę normalni. Z drugiej strony traktuję tę przestrzeń jako rodzaj samonapędzającej się opowieści, z której można czerpać pełnymi garściami. A poza wszystkim jest mi tu dobrze, nie chciałbym się wyprowadzać z mojej krainy.

I dokąd może doprowadzić Cię ta samobieżna opowieść galicyjska?

Tam, gdzie nią pokieruję! Jednak bardziej interesuje mnie co innego – sercem „Baśni o wężowym sercu" jest mit, czyli historia, którą dobrze znamy i powtarzamy, nie zawsze świadomie. Zgodnie z definicją to rodzaj opowieści, dzięki której rozumiemy nasze miejsce w świecie oraz to, jak on działa.

Czyli to nie jest tak zwana książka o Polsce?

Śmieszą mnie książki, w których słowo „Polska" odmieniane jest przez wszystkie przypadki. „Baśń..." to historia dwóch ludzi i ich wewnętrznej wędrówki. Każdy z nich podążył w życiu inną ścieżką, a ja starałem się pokazać, co stało za ich wyborami. Próbowałem odpowiedzieć na pytanie, jaka jest zasadnicza różnica między panem a chamem – na czym dokładnie polega ta relacja. O tym jest ta książka. A kontekst historyczny, który jak na książkę fantastyczną jest oddany bardzo wiernie, to jedynie tło.

Wierność historyczna w książce fantastycznej?

Wzorem dla mnie była trylogia husycka Andrzeja Sapkowskiego. Odrobiłem porządnie lekcję historii i celowałem właśnie w ten poziom dokładności. Nie chodziło mi jednak o dogłębną analizę wydarzeń składających się na rabację galicyjską ani ich rzutowanie na teraźniejszość. Oczywiście, można tę powieść czytać w ten sposób – i wiele osób tak robi – ja jednak niewiele już o tym myślałem podczas pisania. Ważniejsze było dla mnie, żeby zrozumieć, co zrobił Jakub Szela. Dlaczego oddał swoje serce i czym ono właściwie jest.

Masz rzadką dziś umiejętność mówienia wprost i bez zadęcia o kwestiach metafizycznych.

Dzięki. To powietrze, którym oddycham, więc przychodzi mi to naturalnie. Nigdy nie odżegnywałem się od swojej religijności, choć to droga pełna turbulencji.

To czym jest serce?

Na początku obawiałem się, że jestem zbyt dosłowny, bo przecież nawet motto dałem z Mistrza Eckharta. Ale słowo „serce" rozumiem dokładnie tak jak on – nie jako miejsce, gdzie rodzą się emocje, ale najgłębszy z punktów naszego jestestwa, gdzie człowiek może być w pełni sobą – przestrzeń, w której można spotkać się z Absolutem. O ile istnieje – jeśli nie, to z jego brakiem. A tu przy okazji „Baśni..." wszyscy dookoła nic, tylko: „chłopi", „pańszczyzna", no i oczywiście „Polska" we wszystkich przypadkach.

Nie ma się co dziwić. Od lat nurt rozliczeń historycznych jest silny w polskiej kulturze – szczególnie wątek niewolnictwa feudalnego.

To oczywiście bardzo bliski mi temat, bo przez większą część swojego życia byłem człowiekiem, który, podobnie jak chłop, „nie może". Doskonale więc rozumiem los książkowego chama, a wiele elementów fabuły wziąłem z własnego doświadczenia.

Chyba jednak 150 lat temu było nieco inaczej...

Nieco. Mechanizm pozostał przecież ten sam – dalej istnieje wąska grupa ludzi, którzy mają władzę, a reszta jest im podporządkowana. Dopiero w ciągu ostatnich kilku lat odkryłem swoją podmiotowość – że coś istotnego w moim życiu może zależeć wyłącznie ode mnie. Wcześniej świat rzucał mną w różne strony, a ja głównie próbowałem przeżyć. Dlatego „Baśń..." jest nie tyle analizą napięć klasowych, co raczej zapisem indywidualnego doświadczenia przemocy i wykorzystywania. Niektórzy mogą tego nie zauważyć ze względu na historyczno-fantastyczny sztafaż książki, ale mój kolega z klasy powiedział: „Raku, przecież tu opisałeś naszą szkołę". W porównaniu z chłopami pańszczyźnianymi z połowy XIX wieku zmienił się nasz status materialny, już nie przymieramy głodem na przednówku, ale relacje poddaństwa pozostały i to na wielu poziomach.

Czy socjalizm, czy kapitalizm, zawsze w Polsce wychodzi z tego feudalizm, tak mówi dziś obiegowa mądrość. A Ty piszesz ze świadomością klasową.

To wyszło przypadkiem. Nie jestem humanistą, tylko przyrodnikiem, więc nie potrafię ująć tego problemu całościowo, jak choćby ostatnio Adam Leszczyński w „Ludowej historii Polski". Ale podpisuję się pod jego książką obiema rękami i nogami. Trafnie i precyzyjnie ujął to, czego do dziś doświadczają na co dzień ludzie z prowincji – poczucie gorszości, kompleks wobec elit i permanentna, wyczerpująca bezsilność.

Cały czas wypływa nam ta polityka...

Bo w swojej głębokiej strukturze polskie realia polityczne i społeczne niewiele się zmieniły przez ostatnie dwieście lat. Wróćmy do mitu o Szeli – oto źli i tępi panowie, którzy gnębią biedotę, co budzi w niej słuszny gniew. Aż nagle przychodzi cyniczny polityk, rozdaje pieniądze i podburza do walki. Nic nie poradzę, że analogie rysują się same...

Pisałeś, że pamięć rabacji jest wciąż żywa w Twoich rodzinnych stronach.

Miałem to szczęście, że w dzieciństwie załapałem się na końcówkę tradycji ustnych opowieści. Wieczorami ludzie spotykali się w domach, przede wszystkim starsi, i opowiadali, jak to drzewiej bywało. Mówili głównie o wojnie i PRL-u, ale czasem pojawiały się również historie dawniejsze, a w nich wątek rabacji powracał nieustannie. Gdy na początku transformacji zlikwidowano Igloopol – dębicki kombinat rolno-przemysłowy, największy w tej części Polski – to koledzy mojego dziadka mówili, że teraz znowu trzeba by wziąć kosy i jak w 1846 r. pogonić tych komuchów, solidarnościuchów, Niemców i w ogóle wszystkich. To tylko pokazuje, że w świadomości wielu ludzi wyłącznie taka forma buntu pozwala na odzyskanie podmiotowości, a przy tym również godności.

A sama postać Szeli?

Opowiadał mi o nim dziadek. W większości były to historie przygodowo-bajkowe, chyba częściej wymyślane przez niego niż pochodzące z długiej tradycji ludowej. W jednej z nich Szela brawurowo uciekł z lochów, do których wtrącili go źli panowie, co przypominało raczej jakąś średniowieczną legendę. Mimo to żałuję, że jej nie wplotłem w swoją powieść, ale po prostu nigdzie mi nie pasowała. Od dziadka za to wziąłem historię o Szeli, który ratuje chłopa przed burzą śnieżną, wkładając go do brzucha wołu.

W szkole obowiązuje zupełnie inna narracja o rabacji galicyjskiej – pijane gbury poszły rabować panów i rżnąć im głowy.

Zapewne tak było, ale przecież nie rżnęli tych głów dlatego, że mieli takie hobby. Nie można spłaszczać do kilku klisz tak złożonego zjawiska, jakim był bunt chłopski w Galicji. Na szczęście miałem w podstawówce świetnego historyka, który dużo opowiadał o przeszłości regionu – w tym o rabacji. Popularne są teraz w sieci wykresy ideologiczne, na których można kogoś umiejscowić ze względu na polityczne poglądy – mojego nauczyciela można by ulokować w dowolnym miejscu daleko poza każdą ze standardowych osi. I mniej więcej tam też dzieje się „Baśń...".

W szkole obowiązuje narracja o Szeli jako zdrajcy narodu, co jest przecież absurdalne, bo nie można być zdrajcą wspólnoty, do której się nigdy nie należało. Powiedzieć w połowie XIX wieku, że chłop jest Polakiem, to tak, jakbym teraz stwierdził, że Polakiem jest mój pies. Dla wszystkich było wtedy oczywiste, że chłop to zwierzę, które pracuje w polu, żeby pan mógł żyć jak człowiek.

> Powiedzieć w połowie XIX wieku, że chłop jest Polakiem? Przecież dla wszystkich było wtedy oczywiste, że chłop to zwierzę, które pracuje w polu, **żeby pan mógł żyć jak człowiek.**

Wszedłeś głęboko w źródła historyczne – coś Cię zaskoczyło?

Przebrnąłem przez raporty austriackiej policji z przesłuchań chłopów biorących udział w rabacji. Na początku miałem dość mgliste wyobrażenie o powodach, dla których ci ludzie szli mordować swoich panów – myślałem, że chcą polepszyć swój byt albo znieść pańszczyźniany ucisk. Otóż nie. Każdy z nich szedł, aby dokonać osobistej zemsty. Tylko tyle albo aż tyle. Zrozumiałem wtedy, że ich krwawy bunt nie był wcale niespodziewaną eksplozją żądzy krwi – chodziło o bezpośrednie wyrównanie rachunków krzywd. Osobistych. Z tych zeznań wyłania się potworny obraz zbrodni, których padali ofiarami przez lata, co w końcu doprowadziło ich do ostateczności.

Co na przykład?

Ograbianie ich z dosłownie każdego grosza. Regularne gwałty na chłopkach. Niewyobrażalnie okrutne kary fizyczne za najdrobniejsze przewinienia. Szela spędził siedem tygodni w dybach tylko dlatego, że pojechał do austriackich władz ze skargą na pana. A statusy józefińskie mówiły, że chłopa można trzymać w dybach najwyżej przez siedem dni.

Prawo było martwe.

Wszystko zależało od widzimisię pana – łącznie z życiem i śmiercią poddanych. Najpierw studiowałem współczesne opracowania historyków i wydawało mi się, że rozumiem ówczesne realia. Jednak podczas lektury tekstów źródłowych nie mogłem uwierzyć, co czytam. A nie mówimy o czasach aż tak bardzo odległych.

Niemal wszystko, co wiemy o ówczesnych chłopach, pochodzi z relacji tej drugiej strony. To duże wyzwanie dla każdego, kto próbuje oddać im głos.

To prawda, ale zostały nam legendy. Jeśli jakiś wątek pojawia się w nich często, można założyć, że był ważny, miał dotkliwe przełożenie na rzeczywistość. A przemoc pojawia się w każdej z nich. Gdy w 1848 r. w Galicji symbolicznie zniesiono pańszczyznę, chłopi zakopywali pod krzyżami albo kapliczkami księgi pańszczyźniane – odwieczny symbol opresji. Jednak przy różnych okazjach pojawiały się groźby, że można je łatwo odkopać. Takie plotki rozpowszechniał np. Kościół jeszcze w XX wieku. Kilka pokoleń chłopów żyło w strachu, że tamten porządek może wrócić. I nie mówię tu o mglistych obawach, tylko o paraliżującym, namacalnym lęku, który było widać na każdym kroku. Z tej perspektywy historia II RP rysuje się nieco inaczej, niż lubimy sobie wyobrażać.

Słyszę fakty, fakty i fakty, a Ty twierdzisz, że dalej czujesz się fantastą? Nagroda Nike nie pchnęła Cię w stronę mainstreamu polskiego życia literackiego?

Szczerze? Nie obchodzi mnie, czy jestem w getcie, czy w głównym nurcie. Paru znajomych radziło mi, żebym wreszcie zachował się jak normalny człowiek i z pisarza fantastycznego przepoczwarzył się w autora poważnych, realistycznych powieści. Nie wykluczam, że kiedyś napiszę „poważną i realistyczną książkę", przynajmniej bardzo bym chciał. Ale jeszcze nie pora. Teraz pracuję nad epicką powieścią *fantasy*, która zawsze była moim marzeniem. Literacki *mainstream* nie jest moim naturalnym ekosystemem. Gdy się w nim pojawiam, staram się udawać, że jestem normalnym pisarzem, ale nie czuję się z tym specjalnie dobrze, przyznaję.

Granica rezerwatu fantastów zaciera się coraz bardziej.

To prawda. Ja też nie przepadam za restrykcyjną gatunkowością – nie lubię gotowych rozwiązań fabularnych czy estetycznych. Staram się budować swoje światy od podstaw. ↦

↦ **Czyli nie pasujesz ani tu, ani tam.**

Tu, jeśli masz na myśli literaturę bezprzymiotnikową, nie pasuję jednak trochę bardziej. A tak w ogóle, pisanie to mój drugi zawód. Jestem przede wszystkim weterynarzem, więc mam bardzo mało czasu na funkcjonowanie w różnych obiegach medialnych. Ale nie gardzę tym światem, jak mi się czasem zarzuca. Tyle że jak już mam wolną chwilę, to wolę napisać rozdział książki, a nie posta na Facebooku. Zwłaszcza że jest to dla mnie naturalniejszy sposób komunikacji. Aczkolwiek bardzo się cieszę, że dzięki Nike „Baśń..." trafiła także do ludzi spoza fandomu.

Czym się różnią czytelnicy z fandomu od tych spoza?

Dostrzegają zupełnie różne rzeczy. Fantaści zarzucają mi, że „Baśń..." to realistyczna powieść historyczna.

Jak to realistyczna?

Bo w powieści fantastycznej, mając do dyspozycji całe instrumentarium tego gatunku, należy pokazać świat nie takim, jak wyglądał, tylko takim, jak powinien wyglądać. A ja wystrzegam się tego typu diagnoz, bo nie wiem, jak rzeczywistość powinna wyglądać. Wolę pisać o tym, jak coś widzę i co przeżyłem. Dlatego już teraz obawiam się o recepcję mojej epickiej powieści *fantasy*. Na szczęście mam wydawcę, który pozwala mi na wszystko.

A czytelnicy mało fantastyczni?

Im z kolei nie bardzo podobała się w „Baśni..." część o podróży do wężowego świata. „Fajną książkę napisałeś o rabacji, ale po co ci te węże?", zdarzało mi się nieraz słyszeć, choć dla mnie to jest przecież rdzeń całej opowieści.

Gdy już zostałeś mainstreamowym krakowskim weterynarzem, to zaczęły do Ciebie zaglądać psy i koty przedstawicieli świata literackiego?

Owszem, choć wolałbym nie podawać nazwisk. Przyszło parę osób, ale chyba bardziej po to, żeby zobaczyć, jak wyglądam i o co w ogóle chodzi z tą Nike. Zapewne nie powiedziałem im niczego odkrywczego – ani o literaturze, ani o leczeniu zwierząt – było jednak miło.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Jutro bez powrotu

DARIUSZ KOSIŃSKI

Potrzebna jest nam dziś sztuka bezproduktywna, nienastawiona na tworzenie dzieł. W teatrze, który już nieraz testował społeczną zmianę, jest to jak najbardziej wyobrażalne.

Mówienie o „lepszym jutrze" jest w naszej części świata skompromitowane, owszem. Dominujący duch pandemicznych czasów jest zaś konserwatywny, by nie rzec – reakcyjny. Niemal wszyscy mówią o „powrocie do normalności", więc tęsknią za tym, co znali, a czego zostali pozbawieni.

Ta niechęć do zmiany jest zrozumiała. Wszyscy jesteśmy kuszeni, by machnąć ręką na świat, powrócić jak za dawnych lat i poleżeć pod gruszą na dowolnie wybranym boku. Ale ta pokusa jest fałszywa i groźna. Do jakiej „normalności" tak bardzo tęsknimy? Do czego chcemy wracać? Do świata politycznej nawalanki i wszechwładnej chciwości napędzającej brutalną rywalizację? Do społecznej rzeczywistości nieustannego egzaminu dojrzałości, ciągłego bycia testowanym i dowodzenia własnej sprawności? Czy ta „normalność", o której najwięcej mówią ci, którzy wszelką normalność opartą na zaufaniu i życzliwości dawno odrzucili, nie stała się aby fikcją już na długo przed pandemią?

I wreszcie: czy już przed pandemią nie byliśmy całkiem dobrze zorientowani, że to, co dysponujące władzą/wiedzą korporacje i partie nazywają „normalnością", stanowi śmiertelne zagrożenie dla planety, bez której nie możemy żyć?

Zamącone lustro

Teatr od czasu swojego powstania w nowożytnej formie zawsze funkcjonował i był traktowany jako narzędzie społecznej diagnozy, miejsce możliwego

PRZEMYSŁAW FISZER / EAST NEWS

Happening „Teatr nie działa" zorganizowany przez artystów Teatru Muzycznego Capitol: codziennie w godzinach wieczornego spektaklu jeden z aktorów zasiadał na czarnym fotelu w witrynie teatru przy ul. Świdnickiej, Wrocław, grudzień 2020 r.

samorozpoznania i autorefleksji. „Lustro sceny" to jedno z najbardziej tradycyjnych i najstarszych wyobrażeń nazywających funkcję i potrzebę teatru. Wykorzystywano je wprawdzie często do podtrzymywania *status quo ante*, ale nawet ukazanie odmienności jako zagrożenia i przeprowadzenie procesu jej społecznego napiętnowania i ukarania (co było zasadą najpopularniejszych sztuk w XIX w.) nie zmieniało faktu, że to teatr jako pierwszy owe odmienności dostrzegał. Będąc długo jedyną sztuką żywą, teatr najszybciej i w sumie najuczciwiej rozpoznawał, czym żyje zbiorowość, z której się wyłania.

Dziś oczywiście nie ma już tej siły i popularności, jakimi cieszył się jeszcze sto lat temu. Ale nadal wydaje się zachowywać funkcję diagnostyczną, czego dowodzi w ostatnich latach nieustannie, podejmując z wyprzedzeniem tematy, które niewiele później okazują się angażować całą społeczność (proszę np. pomyśleć o osławionej „Klątwie" Olivera Frljicia z perspektywy obecnych sporów o rolę Kościoła w Polsce).

W pandemii teatr został skonfrontowany z co najmniej trzema zasadniczymi kwestiami, z których tylko jedną – pytanie o „nażywość" jako jego nieusuwalny aspekt – można uznać za sprawę „wewnętrzną". Nie ona też sprawiła, że po latach nieobecności teatr wrócił na pierwsze strony codziennych gazet i czołówki telewizyjnych wiadomości. Stało się tak za sprawą kolejnych ujawnień systemu hierarchicznej przemocy. Teatralne #MeToo odsłoniło jednocześnie dwa aspekty istniejącego systemu: niedemokratyczność instytucji oraz przemoc (także seksualną) stanowiącą stały element relacji wewnętrznych. Trudno sobie wyobrazić, by możliwy był rzeczywisty i pełny powrót do „tego, co było".

Niezależnie jak oceniać poszczególne ujawnione przypadki (co najmniej w niektórych można wskazywać na działanie mechanizmu publicznego linczu bez szans na obronę), skutki ujawniania praktyk przemocowych są dla osób oskarżanych tak poważne, że uruchamia się skuteczny „efekt mrożący". Przekonanie, że „tego się już nie odkręci", które w debatach o teatralnej przemocy dominuje, oznacza, że właśnie teatr – ten sejsmograf społecznych zmian – sam przechodzi i po raz kolejny wskazuje innym sferom społecznego życia, co je czeka, lub też na co powinny być przygotowane.

Precz z arcydziełami!

Tak się złożyło, że niedawno zajmowałem się przygotowaniem do publikacji kilku dyskusji o teatrze po pandemii, które odbyły się jesienią ubiegłego roku. Czasu upłynęło już sporo, więc sam zacząłem wątpić, czy taka publikacja ma sens. Ale kiedy przeczytałem ponownie i uważnie te zapisy, odkryłem, że już we wrześniu 2020 r. ludzie teatru stawiali diagnozy, które kolejne miesiące tylko potwierdziły. Najważniejsza jest zaś ta, że „powrót dobrze znanego" to szkodliwa fikcja, a podstawowe zadanie, jakie przed nami wszystkimi stoi, to wymyślenie siebie na nowo. Oczywiście nikt nie wie, co się może wydarzyć (to główna lekcja pandemii), ale właśnie dlatego musimy na różne sposoby szukać możliwych przyszłości.

Postawmy sprawę jasno: niezależnie od tego, czy pandemia się wkrótce skończy, czy w jakiejś formie zostanie z nami na stałe, nie możemy już dłużej grać wyłącznie na czas. To, co rzeczywiście groźne (a zapewne pożądane przez ludzi władzy), to narastająca społeczna bierność wyrażająca się w skupieniu wyłącznie na trosce o przetrwanie. Wszystko tymczasem wskazuje, że w skali społecznej walka o nie się kończy i trzeba już zacząć zadawać pytanie o to, jak będziemy żyć po pandemii, jaką wygramy sobie w tej wojnie przyszłość.

Teatr przynosi kilka – jak mi się wydaje – istotnych podpowiedzi, pojawiających się już nie tylko w diagnozach i dyskusjach, ale też w praktykach. Co ciekawe, znaczna część z nich wcale nie jest rezultatem pandemii – były rozwijane już wcześniej. Ale lockdown wymusił zatrzymanie normalnego (niestety) kołowrotu nadprodukcji, możliwa była i jest głębsza refleksja nad zjawiskami, o których wszyscy wiedzieli, ale nad którymi zazwyczaj w pośpiechu przechodzili do porządku codziennego zabiegania.

Takim zjawiskiem jest niedemokratyczny system panujący w polskich instytucjach teatralnych, który jeśli nie prowadzi wprost do nadużywania władzy, to co najmniej mu sprzyja. Jego krytyka stanowi rozwijający się od kilku lat bardzo prężnie nurt badań i praktyk, realizowanych nie tylko, ale głównie przez badaczki. Agata Adamiecka-Sitek, Marta Keil, Joanna Krakowska, Monika Kwaśniewska, Zofia Smolarska od dawna diagnozują systemowe nierówności i przeciwstawiają się stereotypowi rzekomo niemożliwej demokracji teatralnej. Dwie pierwsze, wraz z Igorem Stokfiszewskim, na zaproszenie Teatru Powszechnego w Warszawie realizowały w sezonie 2018/2019 badawczy projekt interwencyjny „Porozumienie", który miał diagnozować niedemokratyczne mechanizmy i zaproponować praktyczne sposoby ich rozbicia. Nie mówimy więc o „teorii", ale o konkretnych badaniach „terenowych" i wynikających z nich rozwiązaniach praktycznych.

Ich celem jest stworzenie takich sposobów współpracy, które będą bardziej zespołowe, demokratyczne i włączające niż obecne. Chodzi po prostu o to, by wszyscy uczestnicy procesu teatralnego (łącznie z pracownikami technicznymi i administracyjnymi) mieli poczucie sprawczości, ↦

współtworzenia zespołu i instytucji. Zasadniczym celem jest odrzucenie przemocy i opartego na hierarchii podporządkowania na rzecz wspólnego wypracowywania rozwiązań w rzeczywistym dialogu, opartym na zasadzie wysłuchania każdego, kto chce zabrać głos. Oznacza to oczywiście demontaż hierarchicznej struktury, na której szczycie w obrębie instytucji stoi dyrektor, a w obrębie zespołu twórczego – autorytarny reżyser realizujący swoją „wizję".

Kontrargument mówi o niemożności skutecznego tworzenia dzieł sztuki teatralnej – spektakli – przy zastosowaniu takiego, bardziej demokratycznego sposobu pracy. Uzgadnianie wszystkiego, nieustanne dogadywanie się z każdym, branie pod uwagę każdego głosu prowadzić ma do paraliżu procesu produkcji (tego słowa używam świadomie) i kończyć się tym, że po miesiącach prób i dyskusji nie powstaje żadne przedstawienie. Nie wiem, czy to prawda. Trzeba by najpierw spróbować. Poza stałymi repertuarowymi instytucjami było i jest co najmniej kilka zespołów, które tak właśnie z niejakim powodzeniem pracowały i pracują, przynajmniej przez jakiś czas.

Ale nawet jeśli założyć, że przeciwnicy demokratyzacji sztuki mają rację, to ich twierdzenie o nieproduktywności demokratycznych procesów twórczych każe zadać pytanie, czy wobec tego produkowanie dzieł sztuki na pewno jest jej najważniejszym celem. W kapitalistycznej logice produktywności i efektywności pytanie jest absurdalne. Ale czy to właśnie nie ta logika prowadzi nas do zatraty? Może jednak warto przemyśleć, a nawet popraktykować, coś, co jest poza granicami „oczywistej oczywistości" nakazu efektywności, który ucieleśnia najskuteczniejsza postać polskiego życia zbiorowego – Daniel Obajtek?

Zerwać spektakl

Sztuka bezproduktywna nie jest nastawiona na tworzenie dzieł. Nie wiem, na ile jest ona wyobrażalna w innych dziedzinach twórczości artystycznej, ale w teatrze – jak najbardziej. Ba, nawet wyobrażać jej sobie nie trzeba, bo nastawienie na proces, na korzystanie z narzędzi artystycznych dla wypracowania nie kolejnego spektaklu, ale określonych praktyk organicznych to coś, czym teatr żyje co najmniej od drugiej połowy XX w. Po okresie negacji dawniejszych i współczesnych prób tego typu oraz dominacji nastawienia na produkt i „wielkie nazwiska", już przed pandemią co najmniej część środowiska deklarowała odrzucenie dyskursu i praktyki zorientowanej na dzieło, postulując, by teatr i sztuki performatywne stały się raczej laboratoriami mikrospołecznymi i ośrodkami prowadzącymi długofalowe poszukiwania alternatywnych sposobów organizacji życia społecznego i indywidualnego.

> Aktorzy społeczni muszą nieustannie udowadniać, że panują nad sytuacją, że mają siły i środki, by swoje plany zrealizować. **Pandemia jasno i bezwzględnie pokazała fikcję tego widowiska.**

Współczesny świat pozostaje we władzy spektaklu, którego zasadą jest odgrywanie tego, co najłatwiej objąć angielskim słowem *power*, oznaczającym i moc, i władzę. Aktorzy społeczni muszą nieustannie udowadniać, że panują nad sytuacją, że wiedzą, co robią, i że mają siły i środki, by swoje plany zrealizować. Pandemia jasno i bezwzględnie pokazała fikcję tego widowiska.

W Polsce przeciwnicy obecnego rządu usiłują niezdarnie wykorzystać tę kompromitację, twierdząc, że jest ona winą tylko tej konkretnej ekipy rządzącej i że oni – gdyby otrzymali szansę – sprawiliby się lepiej. To nieprawda, z czego w istocie wszyscy świetnie zdają sobie sprawę, powtarzając wciąż, że nie wiemy, jaka będzie przyszłość. Skoro nie wiemy, to może przestańmy produkować iluzję *power*, składać kolejne obiecanki, że „jeszcze będzie normalnie", i przyznajmy, że to, czego potrzebujemy, to umiejętność twórczej improwizacji, a także wzajemne zaufanie i takaż troska stanowiące konieczne zaplecze współdziałania.

Te umiejętności i wartości nie od dziś należą do praktyk rozwijanych właśnie przez teatr i sztuki performatywne. Współdziałanie i troska, uważność i reagowanie na zmianę wprowadzaną przez innego to wszak zasada wielu odmian „teatru uczestnictwa", w których artyści wykorzystują swoje umiejętności, wiedzę rzemieślniczą i konkretne wyobrażenia związane ze światem sztuki nie do tworzenia dzieł, lecz do powołania sytuacji spotkania, dialogu, tworzenia sceny dla innego, a w konsekwencji – długofalowego przekształcania życia. Przykładów na skuteczne działanie tego typu jest dużo, a wieloletnia aktywność i dokonania Fundacji Pogranicze z Sejn czy Teatru Wiejskiego Węgajty (by wymienić tylko te dwa, najbardziej oczywiste) pokazują, że jest możliwe tworzenie bez nastawienia na produkowanie dzieł.

Pytanie fundamentalne brzmi zatem: czy jesteśmy gotowi przeznaczać publiczne i prywatne pieniądze tylko na taką działalność, której efektem będzie kolejny towar na rynku kulturalnej nadprodukcji, czy też zdołamy uznać, że otwarcie przez sztukę pól praktykowania innych relacji społecznych niż oparte na stanowionym przez władzę prawie i wywieranej przemocą sprawiedliwości przynosi potencjalnie większy „zysk" społeczny i indywidualny?

Możliwych do twórczego opracowania formuł jest tu wiele: od jednorazowych wydarzeń specjalnych, świąt, od których już pół wieku temu zaczynał swoją poteatralną działalność Jerzy Grotowski, przez jednorazowe akcje o charakterze interwencji i inicjowanego spotkania, po kreatywne wykorzystanie opartej wszak na improwizacji i dialogu telekomunikacji sieciowej, którą wszyscy nauczyliśmy się w pandemii posługiwać.

Stając znów „w drzwiach" (by użyć słynnych słów Stefana Jaracza wypowiedzianych w czasie wielkiego przesilenia teatralnego w kwietniu 1936 r.) musimy najpierw zapytać, czy jesteśmy gotowi je otworzyć i wyjść poza logikę produkcji i efektywności, by tworzyć „rzeczy, które służą", czy też wolimy je szczelnie zamknąć i bronić do upadłego twierdzy kultury Panteonu.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

ROLAND NEVEU / NETFLIX

Jenna Coleman jako Monique/Marie-Andrée Leclerc (w głębi) i Tahar Rahim jako Charles Sobhraj (w środku) w serialu „Wąż”

Wąż w ogrodzie dzieci-kwiatów

JAKUB MAJMUREK

Wśród turystów pełno jest poszukiwaczy duchowości, łatwego seksu, tanich narkotyków i alkoholu, egzotyki oraz przygody. To właśnie oni padają ofiarą Sobhraja.

Charles Sobhraj z pewnością uważał się za najsprytniejszego przestępcę swoich czasów. Choć sprytu w unikaniu wymiaru sprawiedliwości nie można mu odmówić, to jeszcze większa była jego arogancja i patologiczne pragnienie uwagi. To one ostatecznie zaprowadziły Sobhraja do więzienia, gdzie spędzi najpewniej resztę życia.

Na początku wieku wydawało się, że Sobhraj faktycznie ograł wszystkich. By uniknąć ekstradycji do Tajlandii, gdzie poszukiwano go za wielokrotne morderstwa, dał się zamknąć w więzieniu w Indiach za mniej poważne przestępstwa. W delhijskim więzieniu Tihar, opłacając strażników, żył w luksusie. Gdy wyszedł na wolność, zarzuty w Tajlandii się przedawniły. Sobhraj osiadł pod Paryżem, przez chwilę cieszył się sławą, pobierał bajeczne honoraria za wywiady prasowe i telewizyjne.

W 2003 r. popełnił jednak błąd. Wrócił do Nepalu, jedynego kraju, gdzie ciągle poszukiwany był za morderstwa. Zachowywał się, jakby uwierzył w swoją bezkarność, w to, że znów ogra wymiar sprawiedliwości, ponownie skupiając na sobie uwagę mediów. Przeliczył się. Nepalczycy mieli solidne dowody – dostał dożywocie i przegrał kolejne apelacje. Ciągle odsiaduje wyrok.

W splotach

Życie Sobhraja wygląda jak gotowy materiał na film. Trudno się więc dziwić, że serial o nim – zatytułowany „Wąż” – nakręcili w końcu Brytyjczycy. Polscy widzowie mogą zobaczyć go na Netfliksie. Serial skupia się na latach 70., apogeum zbrodniczej aktywności Sobhraja. Przestępca mieszka wtedy w Bangkoku, ale prowadzi działalność w kilku państwach regionu: Indiach, Nepalu, ciągle brytyjskim Hongkongu. Gromadzi wokół siebie coś w rodzaju przestępczej komuny. Jej rdzeń stanowią Indus Ajay Chowdhury, prawa ręka i wykonawca większości poleceń Sobhraja, oraz zdominowana i zmanipulowana przez Sobhraja jego kochanka Marie-Andrée Leclerc, Kanadyjka z Quebecu.

Gang Sobhraja poluje na podróżujących po Azji zachodnich turystów – zwłaszcza na hipisów, rozbitków kontrkultury, niebieskich ptaków z plecakiem przemierzających egzotyczny kontynent za pieniądze mieszczańskich rodziców. Technika działania jest zawsze ta sama: Sobhraj lub ktoś z jego ludzi zaprzyjaźnia się z zachodnimi turystami, wciąga ich do swojej komuny, następnie podtruwa specjalnie przygotowaną mieszanką leków i chemikaliów. Sobhraj wmawia swoim ofiarom chorobę, opiekuje się nimi, zdobywa ich zaufanie. Tymczasem okrada je z pieniędzy, czeków podróżnych, a nawet tożsamości – podróżuje po świecie posługując się ich paszportami. Poza trucicielstwem i uwodzeniem jest bowiem ↦

↦ całkiem sprawny w fałszowaniu dokumentów. Zdobyte w ten sposób pieniądze inwestuje w kupowane w Tajlandii klejnoty, sprzedane potem na Zachodzie. Ofiary, które nie są mu już dłużej potrzebne albo zaczynają sprawiać kłopoty, Sobhraj morduje – lub robią to jego ludzie.

Twórcom serialu doskonale udało się odtworzyć klimat miejsca i czasu przez dopracowane w każdym szczególe kostiumy, charakteryzację, scenografię. To ostatnie robi tym większe wrażenie, że z powodu COVID-19 nie dało się nakręcić „Węża" – jak planowano na początku – w Azji. Większość plenerowych scen z Kathmandu, Mumbaju i Bangkoku zrealizowano w studiu w Anglii. A wydaje się, że obserwujemy autentyczne lokacje.

Świetnie wypadł też casting. Rewelacyjny jest zwłaszcza odtwórca roli samego Sobhraja, francuski aktor algierskiego pochodzenia Tahar Rahim. Wybitną rolą w „Proroku" (2009) Jacques'a Audiarda – gdzie zagrał drobnego, zagubionego przestępcę, którego więzienie zmienia w doświadczonego, pewnego siebie zawodowego kryminalistę – pokazał skalę aktorskich możliwości. Główna rola w „Wężu" to jedno z jego lepszych osiągnięć od tamtego czasu.

Sobhraj Rahima jest fascynującym kameleonem. Zmienia skórę w zależności od tego, kogo chce zmanipulować do własnych celów. Może przybrać dowolną tożsamość. Jest jednocześnie uwodzicielski i odstręczający, czarujący i śmiertelnie groźny, zimno racjonalny, a przy tym niezdolny oprzeć się swoim destrukcyjnym impulsom: od pragnienia znajdowania się w centrum uwagi za każdą cenę po uzależnienie od hazardu, pochłaniające lwią część przychodów z przestępstw.

Broni się też obsadzenie w roli francuskojęzycznej Leclerc angielskiej aktorki Jenny Coleman. Udaje się jej oddać paradoks tej postaci – wspólniczki zbrodni, a zarazem ofiary Sobhraja, osoby zmanipulowanej tak bardzo, że sama przestaje wiedzieć, co jest prawdą, a co kłamstwem. Mimo świadomości zła, jakie wyrządza, niezdolnej zerwać z przestępczym życiem.

Postać taka jak Sobhraj powinna mieć na ekranie godnego siebie antagonistę. Na szczęście dla filmowców w biografii mordercy pojawił się ktoś taki – pracujący w Bangkoku holenderski dyplomata Herman Knippenberg. Gdy zgłoszona mu zostaje sprawa dwóch zaginionych w Tajlandii holenderskich turystów, podąża ich tropem i trafia na działalność Sobhraja. Przy sprzeciwie swojego ambasadora i przy początkowej obojętności tajskiej policji, latami gromadzi dowody kolejnych zbrodni, próbując zainteresować nimi tajlandzkie władze i Interpol.

W „Wężu" Azję odmienia nie tylko pochód komunizmu. Drugą potężną siłą są **zachodni turyści i podążające za nimi pieniądze.**

Serial skonstruowany jest jak partia szachów między „drużyną Sobhraja" a „drużyną Knippenberga" – Holendrowi w śledztwie pomaga jego niemiecka żona, doskonale znający stosunki w Bangkoku zgorzkniały urzędnik belgijskiej ambasady (świetny Tim McInnerny) oraz para młodych Francuzów, która próbuje się wyrwać spod wpływu mordercy.

Jako widzowie na początku wiemy o Sobhraju tyle co Knippenberg: prawie nic. Zostajemy wrzuceni w sam środek jego przestępczej aktywności. Dopiero z czasem, w retrospekcjach, poznajemy dokładną historię kolejnych zbrodni, ich kontekst, przeszłość Sobhraja, która doprowadziła go do takiego, a nie innego miejsca w życiu.

Narracja wije się jak ciało węża, cofa się i przeskakuje do przodu, w każdym odcinku przenika się kilka planów czasowych. Wybór takiego sposobu opowiadania był doskonałą decyzją. Sprawia, że serialowy Sobhraj do końca pozostaje enigmą, zmusza widza do aktywnego intelektualnie odbioru, zmienia „Węża" w zagadkę, układankę do złożenia w głowie.

Po kolonializmie, w cieniu komunizmu

„Wąż" jest jednak ciekawy nie tylko jako kryminalna zagadka – siłą serialu są też bogate polityczne i społeczne konteksty. Twórcom udało się odtworzyć materialną kulturę Azji lat 70. widzianej z punktu widzenia ekspatów i turystów z Zachodu, ale także jej polityczny klimat. „Wąż" przypomina pod tym względem rozgrywającą się w podobnym okresie w Hongkongu znakomitą powieść Johna le Carrégo „Jego uczniowska mość". W obu dziełach widzimy Azję stosunkowo świeżo wyzwoloną spod kolonialnego panowania. Z dawnych imperialnych posiadłości na kontynencie pozostał już tylko brytyjski Hongkong i portugalskie Makau.

Region jest też jedną z podstawowych aren zimnej wojny. O polityczne wpływy w jego stolicach rywalizują Waszyngton, Moskwa i Pekin. Trwa wojna w Wietnamie, rozlewająca się na Kambodżę i Laos. W rozmowach dyplomatów zarówno w Hongkongu Johna le Carrégo, jak i w Bangkoku z „Węża" daje się odczuć lęk, że to już koniec, że za chwilę wszystko zaleje czerwona fala azjatyckiego komunizmu, a Europejczycy i Amerykanie wrócą z niczym do domów. Gdy Knippenberg odkrywa, że wśród ofiar Sobhraja mogli być Francuzi, udaje się do francuskiej ambasady w Bangkoku. Nikt nie ma tam jednak czasu, by mu pomóc – wszyscy zajęci są pomocą Francuzom, którzy zmuszeni byli opuścić Wietnam.

Kolonialne dziedzictwo ciągle jednak trwa w świecie „Węża". Sobhraj sam jest jego produktem. Rodzi się w Sajgonie, jego matka jest Wietnamką, ojciec Indusem. Mężczyzna zostawia rodzinę, matka wychodzi za stacjonującego w Indochinach francuskiego żołnierza. Jej syn wychowuje się we Francji, gdzie nieustannie doświadcza rasizmu francuskiego państwa i społeczeństwa.

Czy to on pcha go do zbrodni? Być może, choć serial przywołując te konteksty sugeruje, by nie wierzyć Sobhrajowi, gdy zgłasza takie deklaracje. Swoją rasową tożsamością żongluje podobnie jak kradzionymi paszportami. Raz podaje się za białego, innym razem podkreśla swoje azjatyckie korzenie. Wszystko zależy od tego, kogo próbuje uwieść i zmanipulować.

Marzenie i koszmar kontrkultury

Obok komunizmu Azję w „Wężu" odmienia jeszcze jedna siła: zachodni turyści i podążające za nimi pieniądze. Widzimy, jak Tajlandia zmienia się w globalny turystyczny raj, pilnowany przez skorumpowaną, autorytarną władzę. Wśród odwiedzających region turystów pełno jest poszukiwaczy duchowości, łatwego seksu, tanich narkotyków i alkoholu, egzotyki oraz przygód. To właśnie oni padają ofiarą Sobhraja.

Jest wśród nich francuski chłopak, który wyjechał pracować w Australii, ale nie znalazł tam tego, czego szukał: egzotyki, przygody, doświadczenia świata innego niż ten względnego drobnomieszczańskiego zachodniego dostatku, w jakim dorastał. Sobhraj uwodzi go, obiecując mu spotkanie z „prawdziwą Azją". Jest też młoda Francuzka, która zostawia w Paryżu dziecko, by szukać w Bangkoku uzależnionego od narkotyków partnera – wpada do komuny Sobhraja, z tragicznym skutkiem. Jest jeszcze młodsza Amerykanka z Seattle, która zamierza zostać mniszką w buddyjskim klasztorze. Zanim jednak poświęci się życiu duchowemu, chce spędzić ostatnią noc pijąc, odurzając się, imprezując, pewnie po raz ostatni doświadczając seksu. Pech chce, że trafia na mężczyznę z komuny Sobhraja.

Kandydatka na mniszkę wydaje się budzić największą pogardę w serialowym zabójcy. Tak jakby on sam, wcześniej odrzucony przez białą Francję, nie mógł zrozumieć kogoś, kto porzuca wygodne życie w Stanach, podążając za fantazją o „wschodniej duchowości". Sobhraj widzi w takich ludziach łatwe ofiary. Ze swoimi naiwnymi fantazjami o Oriencie, pokoju, wolnej miłości czy narkotycznych ekstazach jakby same się prosiły, by wpaść w ręce charyzmatycznego oszusta.

Sobhraj bez problemu odnalazłby się w prozie Houellebecqa. Zwłaszcza w „Cząstkach elementarnych", gdzie bohater wspomina matkę, porzucającą dzieci dla marzeń o alternatywnym życiu w hipisowskiej utopii, która z bliska okazuje się koszmarem. Historię Sobhraja da się też czytać jako alegorię tego, w jaki sposób pragnienia kontrkultury – autentyczności, wolności, alternatywnej duchowości, wolnej miłości – zostały łatwo przechwycone przez drapieżny kapitalizm i zamienione w toksyczny, podtrwający swoich użytkowników produkt.

Dwuznaczna fascynacja

Na końcu serialu zbrodniarza spotyka kara. Nad przebiegłym „wężem", zmieniającym twarze i tożsamości, kpiącym z organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości w kilku państwach, od Paryża po Bangkok, triumfuje poczciwy Knippenberg. Płaci za to jednak cenę. Rozpada się jego pierwsze małżeństwo, kariera w dyplomacji jest zagrożona. Gdy Sobhraj ostatecznie wpada w Nepalu, Knippenberg, rzucony na placówkę w Nowej Zelandii, w domu na antypodach wciąż trzyma dowody zbrodni w Bangkoku, wożone najpewniej po całym świecie.

Obsesja Knippenberga na punkcie Sobhraja ma w sobie coś niezdrowego. W pewnym momencie mamy wrażenie, że co najmniej tak samo jak o sprawiedliwość chodzi mu o pokonanie sprytnego rywala w grze w policjantów i złodziei. Także nasza fascynacja historią Sobhraja, jego kolejnymi zbrodniami, ucieczkami i fortelami jest głęboko kłopotliwa. Zastanawiamy się, czemu właściwie pociąga nas tak okropna postać, a mimo to oglądamy dalej. I tę dwuznaczną fascynację współczesnej popkultury brytyjski serial również pokazuje znakomicie.

© JAKUB MAJMUREK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NETFLIX / MATERIAŁY PRASOWE

Aditya Modak (w środku) jako Sharad Nerulkar w filmie „Uczeń”

Sukces po indyjsku

ANITA PIOTROWSKA

„Uczeń” ma niewiele wspólnego z kolorowym Bollywoodem, choć barw i dźwięków tu pod dostatkiem. Bo tytułowy bohater jest adeptem klasycznej odmiany muzyki indyjskiej, znanej jako raga.

Filmy z odległych kulturowo kręgów sporadycznie pojawiają się na naszych ekranach. Jeśli już, to na fali międzynarodowych sukcesów i aktualnych mód – na Iran, Chiny czy Koreę. Dzisiaj, dzięki platformom internetowym takim jak Pięć Smaków w Domu, wyraźnie poszerzyła się oferta kina azjatyckiego. Również streamingowi giganci dorzucają czasem do swego homogenicznego kontentu garść tzw. egzotycznych przypraw.

Stąd właśnie obecność na Netfliksie indyjskiego filmu „Uczeń” („The Disciple”), którego twórcą jest Chaitanya Tamhane, tworzący w języku marathi. Film odniósł sukces na ostatnim festiwalu w Wenecji (nagroda FIPRESCI i za scenariusz), a równocześnie niesie własny kulturowy bagaż, chwilami trudny do udźwignięcia dla nieobytych z jego specyfiką. Warto jednak wykonać ten poznawczo-estetyczny wysiłek.

„Uczeń” ma niewiele wspólnego z kolorowym i krotochwilnym Bollywoodem, choć barw i dźwięków tu pod dostatkiem. Przede wszystkim tytułowy bohater jest adeptem klasycznej odmiany muzyki indyjskiej, znanej jako raga. Pieśni o tej nazwie, zazwyczaj z akompaniamentem sitaru, tabli i tambury, to rozbudowane, nawet wielogodzinne poematy. Podporządkowane z grubsza tradycyjnej strukturze, otwierają rozległe pole dla improwizacji, pozwalając słuchaczom wejść w stan medytacji albo transu. Traktowane są niczym „droga do boga”, dlatego wykonawca ragi, posiadłszy umiejętności techniczne, musi przede wszystkim postarać się o oczyszczenie umysłu. Co to oznacza w praktyce? Jak wiele jest w stanie poświęcić ambitny Sharad (w tej roli młody śpiewak Aditya Modak), czyli fikcyjna i archetypiczna zarazem postać artysty dążącego do absolutnego mistrzostwa?

Sporo się dziś o tym rozmawia w naszej części świata, gdzie samopoświęcenie w imię sztuki czy odwieczna relacja mistrz–student odsłaniają coraz więcej psychicznych i fizycznych nadużyć. W przypadku „Ucznia” tego ostatniego problemu nie znajdziemy, nie ma też presji ze strony artystycznej tradycji. Przeciwnie: to sam Sharad, zafascynowany swoimi mentorami i obarczony niespełnionymi aspiracjami ojca, chce osiągnąć doskonałość za wszelką cenę. Życie odkłada na potem, co również daje się usłyszeć w jego ciągle niedoskonałym śpiewie. Albowiem samodyscyplinę myli z oschłością serca, bliskość zastępuje pornografią i dopiero wtedy, gdy jego muzyczny guru mocno podupada na zdrowiu, Sharad potrafi zapomnieć na chwilę o sobie i obsesyjnym poszukiwaniu boskiego tchnienia. Podobną „piosenkę” o artystycznej pysze i pokorze, o cierpliwości i dojrzewaniu do muzyki, znamy także z wielu innych wykonań, by wy-

mienić tylko książkowe i ekranowe „Wszystkie poranki świata”.

Film Tamhanego, osadzony na przestrzeni dwóch dekad w Mumbaju, opowiada o współczesnych, globalizujących się Indiach, wrzuca więc artystyczne dylematy muzycznych tradycjonalistów w powszechnie znany kontekst, zdominowany przez popkulturę i rynek. W dobie kapryśnych sponsorów, „łapek” na YouTubie i telewizyjnych *talent shows* w rodzaju „Fame India” gdzież tu jeszcze miejsce dla Saraswati – hinduistycznej patronki muzyki i sztuk pięknych? Kiedyś za istotę półboską uznawana była ascetka i mistrzyni ragi o pseudonimie Maai, po której zostały już tylko archiwalne taśmy z cennymi wykładami o istocie tego stylu. Teraz najchętniej deifikuje się sezonowe gwiazdy kina czy estrady.

Ciekawy jest zresztą wątek zapomnianej maestry. Okazuje się, że więcej niż wyjątkowość jej nagrań może dziś znaczyć sposób prowadzenia się artystki i jej kontrowersyjne poglądy. W poprzednim filmie, debiutanckim „Procesie” (2014), Tamhane portretował swój pogrążony w korupcji i kulturowych sprzecznościach kraj z perspektywy sali sądowej, a oskarżonym był zaangażowany społecznie, sędziwy bard, który rzekomo skłaniał swym śpiewem do samobójstwa. W „Uczniu” także ścierają się rozmaite anachronizmy i wynaturzenia rodzimej rzeczywistości, lecz jedno przynajmniej pozostaje nietknięte: mistyczna muzyka, będąca dwustuletnim dziedzictwem północnoindyjskiego Alwaru, której film po prostu składa hołd.

Robi to po swojemu, rezygnując z drabinki scenariuszowej typowej dla historii inicjacyjnych na rzecz meandrycznej podróży wewnętrznej. Od początku czuje się też inaczej zrytmizowaną dramaturgię, opartą na dłuższych przebiegach i niby-dokumentalnych zapatrzeniach, podporządkowaną niespokojnej naturze bohatera i muzycznym utworom. Złakniony geniuszu Sharad celowo pozbawiony został charyzmy właściwej bohaterom w drodze, zyskującym z czasem wyższą świadomość. Twórców filmu – wbrew „zachodniej” dynamice sukcesu – bardziej interesuje rozciągnięty w czasie los artysty, który wybrał najtrudniejszą z możliwych ścieżek. „The Disciple” dostrzega nie tylko kategorię mistrzostwa – ktoś musi przecież zejść ze swego cokołu i rozpocząć żmudną pracę u podstaw, na niwie edukowania i popularyzowania.

Funkcję producenta wykonawczego pełnił przy filmie Alfonso Cuarón, twórca „Romy”, podczas gdy zdjęcia są dziełem Michała Sobocińskiego, kolejnego utalentowanego artysty z polskiego klanu aktorsko-operatorskiego. Kontemplacyjne, rozmyślnie statyczne ujęcia przypominają japońskie kino Yasujirô Ozu, gdzie kamera filmowała bohaterów z pozycji klęczącego na macie tatami, co dawało widzowi wrażenie bezpośredniej obserwacji.

Ta kulturowa mieszanka sprawia, że „Uczeń” wydaje się filmem oswojonym i osobliwym zarazem. Nawet jeśli fabularnie powiela znany schemat, pozwala zanurzyć się w niecodziennych dźwiękach i zsubiektywizowanym przepływie obrazów. A przy okazji chociaż symbolicznie przybliżyć się do kraju, który dziś coraz mniej kojarzy się z atrakcyjnym celem podróży, za to coraz bardziej ze społecznym i pandemicznym kryzysem. ©

UCZEŃ *(„The Disciple”) – reż. Chaitanya Tamhane. Prod. Indie 2020. Dostępny na Netfliksie.*

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Międzyrzeczu pod sygnaturą akt I Ns 311/18 wszczęte zostało postępowanie z wniosku Wspólnoty Mieszkaniowej Kęszyna Leśna 74 o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłej 27.12.2014 roku w Kęszycy Leśnej Stanisławie Celińskiej z domu Wodzik, córce Michała i Antoniny z domu Siwak. W skład spadku wchodzi nieruchomość położona w Kęszycy Leśnej 74d/7.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się w Sądzie i udowodniły nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięte w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Zbrodnia stulecia

Dokumentalny, reż. Alex Gibney, USA 2021, HBO GO

Twórca znany z sensacyjnych dokumentów śledczych tym razem tropi przekręty wielkiego przemysłu farmaceutycznego. Dwuczęściowy film ujawnia, jak na styku polityki i biznesu kwitnie produkcja i dystrybucja syntetycznych opioidów. W USA doprowadziło to do drastycznego zwiększenia się liczby uzależnionych i do ofiar śmiertelnych.

2. Palm Springs

Komedia, reż. Max Barbakow, USA 2021, Cineman, Rakuten, Premiery Canal+, Player

Amerykańskie kino niezależne, komedia romantyczna i „Dzień świstaka” – z takiego połączenia musiała wyjść mieszanka wybuchowa. Zapętlony w czasie dzień weselny i perypetie uwięzionej w powtórzeniach pary składają się na zwariowane, ale i ożywcze kino, wpisujące się, chcąc nie chcąc, w pandemiczne nastroje. Występują m.in. Andy Samberg, Cristin Milioti i J.K. Simmons.

3. Mirror, Mirror on the Wall

Dokumentalny, reż. Sascha Schoeberl, Chiny/Niemcy 2021, DAFilms

Oto narcystyczne zwierciadło naszych czasów: chirurg plastyczny z Chin, produkujący udoskonalone wersje kobiecości, sam staje się medialną gwiazdą. Operacje w jego wykonaniu zamieniają się w śledzone przez internautów performanse – jaki obraz skrywa się pod powierzchnią tego *show*? Film dostępny jest tylko w subskrypcji, z napisami angielskimi lub francuskimi.

4. Klangor

Serial, reż. Łukasz Kośmicki, Polska 2021, odc. 1–8, Canal+

W ponurej nadmorskiej scenerii osadzona została jedna z lepszych polskich produkcji serialowych ostatnich lat. Zaginięcie córki psychologa więziennego (Arkadiusz Jakubik) uruchamia oficjalne i nieoficjalne śledztwo, powodując rodzinne napięcia i odsłaniając kolejne tajemnice. W tle dopalacze, handel ludźmi i świdrująca muzyka Mikołaja Trzaski.

JAN

Klata:
Naród zasłużonych

Robi się coraz cieplej i bezpieczniej, więc oficjele wychodzą z samoizolacji, powracają pośród lud z pomysłami, innowacjami, śmiało zarysowanymi wizjami. Wszystko po to, aby nam – zwykłym Polkom i Polakom – żyło się lepiej, po prostu, dzięki nim – niezwykłym Polakom najwyższych szczebli. Na przykład prezydent Duda wyszedł z założenia, że trzeba spełniać marzenia. Sam prezydent Duda spełnił już swe marzenia, i to dwukrotnie, zostając prezydentem Dudą właśnie... Skoro trzeci raz już się Dudzie nie uda, być może warto pomyśleć o marzeniach z lekka cudzych, ale polskich, o marzeniach milionów najmłodszych Polaków i Polek. Czy warto? Warto! Prezydent Duda właśnie ów wysiłek podjął.

Albowiem kiedy zapytamy polskie dziecię: „Kto ty jesteś?", „Jaki znak twój?" itp. – wiadomo, jakie usłyszymy odpowiedzi (te bardziej cenzuralne, oczywiście). A jeśli zwrócimy się do polskiego pacholęcia z pytaniem: „Kim chcesz zostać, kiedy dorośniesz?", na sto procent usłyszymy milusiński głosik oznajmiający bez wahania: „Emerytem". Czas wyciągnąć wnioski, czas dotrzymać obietnic. Prezydent Duda wsłuchał się w wyraźnie artykułowane pragnienia pacholąt i poważnie zapowiedział starania o objęcie wiekiem emerytalnym... pięćdziesięciolatków. Na razie jeszcze nie pięciolatków, nawet nie piętnastolatków, niestety (nie od razu Wawel zbudowano), ale i 50 dobre, okrągłe, od czegoś trzeba zacząć. Jak to było z dudoprezydenckimi emeryturami? Najpierw trzynasta, później czternasta, a dalej już z górki, jak się inflacja dobrze potoczy, to i czterdziesta się znajdzie, wystarczy troszkę poczekać. Lekki niedosyt musi być, żeby życie miało smaczek.

50 emerytur rocznie dla każdego pięćdziesięciolatka uważam za program minimum na lata 2025-50, mamy to jak w Narodowym Banku Polskim, cieszę się już na wizyty listonosza. Moja córka Janina właśnie zdaje maturę i już się cieszy na rychłą emeryturę (nie czuję, jak rymuję – to ze szczęścia). Przepełnia mnie wdzięczność, od razu szybciej się żyje, gdy wiadomo po co. Mijajcie, pory roku, migajcie, mgnienia wiosny. ©

Lektor:
Wyjście z milczenia

▪ *Joanna Ostrowska*
ONI. HOMOSEKSUALIŚCI W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ
Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2021, ss. 362

Najpierw cytat z przedmowy: „»Oni« nie istnieją z naszej winy, zamazani przez przedwojenne fantazmaty podsycane nazistowską propagandą i perwersyjne plotki wojenne i obozowe. Zrównani z bezimiennymi uwodzicielami, kryminalistami, aspołecznym elementem, pozostają mrocznym tłem, (...) »homoseksualną zarazą«. Przeciw tym wyobrażeniom trzeba się wreszcie zbuntować". Jak wydobyć ich z niepamięci, podważyć utarte przekonania (jedno z osobliwszych negowało istnienie homoseksualizmu wśród Polaków, traktując go jako „niemiecką chorobę"), zrewidować stereotypy? To proste – rzetelnie opowiadając historię. Proste, a zarazem piekielnie trudne, jeśli po 75 latach od zakończenia wojny podejmuje się temat, którym nikt się wcześniej nie zajmował, więc żywych świadków już nie ma. Joanna Ostrowska taki sobie jednak cel postawiła: opowiedzieć wojenne (i trochę powojenne) lata z perspektywy tych, którzy wypadli ze społecznej pamięci. Napisała „Przemilczane" – rzecz o seksualnej pracy przymusowej w czasie II wojny, a nad „Onymi" pracowała dziesięć lat. Przyczyniła się też do wydania po polsku „Mężczyzn z różowym trójkątem" Heinza Hegera (ze swoim posłowiem) i książki Holendra Lutza van Dijka opartej na wspomnieniach Polaka Teofila Kosińskiego. Co bardzo istotne, „Oni" – podobnie jak „Przemilczane" – to nie publicystyka, tylko praca historyczna oparta na ogromnej kwerendzie; wkładka archiwalna i wykaz źródeł zajmują blisko 40 stron! Jak napisała w „dwutygodniku" Renata Lis, Ostrowska „nie epatuje okrucieństwami, nie pornografizuje cierpienia, choć nie ucieka się do żadnych niedomówień". A przy tym „fenomenalnie panuje nad rozległym materiałem i każdy detal ma w jej dziele do odegrania swoją rolę. (...) Jest jak lekarka, która w trakcie nieprzyjemnego zabiegu pozostaje w kontakcie z pacjentem, informując szczegółowo, co za chwilę zrobi i jakie to będzie uczucie". Jej bohaterowie odzyskują imiona, jeśli się da – również twarze. Poznajemy ich życie, okoliczności, w jakich zostali aresztowani, jeśli przeżyli – ich powojenne losy. Ostrowska nie buduje im pomników (choć tancerz Sylvin Rubinstein, który podczas wojny ukrywał się w Miejscu Piastowym i w sukni wieczorowej oraz pełnym makijażu strzelał do Niemców na ulicach Krosna, mógłby mieć choć tabliczkę). Przypomina – tylko i aż – że istnieli i cierpieli. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Głód słońca

Jedenaście procent mniej piwa sprzedały brytyjskie puby w końcówce kwietnia w porównaniu z tym samym okresem dwa lata temu. I to jest genialna wiadomość. Ale wcale nie dla rycerzy kampanii trzeźwościowych – trzeba uważać z liczbami, nic tak perfidnie nie kłamie jak źle zinterpretowane „twarde" dane w tabelce albo naiwnie odczytany sondaż. Ważna jest metodologia, rzetelne wykonanie, a przede wszystkim szeroki kontekst, którego wyjaśnienie nie zmieści się w jednym wierszu nagłówka ani twitterowej pigułce dezinformacji.

A prawda jest taka, że poddani królowej Elżbiety, oby Opatrzność zachowała ją w zdrowiu jeszcze długie lata, wychlali rekordowy ocean piwa. Pierwszy etap luzowania obostrzeń dla gastronomii polegał tam na tym, że otwarto tylko ogródki (nazwa umowna, przeważnie oznacza kawałek chodnika z cherlawą roślinką w doniczce), w dodatku przerzedzone. Co oznacza z grubsza, że puby mogły zapewnić jedną trzecią swojej dawnej pojemności – więc spadek spożycia o zaledwie jedenaście procent ukazuje dobitnie, jak wielkie było pragnienie w narodzie. Od przyszłego poniedziałku puby i restauracje zaczną wpuszczać klientów do środka. Ciekawe, czy nastąpi jeszcze większy najazd, czy może to był tylko chwilowy paroksyzm? W każdym razie czynnik pogody przestanie być tak istotny – cały kwiecień była ona wyjątkowo, jak na angielskie warunki, życzliwa.

BIRGIT REITZ-HOFMANN / ADOBE STOCK

Wygląda na to, że w obu kwestiach idziemy niemal równo o parę kroków za wyspiarzami, przy czym słońce wyprzedziło urzędową amnestię gastronomiczną o tydzień. Ciężko doświadczony frustrującym czekaniem na porządną wiosnę miałem ogromny problem z uwierzeniem, że ciepły podmuch i spokojne, niczym nie zakłócone światło mogą trwać calutki dzień, od siódmej rano, kiedy poszedłem na pierwszy spacer po jeden ze stu bochenków pieczonych przez Jana Rączkę – przeczytajcie koniecznie piękny wywiad z nim w tym numerze – aż po ósmą wieczór, gdy ruszyłem do pobliskiej budki z lodami na skraju Błoń, licząc na to, że wreszcie nie będzie tam stała długaśna kolejka.

A co się przez ten cały dzień działo – tego słowa z trudem dotkną. Co do statusu i natury naszej wspólnoty trwają bezustanne dyskusje: sarmacka ciżba, postfeudalne plemię fornali, a może społeczeństwo obywatelskie. Ale że jesteśmy Ludem Słońca i słuchamy jego rozkazów, to się w zeszłą niedzielę pokazało w oślepiającym blasku. Długiej końcówce trzeciej fali pandemii towarzyszyła paskudna pogoda i zniechęcała – jakże słusznie – do zbiorowych zachowań, które łamałyby konieczne, dyktowane przez rozum i doktorów ograniczenia. Ale dziewiątego maja całe nasze przyczajenie poszło w kąt. W poprzedniej epoce był to dzień zwycięstwa, po czym został z tej rangi ogołocony jak koszary w Legnicy po wyjeździe Armii Czerwonej – w tym roku jednak czuło się na ulicach i wzdłuż bulwarów potężny *Prazdnik Pabiedy*: ludzie, ludzie w takiej masie dawno niewidziani. Wszędzie ciała, odkryte nogi, odsłonięte ramiona i plecy, blada, wymęczona pod swetrem skóra nareszcie nabierająca rumieńca i słonecznego zapachu. I te dawno niewidziane usta. Bo nie czekając na rozporządzenia, sami sobie pozwoliliśmy o tydzień wcześniej, niż przewidziano, ściągać na ulicy maski pod brodę. Zwłaszcza że co i rusz jadło się i piło. Każdy lokal, dziurka czy budka mogły tego dnia sprzedać dowolną ilość dowolnych rzeczy do picia i jedzenia. A trawniki, ławki i murki stały się naszym lokalem pierwszej kategorii, z dywanem, obrusem i świeczką. Bez dansingu, chociaż chyba niewiele brakowało w tym napiętym radością powietrzu, żeby zacząć po prostu tańczyć.

Dziwne trochę uczucie – zobaczyć tyle twarzy naraz, usłyszeć ten gwar, którego nawet introwertyk potrzebuje, choćby w małych dawkach, do szczęścia. W barze, gdzie dorywczo pracuję, trwają ostatnie przygotowania. Stoliki i krzesła łatwo wyrychtować, ale co z psychiką, co z uczuciami? Jacy ci ludzie będą? – zastanawiamy się z koleżeństwem, jakbyśmy masowali odrętwiałe mięśnie naszych długo nieużywanych kompetencji społecznych. Sączę więc melisę przed najbliższym weekendem i proszę: cieszcie się – rozsądnie i z umiarem – odzyskaną swobodą biesiady, ale bądźcie dla nas, za barem, życzliwi. Koniecznie w maseczkach – dobrze wiemy, że pod nimi się szeroko do nas uśmiechacie. ©℗

Wyczekany zalew światła i ciepła na razie trudno odzwierciedlić w kuchni – chyba że się weźmie sałatę z paczki i zmiesza z dużą ilością żółtej i czerwonej papryki oraz czerwoną cebulą, ale wtedy to będzie święto holenderskiej szklarni, a nie słońca. Możemy nadal świętować wiosnę zbierając młode listki mniszka (niestety nie z miejskich trawników, choć jest go tam pełno) po to, by je potem udusić na oliwie pół na pół z młodym szpinakiem. Ale zatrzymajmy się jeszcze na moment przy szparagach. Próbowaliście ich kiedyś ze słonym sosem chantilly? To mieszanina mniej więcej 1:0,5 domowego majonezu i bitej śmietany (oczywiście niesłodzonej). Wyjątkowo ciężki dla wątroby hedonizm, którego warto raz na sezon się dopuścić. A skoro jesteśmy przy majonezie... ugotujmy na parze pęczek szparagów bez zeschłych końcówek, przestudźmy je, zmiksujmy z odrobiną oliwy i soli. Po czym tak uzyskany krem połączmy delikatnie z domowym majonezem o raczej gęstej konsystencji (czyli z większą niż normalnie ilością oleju). Lubię ten sos z pieczonymi ziemniakami albo czymś innym równie delikatnym w smaku.

COŚ DO PRZYTULANIA

JAN RĄCZKA, PIEKARZ:

Sąsiada budził zapach mojego chleba, więc spytał, czybym mu też upiekł. Chętnych było coraz więcej. W końcu żona zakomunikowała, że ma już dość mieszkania w „piekarni". No to wynająłem lokal.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Kiedy upiekłeś pierwszy bochenek?

JAN RĄCZKA: Dwadzieścia lat temu. Miał kształt i sprężystość zastygłej lawy. I smakował jak lawa.

A pierwszy udany?

Najpierw w księgarni przy Grodzkiej zobaczyłem „Mąkę, wodę, drożdże, sól" Kena Forkisha. Wziąłem do ręki, przerzuciłem kilka stron i się zachwyciłem.

Bo ładne zdjęcia?

Bo ludzka. Z niektórych historii opisanych przez Forkisha śmiałem się na głos. Potem opowiadam to żonie, a ona pyta, co jest śmiesznego w tym, że jakiś pan rozciągnął ciasto i je puścił?

Właśnie: co jest?

Tu nie chodzi o śmiech w sensie prostego żartu – trzech panów w łódce, ktoś wpadł do wody, a ktoś mu przyłożył. To bardziej radość z tego, że od razu widzisz się w tym miejscu, że chcesz poznać tego człowieka i skosztować upieczony przez niego chleb.

Forkish opowiada też swoją historię: jak po dwóch dekadach pracy w Dolinie Krzemowej wpadł na pomysł, by założyć własną piekarnię, i całe swoje życie temu podporządkował. Z „Forkisha" zrobiłem pierwszy przepis, potem drugi, kolejne. Kupiłem nawet garnek żeliwny, bo on trzyma wilgoć jak prodiż i chleb się dobrze piecze. Nagle okazało się, że wszystko pachnie, wszystko działa i nie jest już lawą. Czyli pojawił się tajemny element, którego wcześniej brakowało.

Bo chleb zrobić jednocześnie łatwo i trudno. W jego składzie powtarzają się składniki: mąka, woda, sól, drożdże.

A zakwas?

Świadomie odczarowuję myślenie „pieczemy bez drożdży, tylko na zakwasie". Zakwas to w dużej części drożdże, tyle że pozyskiwane w inny sposób. Zakwas jest mieszaniną różnych szczepów drożdży. W piekarni na co dzień używamy drożdży określonego gatunku, po to by osiągnąć przewidywalność i ten sam albo przynajmniej podobny efekt.

Da się to robić „na oko"?

W piekarnictwie nie ma „na oko". Zwróć uwagę na profesjonalne przepisy: wodę waży się, a nie odmierza. Mąka na dole worka jest zbita. Jeśli więc weźmiesz szklankę mąki z góry worka i z dołu, to nabierzesz dwie różne jej ilości. W cukiernictwie można robić na oko i na smak, w piekarnictwie musisz trzymać się proporcji.

Żadnej improwizacji?

Gdy w wymyślonym przepisie na chleb próbuję zmieniać ilość wody, to dodaję np. po pięć gramów przy każdej próbie.

A elementy podstawowe – powtórzę – zawsze są takie same, tylko w jednym przepisie masz mąkę pszenną, w innym żytnią lub orkiszową, ale zawsze jest sól, woda i drożdże. Sól jest katalizatorem – nie dość, że reguluje smak, to jeszcze reguluje prędkość procesu dojrzewania i fermentacji ciasta. Mówię teraz o elementach fizycznych, których można dotknąć.

JACEK TARAN

A istnieją jeszcze elementy ulotne: czas pieczenia oraz temperatura. Moje ciasta na chleb dojrzewają w niskiej temperaturze przez kilkanaście godzin.

To cały rytuał.

Ciasto wymaga odpowiedniej obróbki – nawodnienia, mieszania i tzw. składania – tworzy się wtedy jego szkielet. Ma on niebagatelne znaczenie, gdyż składają się na niego wąsy glutenowe, między którymi pojawiają się baloniki z gazem. To ten gaz przenosi smak. Smaku chleba nie czujemy od razu, tylko w momencie, kiedy już prawie go połykamy – wtedy dopiero gaz się ulatnia. Bez tych baloników chleb nie miałby smaku.

Brzmi jak historia o szampanie. A cierpliwość, o której wspominałeś?

Jeżeli przesolisz zupę, to możesz dodać surowego ziemniaka, on wciągnie sól i obiad uratowany. Jak niedosoliłaś, to dosolisz. A chleb robi się dobę. Jeżeli sknocisz ciasto, co zależnie od przepisu widać po kilku lub kilkunastu godzinach, to możesz jedynie podrapać się w głowę. Musisz cierpliwie poczekać na to, czego ciasto chce od ciebie.

Czyli?

Trzeba obserwować. Jeśli rośnie za wolno, trzeba je ogrzać, jeśli za szybko, to przestawić w chłodniejsze miejsce. „Najdłuższy" przepis na ciasto do pizzy zakłada proces trwający 72 godziny. W ciągu tego czasu sprawdza się ciasto kilkanaście razy, by w finale uniknąć rozczarowania. Jak mu damy opiekę, to dostaniemy pizzę o niepowtarzalnym smaku. Jak zlekceważymy czy odpuścimy, to z pojemnika wylejemy do kosza szare błoto.

Co jeśli przychodzi dzień, kiedy jesteś niecierpliwy?

Wtedy chowam niecierpliwość do kieszeni. W piekarnictwie niebagatelne jest to, że musisz wykonywać próby. W każdym razie nie jest tak, że czytasz przepis, stosujesz go jak leci i możesz być pewnym sukcesu. Zanim położymy chleb na półki, pieczemy go kilka razy, dajemy do spróbowania, poprawiamy, szlifujemy smaki. Gdy jesteśmy pewni jakości, trafia do ludzi. Dopiero niedawno przestałem liczyć bochenki, które upiekłem. Wcześniej zapisywałem każdy.

Po ilu przestałeś?

Po 30 tysiącach bochenków. ↦

JAN RĄCZKA urodził się w 1966 r. w Kołaczycach na Podkarpaciu. Od 30 lat związany z Krakowem, ćwierć wieku pracował jako informatyk (specjalizacja: duże bazy danych), w 2019 r. założył piekarnię 100bochenków, którą prowadzą z żoną.

↦ **Dlaczego po 30 tysiącach?**
Bo ta liczba zrobiła się abstrakcyjna i niczego już nie zmienia.

A co mogłoby się zmienić?
To, że pieczenie chlebów mógłbym sprowadzić do rutyny, co byłoby fatalne w konsekwencjach. We mnie każdy upieczony bochenek wywołuje emocję. Wszystko, co istotne, zaczyna się od emocji. W „Ojcu chrzestnym" jest taka scena: Corleone ucieka na Sycylię, gdzie spotyka swoją przyszłą żonę. Pada tam fraza – „rażony piorunem" – on ją zobaczył i wiedział, że się z nią ożeni. Czegoś identycznego doświadczyłem, gdy zobaczyłem Mirkę, moją żonę.

Spójrz, tu jest pieczątka: „chleby od Rączki". Ten znaczek jest uświęcony tradycją między mną a żoną. Mirka studiowała w Stalowej Woli, a ja z Krakowa prawie codziennie pisałem do niej list i na kopercie rysowałem właśnie taką malutką rączkę. I z okazji naszej całkiem sporej i okrągłej rocznicy ślubu żona napisała do mnie esemesa: „Narysuj mi tę rączkę". Naszkicowałem, a ona zamówiła pieczątkę. Używam jej do podbijania kopert z chlebem.

I nadal piszesz listy do żony?
Nie, bo rzadko oddalamy się na dłużej. Z moją żoną jestem związany nie tylko mentalnie, ale i fizycznie. Prawdę mówiąc, należę do gap kompletnych, a żona jest dobrze zorganizowana. Poza tym uważa, że nie mogę jechać sam gdzieś dalej, bo potrzebuję kogoś, by go trącać i mówić: „O, widzisz to, widzisz tamto? Popatrz na to!". Moja żona jest jedyną osobą, która cierpliwie to znosi.

To musi być miłość.
W piekarni w nocy zdarzały mi się chwile, kiedy zaczynałem niemiłosiernie tęsknić za moją żoną, która spała w naszym mieszkaniu położonym nieopodal. Tęsknota była tak intensywna, że aż bolała. I w ogóle nie mam żadnej radości, jeśli jestem w pięknym miejscu bez Mirki – chciałbym, byśmy cieszyli się razem. Jestem amerykanofilem, kocham Stany. Dzięki moim przyjaciołom pierwszy raz zobaczyłem je w 2002 r. Świetnie pamiętam pierwszy poranek. Usiadłem na łóżku, spojrzałem przez okno i myślę: trawa jest taka sama, drzewa są takie same, samochody takie same, więc po co ja się tłukłem pół świata, by zobaczyć to samo, co mam w Krakowie? I wtedy na parapecie usiadła ciemnoszara wiewiórka... Ona właśnie była inna niż te, które znałem z Polski.

A chleby?
Piekłem je w Stanach, ale nie w celu zawodowym. Amerykanie posiadają jedno z najlepszych centrów piekarniczych oraz olbrzymie młyny z tradycją – King Arthur. W piekarni możesz dostać wybór gotowych mieszanek mąk ze zbóż starych odmian – jak orkisz, płaskurka, samopsza – i nowych, jak pszenica współczesna. Są tego całe działy. Raj dla piekarza. Amerykanie mają też inną klasyfikację mąk. Trzeba je przepracować, by nauczyć się z nich piec.

W Stanach zaraziłem pieczeniem chleba moją przyjaciółkę. I w ogóle każdego namawiam, by zaczął piec.

Dlaczego?
Nie wiem, czy mówić, boję się, że zabrzmi kiczowato.

Proszę.
Chodzi o przeżycie niemal metafizyczne. Z mąki, która jest proszkiem, miesisz ciasto, które początkowo przypomina glinę, momentami nieprzyjemną, klei się do palców, w pewnym momencie jednak zaczyna być sprężyste i żyć swoim życiem. Czyli jest w tym element kreacji. Nagle pachnie z piekarnika, uchylasz drzwiczki, a tam jest bochenek. Mirka ma koleżankę, która odbierając zamówiony chleb za każdym razem przytula go i głaszcze jak dziecko – bo cieplutki i nowo narodzony.

Należę do generacji podnoszącej i całującej kawałek chleba, który spadł na podłogę. A przed odkrojeniem pierwszej kromki nadal robię na nim znak krzyża, tak samo jak robiła mama oraz jak robi moja żona.

Dlatego otworzyłeś piekarnię?
Przez ćwierć wieku pracowałem jako informatyk. Przebywałem w pomieszczeniach, w których zazwyczaj nie było okna, nigdy nie dzieliłem z kimś pokoju. Mój świat to były zera, jedynki, bazy danych, procesory, kabelki. Później doszły chleby. Działałem w cyklach: piekłem w nocy, rano brałem prysznic, ubierałem się, szedłem do pracy, obsługiwałem duże firmy, kończyłem zadania dzienne zaplanowane czy przypadkowe, wracałem do domu, miesiłem ciasto na następny dzień, na trzy godziny kładłem się spać, budziłem się w nocy i znów piekłem chleb.

Dla siebie i żony?
Najpierw dla nas. Później okazało się, że sąsiada naprzeciwko budzi zapach chleba, więc pyta, czybym mu też upiekł. To był sympatyczny starszy pan, który po chleb przychodził w piżamie, bonżurce i papuciach. Później o moim chlebie powiedział swojej córce, która mieszka niedaleko, ona powiedziała komuś tam, ten ktoś komuś innemu i pewnego dnia przyszedł mój znajomy mówiąc, że ponoć dobrze piekę i czy nie mógłbym mu dać bochenka. Aż moja żona zakomunikowała, że ma już dość „mieszkania w piekarni". Mąka ma swoje zalety, ale ma też wady. Jeżeli używasz jej w większych ilościach, jest wszędzie – zbiera się na meblach, książkach, pościeli. Nie dziwię się, że tak powiedziała. Ale najbardziej przekonało mnie zdjęcie, które sama zrobiła: pył mączny na podłodze i moja odbita w nim stopa.

Miejsca na piekarnię szukałem dosyć długo. Seria niewypałów: ktoś, z kim się umówiłem, nie przyszedł na spotkanie, potem dogadałem się z kimś innym, a ten ktoś wyjechał na wakacje i zostawił mnie na lodzie – sytuacje podcinające skrzydła. Aż dowiedziałem się, że panowie, którzy prowadzili pizzerię, zdecydowali się z tego biznesu zrezygnować. I znowu uderzenie pioruna, jak w „Ojcu chrzestnym": wchodzę do miejsca, w którym teraz rozmawiamy, i wiem, że to jest to. W dwa dni przyniosłem tyle pieniędzy, ile chcieli, i otworzyłem piekarnię.

Co zmieniła w Twoim życiu?
Zdarzyły się wypadki, które dały mi dużo do myślenia. Miałem udar mózgu. Moja żona uważa, że udaru dostałem, bo nie chciałem iść na sylwestra, taka ekstremalna wymówka, którą sobie wykombinowałem. W każdym razie to był czas, kiedy tworzyliśmy piekarnię, co wiązało się z potężnym wkładem pracy.

Po świętach przygotowywałem kolejną porcję chleba. Był 29 grudnia, tę datę akurat pamiętam, bo z innymi mam kło-

pot. Oglądałem jakiś program w telewizji, spojrzałem na zegarek, pomyślałem, że trzeba brać się do roboty, wstałem i już nie dałem rady podejść do blatu kuchennego, wszystko wirowało, kręciło się, potężne nudności. Byłem na tyle zmęczony, że przysnąłem, ale gdy się rano obudziłem i zorientowałem się, że jedna ręka nie działa w ogóle i że nie widzę na jedno oko wyraźnie, to powiedziałem do żony, że chyba musimy coś z tym zrobić.

Jeszcze z karetki dzwoniłem do Mirki zdając relację, że właśnie teraz jedziemy przez Retoryka, ale musimy poczekać, bo zrobił się korek. Na izbie przyjęć dyskutowałem z lekarzami, twierdziłem, że to drobnostka, że mogę spokojnie wracać do domu. Na OIOM-ie byłem już utrzymywany w śpiączce farmakologicznej, by zniwelować obrzęk mózgu, po wybudzeniu dyskutowałem z panią ordynator tłumacząc jej, że nie mam czasu leżeć w szpitalu, bo przecież piekarnię otwieram. Wylądowałem na zwykłej sali, wtedy już kazałem sobie przynieść książkę o pieczeniu chleba, którą tłumaczyłem z angielskiego. To była jedna z pierwszych myśli po przebudzeniu – sprawdzałem w głowie, czy w ogóle pamiętam przepisy. Okazało się, że część pamiętam, natomiast część rzeczy do dzisiaj pozostaje zagadką. Chodzi o stare notatki do konkretnych przepisów: nie mam pojęcia, co znaczą liczby, o jakie proporcje mi chodziło. Pamięć niektórych rzeczy wraca, budzę się ze świadomością, że już wiem, idę do półki, biorę książkę, otwieram na konkretnej stronie, patrzę na notkę i wiem, o co mi chodziło.

JACEK TARAN

Należę do generacji podnoszącej i całującej kawałek chleba, który spadł na podłogę. A przed odkrojeniem pierwszej kromki robię nożem znak krzyża na bochenku, tak samo jak robiła mama i jak to robi moja żona.

Wróciło całkiem?

10 stycznia wyszedłem ze szpitala, a 12 piekłem pierwszą pizzę. Wtedy kolejne smutne spostrzeżenie: nie wychodziły mi rzeczy, które wcześniej robiłem jak maszyna, w tym słynne podrzucanie plackiem do pizzy. Wydawało mi się, że wykonam to bez problemu, a tu patrzę, nagle kawałek ciasta leży na podłodze w kącie w drugim końcu piekarni.

Od tego czasu minęło prawie półtora roku.

Piekarnia była dla mnie najlepszą rehabilitacją: zacząłem pracować. To też pomogło mojej głowie – bronię się do dziś przed postrzeganiem mnie jako człowieka z ograniczeniami funkcjonalnymi, po prostu żyję w swoim rytmie.

Prowadzenie piekarni to codzienna rutyna, czasami nudna. Robota jest ciężka fizycznie. Po tonę mąki jadę w jedną stronę prawie sto kilometrów, muszę ją załadować do auta, wrócić i wyładować. Przygotowania do kolejnego wypieku trwają prawie całą dobę. Ale tego nikt nie zauważa. Dlatego każdego namawiam, by próbował pieczenia, bo ono, oprócz fajnego przeżycia, wymaga dania czegoś więcej z siebie: uwagi i systematyczności. Zakwasu trzeba codziennie przypilnować, wyrzucić część albo upiec z niego chleb, dodać wody i świeżej mąki, odżywić.

Robię to, do czego mam całkowite przekonanie: piekę chleb z przepisu przeze mnie wymyślonego. Potem muszę sam uznać, czy jest smaczny, czy nadaje się do tego, by go wypuścić w świat. I spojrzeć człowiekowi w oczy: „tak, daję dobry chleb".

Co ludzie mówią?

Do informatyka nie dzwoni się po to, by powiedzieć: „ale ten komputer super działa". Dzwoni się, bo niebieski ekran, bo dymi się, bo coś nie pisze, bo urwało się połączenie, bo pada serwer. Natomiast do piekarni przychodzą ludzie również i po to, by mi powiedzieć: „Zjedliśmy z żoną cały bochenek, bardzo nam smakował". Albo: „Moja córka, która jest niejadkiem, nagle chce jeść wyłącznie ten chleb".

Nawiązujemy relację ponad transakcją. Większość gości piekarni, którzy tu wracają, znam lepiej lub gorzej, ale wiem, kto kim jest. Z częścią jesteśmy na ty, zdarza się, że ktoś przyprowadza dziecko, by je przedstawić. Uwielbiam to, że jak drzwi są zamknięte, to ludzie pukają – do obuwniczego się nie puka. Bardzo też lubię, gdy ludzie mówią, dlaczego kupują chleb: potrzebuję dziś bagietkę, bo syn jedzie na obóz i chcę mu zrobić kanapki na drogę; potrzebuję chleb razowy, bo mąż wybiera się na delegację i poza domem spędzi tydzień. Ludzkie historie pod konkretny chleb.

To wszystko umocowuje Cię w życiu?

Trzyma przy nim. Skoro dostałem jeszcze trochę czasu, to chcę go jak najlepiej wykorzystać. Powodów jest kilka. Najważniejszy: bo tak obiecałem mojej żonie. Uświadomiłem sobie też, jak wiele przede mną – bochenków do upieczenia, spotkań z ludźmi, historii do opowiedzenia. Ta świadomość dodaje energii i chęci do życia. A ostatni powód to świadomość, że jestem integralną częścią naszej piekarni. W dzień, w którym zniknę ostatecznie, piekarnia też zniknie. Może powstanie w jej miejsce inna piekarnia, może nawet lepiej działająca, ale to już nie będzie 100bochenków Mirki i Jana. A na to jeszcze nie jestem gotowy.

I bardzo dobrze.

Wiesz, nie pamiętam, jak smakował chleb z dzieciństwa, może był paskudny i gliniasty. Ale wiem, jak wygląda moje wyobrażenie tego chleba. Potrafię poczuć w głowie ciepło chrupiącej skórki, poczuć jego zapach, tak jak potrafię wyobrazić sobie zapach leżących na słońcu dojrzałych jabłek. Najlepiej smakuje z masłem i pomidorem, jedzony na ciepłych schodach letnim popołudniem. Jeżeli udaje mi się tworzyć takie chleby – budzące radość, spokój, błogość – to jestem szczęśliwym człowiekiem.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz:
Późny Gierek

Tytuł jest w znacznym stopniu umowny. Mamy bowiem do czynienia z zagadką: czy w istocie to, co jest, to już późny Gierek, czy jeszcze wczesny? A może wręcz środkowy? Zanim jednak spróbujemy odpowiedzieć na to frapujące pytanie dotyczące – mocno to zaznaczmy – teraźniejszości, musimy przygotować sobie grunt, tzn. przekopać zagon, który mamy przed oczyma.

Rządy Edwarda Gierka to od lat żywy problem i spór w Polsce palący i aktualny. Jest on bezustannie od ponad trzydziestu lat obecny w agendach polityków, jest tematem prac piśmiennych oraz rozważań w kanałach audio i wideo. Powiedzmy wprost, że gierkowszczyzna jest też solidnym fundamentem sentymentów, czyli opowiadań z mchu i paproci, w których jesteśmy oczywiście samotnym liderem w skali planety. W tych sentymentach wychowały się ze dwa pokolenia oraz, co chyba ciekawsze, jest ona – gierkowszczyzna – planem na przyszłość. Nie brzmi to dobrze z różnych powodów, ale jest za to śmieszne, a to już walor. Ktoś rozsądny musi się tą koncepcją i marzeniem zdziwić, i wcale nie musi to być liberał ani nawet neoliberał, to w ogóle nie musi być kapitalista, a wystarczy, by miał po prostu jedną kroplę oleju w głowie. Niestety ludzi takich ze świecą szukać, są za to chmary sentymentalnych wielbicieli projektowania dzisiejszości i przyszłości na podstawie dizajnu lat 70. XX wieku.

Tych kilka subtelnie skonstruowanych zdań, nawiązujących do rządów Edwarda Gierka, wywołało w nas – łatwo się domyślić – lawinę wspomnień. Łza się w oku kręci. Zaiste i młodzież, i ci, którzy z niejasnych powodów za młodzież się wciąż mają, mogą nam pozazdrościć. Gierkowszczyzna – panie dziejku – to czas naszego dzieciństwa i wczesnej młodości, ładne piosenki i spodenki. Jakieś peryferyjne pałowanie robotników, trochę tortur, kilka morderstw politycznych – to, rzecz jasna, były drobiazgi. Nie bądźmy dziećmi. Ważny był autostop, dizajn, wczasy i ponoć równe pensje. Oto zespół bezpiecznych dziś mniemań. Nie sposób się nimi narazić ani polskiej prawicy (cokolwiek to słowo znaczy), ani lewicy (cokolwiek to słowo znaczy). Jest to wszystko ekstra poprawne i n a m a k s a (właśnie tak) patriotyczne. Stosunek do epoki Gierka wyznacza dziś granicę pomiędzy elitarnym, niby demokratycznym i wolnorynkowym barbarzyńcą z nożem w zębach a czułym, delikatnym marzycielem, śniącym o prostocie, równości i sprawiedliwości.

Rozsmakowaliśmy się, więc musimy powiedzieć parę słów o sprawie rzeczywiście najprostszej z prostych. O papierze toaletowym. Otóż to za rządów Edwarda Gierka papier się skończył. Nie na jeden dzień, na tydzień, ale na wiele, wiele lat. Ktoś powie: trudno, warto było. Jak dla kogo oczywiście. Od zawsze, od dzieciństwa dręczyło nas pytanie, które wtedy było uważane za prowokację, za sianie zamętu, za wrogie ludowej ojczyźnie, a dziś także jest uważane za ściśle populistyczne, wręcz chamskie – no więc, dlaczego nie było papieru toaletowego? Czy to była kwestia technologii? Zamachów organizowanych przez zachodnioniemieckich odwetowców? Zasadniczych nieporozumień pomiędzy klasą robotniczą a nomenklaturą? Odwrotu od sprawdzonych (a może nie?) metod zachowania higieny i kultury osobistej? Nikt nigdy nie umiał nam na te pytania porządnie odpowiedzieć, prócz – wstyd przyznać, pierwszego wroga ludu, czyli pana B. – wiecie, o kogo chodzi. No więc równe pensje, wczasy pod gruszą, maluch tu, maluch tam i „Trybuna Ludu", bynajmniej nie jako lektura. Tak było. A jak jest? Czy to, co mamy – powtórzymy pytanie – to Gierek wczesny, czy już późny? Nie wiemy. Gdzie jest w tej sytuacji pan Zbyszek? Nie wiemy. Pan Gowin? Także. Kto tu w ogóle rządzi? To wiemy – koalicja PiS-u i Lewicy, czyli dwu pogierkowskich partii. Ale czy one utwardzą nam życie, czy je zmiękczą, tego nie wiadomo. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

W ofercie dostępne są wydania: „Polska Żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo tu Ziemia", „Dobre życie", „Moc kobiet", „Święto spotkania", „Kryzys w Kościele".

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny z siedzibą w Krakowie
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Premiera!

TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść o „Tygodniku Powszechnym”, czyli wszystkie światy pod jednym adresem

- Co się wydarzyło w ostatnim pokoju na lewo
- Zbyt krótka sofa dla Herberta
- Zebrania pod Najjaśniejszym Panem
- Obiady czwartkowe i redakcyjna drużyna piłkarska
- Sensacje historyczne: autor, który został papieżem
- Uroki Ziuty i różdżka asystenta kościelnego
- Ks. Boniecki w kuchni

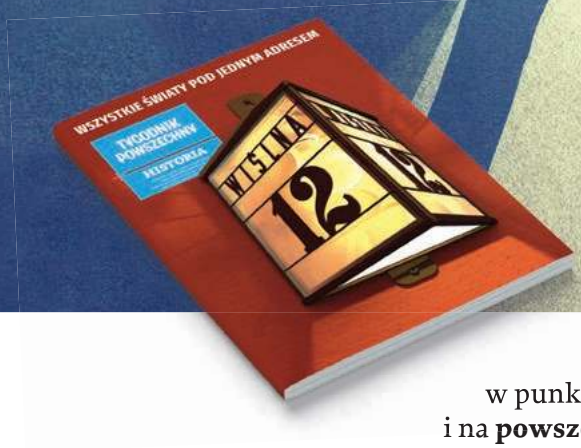

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / RYS. JOANNA RUSINEK

Już w sprzedaży w punktach z dobrą prasą i na **powszech.net/wislna12**

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

WYDANIE WSPIERA

zaiks sprzyjamy wyobraźni

PARTNERZY WYDANIA:

Kraków

KONRAD ADENAUER STIFTUNG

ECS europejskie centrum solidarności

DRUGI KROK Fundacja

znak

Polska Rada Biznesu

Copernicus Center

Fundusz Obywatelski im. Henryka Wujca

Walstead